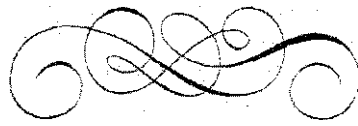


Mary Brendan

Dama i uwodziciel



Rozdział pierwszy

- Elizabeth! - krzyknęła Edwina Sampson, stając w przestronnym holu swojej eleganckiej miejskiej rezydencji.

Lady Elizabeth Rowe zerknęła w stronę, z której dobiegał podniesiony głos i zobaczyła swoją babkę, która z wyrazem obrzydzenia na twarzy, zaciskając palcami nos, szybkim krokiem podążała w jej kierunku.

Od razu zrozumiała, o co chodzi, i z zakłopotaniem popatrzyła na podejrzenie poplamioną dolną krawędź swojej spódnicy. Przepraszająco wzruszyła ramionami i westchnęła. Oczywiście mogło to być błoto, przez które przeszła w drodze z powozu pastora Clemence'a do domu. Ale prawdę mówiąc, tak samo jak Edwina, podejrzewała, że był to raczej brud z rynsztoka w Wapping, gdzie pomagała pastоровi prowadzić niedzielną szkółkę.

- Jak ty wyglądasz! - krzyknęła Edwina Sampson, załamując pulchne ręce skrzące się od klejnotów. - Zawsze wiem, kiedy wracasz do domu. Czuję to po zapachu!

- Przestań, babciu. Są gorsze rzeczy niż odrobina łajna - powiedziała spokojnie Elizabeth. - Znam nieszczęśników, którzy całe życie spędzają w gnoju.

- Przyzwoici, ciężko pracujący ludzie nie żyją w gnoju! - najeżyła się Edwina i krzyknęła na stojącego nieruchomo wysokiego mężczyznę, by zamknął drzwi.

- Rusz się! Całe ciepło ucieka na zewnątrz! Wiesz, ile kosztuje worek węgla?

Harry Pettifer, który do tej pory bez słowa kontemlował smugę brudu, jaką zostawiła na nieskazitelnie czystej marmurowej posadzce holu spódnica Elizabeth, popatrzył na panią Sampson.

- Wiem, i to dokładnie, proszę pani, bo dopiero co regulowałem rachunek za opał.

- Starasz się być bezczelny, Pettifer?

- Nigdy nie jestem bezczelny, proszę pani - odparł kamerdyner i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy oddalił się godnym krokiem. Mijając Elizabeth, mrugnął do niej porozumiewawczo, a ona ledwo powstrzymała uśmiech.

Elizabeth wiedziała, że Harry Pettifer służy u rodziny Sampsonów od ponad trzydziestu lat, a odkąd sama zamieszkała u babki, w spokojnej i cichej części Marylebone słyszała niejedną, dużo zabawniejszą niż ta, wymianę zdań, do jakiej dochodziło między niziutką, sześćdziesięcioletnią Edwiną a jej posagowym kamerdynerem.

Zsuwając z nóg zabrudzone pantofle, Elizabeth zauważyła, że kilka osób ze służby z dużym zainteresowaniem przygląda się całemu zamieszaniu.

- Szczotka i szmata. Do holu. Natychmiast. - Pettifer strzelił szczupłymi, długimi palcami, z władcą miną wydając służbie instrukcje.

- Za to, co mu płacę, mogłabym wynająć dwóch lokajów albo zapłacić rzeźnikowi za cały rok.

- Nie masz racji, babciu. Myślę, że pensja Pettifera nie pokryłaby nawet twojego rachunku u cukiernika.

- Elizabeth uśmiechnęła się, znacząco zerkając na obfite kształty babki, której słabość do słodczy, a szczególnie do marcepanu była powszechnie znana.

Na ustach kamerdynera pojawił się cień uśmiechu, co nie pozwoliło Edwinie pozostawić słów wnuczki bez odpowiedzi.

- Lubię słodczy - przyznała - i nie widzę powodu, dla którego miałabym sobie ich odmawiać. Całe życie ciężko pracowałam, więc chociaż na starość coś mi się należy.

- Dobrze wiesz, że potrzebujemy Pettifera bardziej niż on nas. Słyszałam, że pani Penney znów go namawia, by przyjął posadę w jej domu w Brighton - ostrzegła babkę Elizabeth.

- Naprawdę? Skąd to wiesz? - Edwina zacisnęła wargi. Elizabeth zdjęła czepek i machinalnie poprawiła jasne włosy.

- Chętnie poplotkuję o popularności, jaką cieszy się nasz kamerdyner, ale pozwól, że najpierw się odświeżę. A na wypadek, gdyby tym razem naprawdę chciał nas zostawić, powiedz mu coś miłego, zanim zejdę do salonu. - Elizabeth uśmiechnęła się i, unosząc zabrudzoną spódnicę, co odsłoniło zgrabne kostki nóg, pobiegła schodami na górę.

Po chwili była już w swojej pachnącej lawendą przebieralni, gdzie czekała na nią Josie. Młodziutka pokojówka, marszcząc mały zadarty nos, szybko pomogła swojej pani pozbyć się skromnej sukni, którą wkładała na wizyty w niedzielnej szkółce.

Babcia ma rację, że najtrudniej jest znieść odór, pomyślała Elizabeth, myjąc twarz w pachnącej wodzie z płatkami kwiatów. Nawet przebrana i umyta nadal czuła w nozdrzach smród slumsów.

Już ponad rok pomagała w niedzielnej szkółce przy Barrow Road i nie zauważyła, by choć raz powietrze było tam czystsze i mniej śmierdzące. Bez względu na porę roku odór niemytych ludzkich ciał, zapach gnoju, smoły i bliskość portu pozostawały niezmiennie. Jedynie muchy czasami znikwały, podobnie jak i uczniowie.

Co jakiś czas na twardej ławce, na której siadały dzieci, pojawiała się puste miejsce, a kiedy Elizabeth pytała, gdzie podziewa się nieobecny, na ogół słyszała, że w pracy, choć bywało i tak, że dziecko umierało.

Niedzielne spotkania odbywały się w pustym kącie hurtowni, który właściciel udostępnił nieszczęsnym, małym istotom, by choć raz w tygodniu mogły oderwać się od nędzy i okropności swojej egzystencji i posłuchać Pisma Świętego. Wychudzone dzieciaki walczyły o miejsce na ławce z zaciętkością równą tej, z jaką zdobywały pożywienie i pracę. Ci, dla których zabrakło miejsca musieli zadowolić się zimną, kamienną podłogą.

Siedząc przy toalecie na miękkim pluszowym taborecie, Elizabeth przyglądała się w lustrze swoim zaróżowionym od spaceru policzkom i blond lokom, spływającym po obu stronach owalnej twarzy i szczupłej szyi.

Wapping nie było miejscem, gdzie ktoś mógł mieć ochotę zatrzymać się na pogawędkę. Nie robił tego nawet szanowany przez tamtejszą społeczność duchowny. A mimo to Elizabeth i pastor Clemence co niedziela zapuszczali się w labirynt wąskich uliczek, by dotrzeć do Barrow Road. Bez względu na porę roku slumsy zawsze wyglądały tak samo odpychająco i smutno. Na sznurach suszyły się szare szmaty, rachityczne

dzieci grzebały w śmieciach, a kobiety o pustych oczach stały grupkami przy wejściach do obskurnych ruder.

Oparła się wygodnie o krzesło i zamykając oczy, skupiła się na przyjemności, jaką sprawiały jej płynne, delikatne ruchy szczotki we wprawnych rękach Josie. Wróciła myślami do dzieci ze slumsów. Naprawdę chciała im pomóc, ale czy te krótkie chwile oderwania od życia, jakie dawała im w niedziele, były wystarczające? Ciekawe, o czym naprawdę myślały, trąc wiecznie zakatarzone nosy i wpatrując się w nią szklistym wzrokiem? Może o tym, że są głodne? Albo o obowiązkach, do których muszą wrócić, kiedy skończy się niedzielna szkółka? Może wiecznie głodnym i źle traktowanym dzieciom słuchanie opowieści o dobrym pasterzu wydawało się nonsensowne?

Przypomniały się jej słowa pastora Clemence'a, który powiedział jej kiedyś, że umrze szczęśliwy, jeśli dzięki swojej pracy zdoła ją uchronić od domu uciech albo od harówki w kieracie choćby jedno dziecko. Wyłożył jej wtedy całą swoją filozofię, a ona zrozumiała, że cotygodniowa wizyta w cuchnących slumsach nie jest wygórowaną ceną za uratowanie nawet tylko jednej duszyczki. W uniesieniu zadeklarowała wtedy swoją pomoc, a kiedy pastor ujął jej dłoń, pozwoliła mu cieszyć się tym dotykiem przez kilka długich sekund.

- Dużo lepiej. Teraz pachniesz i wyglądasz jak moja Lizzie - pochwaliła Edwina, kiedy Elizabeth ubrana w różową suknię z krepy pojawiła się w salonie. Upięte na czubku głowy jasne loki dodawały jej wzrostu, dzięki czemu wydawała się wyższa niż niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów, które mierzyła.

- Skoro już mówimy o zapachu, babciu... Czyżbyś znowu paliła? - Elizabeth zmarszczyła zgrabny nosek. - Śmierdzi tu jak w pokoju, gdzie panowie grają w karty - dodała, wachlując się drobną dłonią.

- Skąd ty w ogóle wiesz o istnieniu takich miejsc? Czyżbyś ostatnio w jakimś była? - odparła babka, dyskretnie wsuwając nogą niedopałek pod krzesło.

- Umiem rozpoznać zapach dymu tytoniowego. Dobrze wiesz, jak bardzo ojciec i jego przyjaciele potrafili nadymić, kiedy w błękitnym salonie Thorneycroft grali w faraona.

- A już myślałam, że zaczęłaś spędzać czas z prawdziwym mężczyzną zamiast z tym pastorem o ziemistej twarzy, który ciągle za tobą kuśtyka.

- Hugh jest przyzwoitym człowiekiem i prawdziwym dżentelmenem. To dobry przyjaciel i za to go cenię - odparła lady Elizabeth Rowe, rzucając babce ostrzegawcze spojrzenie.

Edwina zbyła słowa wnuczki jednym ruchem pulchnej dłoni i sięgnęła do srebrnej misy po kawałek marcepanu. Żując z przyjemnością, przyglądała się badawczo Elizabeth.

- Oświadczył ci się? - zapytała w końcu.

Elizabeth usiadła z gracją w fotelu na wprost babki i wyciągnęła dłonie w stronę płonącego na kominku ognia.

- Nie i nie zrobi tego - odparła. - Dobrze wie, że moja sympatia do niego jest... innego rodzaju.

- Dzięki Bogu! - mruknęła pod nosem Edwina i dodała: - Ciągłe się boję, że pewnego dnia wrócisz z tanim pierścioneczkiem na palcu i oświadczysz, że przeprowadzasz się na przedmieścia, na jakąś plebanię o przeciekającym dachu. Nie sądz jednak, że przestałam myśleć o wydaniu cię za męża, choć dawno minął

właściwy po temu czas. Niedługo skończysz dwadzieścia dziewięć lat i nie możesz w nieskończoność mieszkać ze mną. Jestem stara i niedużo mi już życia zostało. Zanim jednak umrę, chcę wiedzieć, że masz zapewnioną przyszłość.

- Jesteś zdrowa i masz przed sobą jeszcze wiele lat. Poza tym dobrze wiesz, że nigdy nie wyjdę za mąż - oświadczyła Elizabeth i szybko zmieniła temat. - Chcesz usłyszeć, skąd wiem o zakusach pani Penney na Pettifera?

- Nie uda ci się mnie tak łatwo zagadać, moja panno. Mówiłam poważnie. Mam już sześćdziesiąt lat i często mnie tu boli. - Edwina pokazała miejsce poniżej żeber. - To może być poważna choroba, kto wie, czy nie śmiertelna?

- To zwykła niestrawność i na pewno zniknie, jeśli przestaniesz jeść... choć przez godzinę dziennie. - Elizabeth uśmiechnęła się i od razu odmłodziła.

- Jesteś piękną kobietą i potrzebny ci mąż. Nie możesz pozwolić, by tragedia sprzed dziesięciu lat przekreśliła całe twoje życie. To już przeszłość. Ludzie o tym zapomnieli.

- Ale ja nie zapomniałam! I nie mam zamiaru wychodzić za mąż... szczególnie za dżentelmena z towarzystwa. Jeśli już miałabym kogoś poślubić, to wybrałabym mężczyznę troskliwego i łagodnego jak Hugh. Oczywiście byłabyś wściekła z takiego mezaliansu, bo ja jestem przecież córką markiza, a biedny Hugh pochodzi ledwie z zubożałego duchowieństwa. W tej sytuacji lepiej zmieńmy temat.

Edwina, teatralnym gestem dłoni wyrażając rozpacz, sięgnęła do srebrnej misy, aby poszukać ukojenia w ulubionych słodczykach.

- Powiedz, czego ta kocica, Alice Penney chce od Pettifera? - zapytała tonem męczennicy i ciężko westchnęła.

- Pettifer jest przystojnym mężczyzną. Myślę, że jej się podoba.

- Też coś! To staruszek. Jest rok starszy ode mnie - parsknęła Edwina z ustami pełnymi marcepanu.

- Ale nadal jest przystojny. Jeśli wierzyć słowom Sophie, niejedna z przyjaciółek pani Penney chętnie widziałaby go

wśród swojej służby. Słyszałam, że założyły się o to, która zdoła ci go sprzątnąć sprzed nosa. Zwycięzcy zgarnie pewno niemałą sumkę.

- Założyły się? O to, która ukradnie mi kamerdynera? Pettifer jest u mnie ponad trzydzieści lat, i tak zostanie. Jeśli odejdzie, nigdy, przenigdy... nie dam mu referencji.

- Wątpię, by były mu niezbędne. - Elizabeth się zaśmiała. - Pani Penney z radością przyjmie go i bez nich.

Edwina odrzuciła z twarzy poprzetykane siwizną loki i ze złością zacisnęła usta. W jej błękitnych oczach pojawił się błysk. Kochała dobre jedzenie i kochała wyzwania. Już ona pokaże tym paniusiom na co się porwały!

Harry Pettifer był postawnym mężczyzną, a w jego żyłach płynęła szlachecka krew. Niestety, jego ojciec, sir Roger Pettifer przez swoje zamiłowanie do hazardu wpędził rodzinę w nędzę. Gdyby nie to, Harry nie musiałby się poniżyć i przyjąć posady kamerdynera u swojego przyjaciela.

Nieżyjący już mąż Edwiny i Harry Pettifer byli przyjaciółmi, mimo że w pewnym okresie Harry był karcony przez rodzinę za utrzymywanie stosunków z kimś tak pospolitym, jak pan Daniel Sampson, który dorobił się fortuny na handlu. Dzięki ciężkiej pracy, ze zwykłego kupca stał się potężnym hurtownikiem na rynku towarów luksusowych. Harry był w tamtych czasach kawalerem i uchodził za dobrą partię, ale kiedy jego ojciec zbankrutował, został bez środków do życia.

O pożyczce od Sampsona nie chciał nawet słyszeć. W ramach pomocy przyjaciel zaproponował mu więc posadę kamerdynera, traktując to częściowo jako żart, bo Harry był zawsze bardzo dumnym człowiekiem. Propozycja została przyjęta

I w rezultacie Harry pół życia przepracował u Sampsonów jako kamerdyner. Nie porzucił służby nawet wtedy, kiedy trzynaście lat temu jego przyjaciel zszedł z tego świata, co zdziwiło Edwinę, bo jej stosunki z zaufanym przyjacielem męża były wtedy dość napięte.

Nigdy nie była w stosunku do niego niegrzeczna, ale i też niespecjalnie miła. Gdy finansowe zobowiązania Harry'ego zostały załatwione, Edwina zaczęła mu wypłacać wynagrodzenie i zawsze płaciła przyzwoicie. Wiedziała, że gdyby chciał odejść, nie miała go prawa zatrzymywać, ale kiedy dawno temu poruszyła z nim ten temat, z nieodgadnionym błyskiem w oczach zapewnił ją, że jest zadowolony. Nie mogła jednak wykluczyć, że od tamtej pory coś się zmieniło. Może żałował, że zamiast założyć własną rodzinę, zadowolił się rolą obserwatora życia innych? Ze zdziwieniem odkryła, że choć traktowała Harry'ego uczciwie, żałuje iż nie zdobyła się w stosunku do niego na coś więcej niż uprzejma obojętność i że nie okazała w zamian za jego lojalność wdzięczności i szczodrości. Perspektywa utraty wiernego sługi nastroiła ją melancholijnie, a kiedy zdała sobie sprawę z powodu swojego smutku, rozzłościła się.

- O której mamy być u Heathcote'ów? - zapytała zirytowana.

- O ósmej - odparła cicho Elizabeth.

Sophie Heathcote była najlepszą przyjaciółką Elizabeth. Sześć lat młodsza od Elizabeth, odznaczała się żywą inteligencją, której nie miała zamiaru ukrywać, co mimo niewątpliwej urody czyniło ją znacznie mniej atrakcyjną w oczach panów z towarzystwa. Socjeta uznała ją za emancypantkę, dziwną i niezrozumiałą istotę, która wydawała się szczęśliwsza, goniąc za wiedzą niż za odpowiednim kandydatem na męża. Żaden z panów nie chciał żony, przewyższającej go inteligencją. W ten sposób obie panny znalazły się poza nawiasem towarzystwa, które nie akceptowało kobiet postępujących inaczej, niż było powszechnie przyjęte. Kiedy po śmierci ojca, markiza Thorneycrofta, Elizabeth przeniosła się do babki do miasta, prawie natychmiast zaprzyjaźniła się z Sophie i od tamtej pory były nierozłączne.

- Nie pogniewasz się, jeśli nie pojedę z tobą do Heathcote'ów, Lizzie? Wiesz, że zawsze się tam nudzę. Poza tym zaprosiła mnie do siebie Maria Farrow. Josie pojedzie z tobą.

Elizabeth zgodziła się od razu, wiedząc, że towarzystwo cichych i spokojnych rodziców Sophie nuży babkę. Zresztą odwiedziny miały być króciutkie, bo następnego dnia czekała ją wizyta w Bridewell. Kiedy o tym wspomniała, babka burknęła zdegustowana, dając jej jasno do zrozumienia, że nie chce słuchać o szczegółach wizyty w więzieniu, gdzie jej wnuczka wybierała się w towarzystwie pastora Clemence'a i innych zajmujących się dobroczynnością pań.

- Mamy nadzieję, że dobrzy ludzie ofiarują... - zaczęła nie- zrażona Elizabeth, ale babka znowu jej przerwała.

- Już ci mówiłam, młoda damo, że nie mam na zbyciu fortuny, którą mogłabym wyrzucać na zakładanie przytułków dla upadłych kobiet! - Edwina mimo swojego wieku i tuszy błyskawicznie zerwała się z fotela.

- Nie proszę o fortunę, babciu, ale kilka funtów byłoby mile widzianych. Moglibyśmy za to kupić materiał, z którego kobiety szyłyby fartuchy i ściereczki na sprzedaż...

- Gdyby nie kradły, nie musiałyby wypełniać czasu w więzieniu szyciem!

- To nieszczęsne istoty, które zeszyły z drogi cnoty, być może tylko dlatego, że inaczej nie mogły zdobyć pożywienia dla swoich dzieci. Czy można im kazać płacić za to w nieskończoność? Ja też kiedyś popełniłam błąd. Zapomniałaś? Ale ja się tego nie wstydzę, bo kierowały mną szlachetne pobudki.

Musisz wiedzieć, że kilku dżentelmenów, których chciałaś tu widzieć, starających się o moje względy, zasługuje na miano najgorszej hołoty, zepsutej i niemoralnej. Jeden czy dwu wciąż kręci się koło mnie, ale ich intencje są łajdackie i nie mają nic wspólnego z oświadczynami! - krzyknęła Elizabeth, zaciskając dłonie.

Kobiety mierzyły się przez chwilę wzrokiem, aż wreszcie młodsza westchnęła.

- Przepraszam, babciu. Nie miałam zamiaru podnosić głosu, ale... Od kilku tygodni chciałam cię prosić...

- przerwała, zastanawiając się, jak dobrać słowa, by otworzyć sakiewkę babki. - Kwota, którą przeznaczyłaś na mój posag, prawdopodobnie pozostanie nietknięta, bo nie wyjdę za mąż. Jeśli jednak naprawdę chcesz przeznaczyć te pieniądze dla mnie, błagam cię, pozwól mi wziąć z nich choć małą sumkę, żebym mogła.

- Pieniądze są dla ciebie, i co do tego masz rację - przerwała jej babka. - Sama je zarobiłam, ciężko pracując od rana do nocy w sklepie twojego dziadka i nie pozwolę, byś wydawała je na nędzników, którzy nas okradali za każdym razem, kiedy tylko odwróciliśmy się do nich plecami! Nie było tygodnia, żeby nie zginęły rękawiczki, chusteczki do nosa, czy jedwabne pończochy albo wstążki. A teraz oczekujesz, że będę wspierać dzieci tamtych szubrawców, żeby mogły iść w ślady rodziców?

- Być może dzięki twojej pomocy część tych nieszczęśników dostanie pracę i zdoła zacząć nowe życie. Tylko sto funtów... Proszę! To przecież moje pieniądze, a tak dużo mogą zmienić w życiu wielu dzieci i ich matek

- Równie dobrze mogę je dać twojemu mężowi, żeby je przegrał w kości.

- Ten, którego wybrałaś dla mnie na męża, właśnie tak by zrobił - stwierdziła z goryczą Elizabeth. - Może w tej sytuacji naprawdę powinnam poślubić pastora? Jego przynajmniej umiałabym przekonać, żeby mi oddał moje pieniądze.

- Myślisz, że o tym nie pomyślałam? Zrobiłam specjalny zapis, który mówi, że jeśli poślubisz duchownego, nie dostaniesz ani funta.

- Kocham cię, babciu. Naprawdę. Ale twoja mizantropia napawa mnie wstrętem.

- Ja też cię kocham, wnuczko, ale twoja poroniona dobroczynność budzi we mnie odrazę - rzuciła Edwina przez ramię i opuściła salon.

Lady Rebecca Ramsden uniosła znad gazety piękne, turkusowe oczy i zamyślona popatrzyła w dal. To nie może być prawda! - pomyślała. Luke na pewno by mi powiedział! Pochyliła głowę nad gazetą i ponownie przeczytała interesujący ją akapit. A jednak! Miała to przed oczami, czarno na białym. Zerwała się z krzesła i z gazetą w ręku wybiegła na korytarz.

- Widziałeś mojego męża, Miles? - zapytała kamerdynera.

- Nie, panienko Becky, ale przypuszczam, że pan jest w stajni i uczy panicza Troya jazdy na kucyku - odparł Miles. Liczący sobie siedemdziesiąt siedem lat sługa, nadal zwracał się do niej „panienko”, tak samo jak cała reszta starej, zaufanej służby, która знаła ją od dziecka. Mimo że dawno dorosła i poślubiła barona Ramsdena, Miles nadal widział w niej małą panienkę Becky, choć jako pani tego wielkiego domu pod każdym względem zasługiwała na szacunek.

Kiedy z gazetą w ręku weszła do stajni, jeden ze stajennych poinformował ją, że jego lordowska mość jest z paniczem w stodole i że młody panicz zasypiał na stojąco, tak bardzo był zmęczony po jeździe.

Otworzyła drzwi stodoły i od razu zauważyła męża. Ciemne bryczesy i biała batystowa koszula wyraźnie odcinały się od złotej słomy. Uniósł głowę i popatrzył na obrysowaną słonecznym światłem figurę żony. Uśmiechnął się, a jej serce natychmiast zaczęło szybciej bić. Gestem poprosił, by do niego podeszła, a potem położył palec na ustach, pokazując ich małego synka, śpiącego tuż przy nim na miękkiej słomie.

Rebecca uklękła obok męża. Był bardzo męski, nawet kiedy leżał w niedbałej pozycji, podparty na łokciu.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? To wspaniała wiadomość - zapytała cicho, pokazując mu gazetę.

Luke rzucił okiem na gazetę. Zmarszczył brwi i wyjął z białych zębów żdźbło słomy.

- Nie wiem, czyj ślub cię tak poruszył, ale zapewniam, że nic o nim nie wiedziałem.

- Nie chodzi o żaden ślub - cicho odparła podekscytowana Rebecca. - Zgadnij o czym przeczytałam? - zapytała i wstając z figlarnym blaskiem w oczach, schowała gazetę za plecami. - Obiecuję, że to cię zainteresuje, a nawet bardzo ucieszy...

- No dobrze, jestem ciekaw... - Luke wyciągnął ramię, chcąc chwycić gazetę.

- Nie dam! Zgadnij!

Popatrzył na śpiącego syna, a potem przeniósł wzrok na zarumienione policzki żony i przyciągnął ją do siebie.

- Luke, przestań. Nie tutaj... nie teraz. Troy może się obudzić... - Rebecca wplotła palce w ciemne włosy męża i odsuwając się, próbowała go zniechęcić do dalszych pieszczot.

- Pod warunkiem, że dasz mi gazetę. W przeciwnym razie będę musiał ci ją zabrać siłą... - szepnął, przyciskając usta do jedwabiu jej sukni.

Rebecca poczuła, że robi się jej gorąco, ale spojrzenie na śpiące dziecko przywołało ją do porządku. Stłumiła budzącą się namiętność i posłusznie podała mężowi gazetę, wskazując notatkę, która tak bardzo ją zainteresowała.

Luke Trelawney, baron Ramsden, uśmiechnął się i powoli usiadł.

- Nic o tym nie wiedziałem. Tylko Ross mógł przemilczeć fakt, że został członkiem Izby Lordów i że piszą o nim w gazetach.

- Wicehrabia Strattoni Jak to dumnie brzmi. Naprawdę o niczym nie wiedziałeś? Nic ci nie powiedział?
- Rebecca wpatrywała się w męża.

- Ani słowa, ale też nie widziałem go od sześciu miesięcy. Tak samo jak mama, Katherine i Tristan.

- To okropne z jego strony! Powinien napisać do rodziny, jaki honor go spotkał.

- Ross i listy? Mój mały braciszek prędzej wpadnie tu bez zapowiedzi po półrocznej nieobecności, niż napisze parę słów.

- To wspaniała wiadomość. - Rebecca objęła męża za szyję. - Wicehrabia Stratton, pan na Stratton w Kent. Wyobrażam sobie, jaki jest dumny.

- Czy stryjek Ross ma zamiar nas odwiedzić? - zapytał cichy głosik zza ich pleców.

- Nie, kochanie. Stryjek Ross jest teraz arystokratą. Król mianował go wicehrabią, a już niedługo zostanie lordem Strattonem.

Troy zupełnie nie przejął się tą informacją, chciał tylko wiedzieć, czy teraz, kiedy stryjek stał się kimś ważnym, nadal będzie bawił się z nim w piratów.

- Myślę, że tak - uspokoił chłopca ojciec, uświadamiając sobie jednocześnie, że jego brat w wieku trzydziestu trzech lat nadal wygląda i zachowuje się jak młody byczek. - A gdyby nie miał czasu, ja się z tobą pobawię - dodał.

- Stryjek Ross jest lepszym piratem niż ty - odparł Troy.

- Pozwolił mi walczyć swoją prawdziwą szpadą. Tą ze srebrną rękojeścią...

- Pora położyć kogoś do łóżka... - przerwała szybko Rebecca, bo widząc złowrogie błyski w oczach męża, nabrała obaw, że jej szwagier, choć wicehrabia, zostanie skarcony.

- Świetna myśl, kochanie. Połóż małego spać, a potem tu wróc. Obejrzymy sobie zachód słońca - poprosił Luke, gładząc jedwabiste włosy synka.

- Z przyjemnością - odparła Rebecca i zarumieniła się, co niezmiennie zachwycało jej męża.

Po kwadransie Troy leżał już bezpiecznie w sypialni obok swojego malutkiego braciszka, a Rebecca biegła do stodoły, do męża.

- Lady Ramsden, kolacja będzie gotowa za dziesięć minut - zawołała za nią Judith.

Rebecca zatrzymała się i z rozterką popatrzyła na chylące się ku zachodowi słońce.

- Lord Ramsden i ja musimy jeszcze omówić pewne nie- cierpiące zwłoki sprawy, a przy okazji... chcemy obejrzeć zachód słońca. Możesz chwilę poczekać z kolacją?

- Dwadzieścia minut wystarczy? - zapytała z uśmiechem Judith. Zobaczyła jednak niepewność, malującą się na twarzy swojej pani, i szybko zaproponowała, że przesunie kolację o pół godziny.

- Świetnie. Dziękuję ci Judith. - Rebecca określiła się na pięcie i już jej nie było.

Gospodyni popatrzyła z uśmiechem za swoją panią. Osiem lat po ślubie i dwóch udanych synów, a państwo nadal zachowują się jak w czasie miesiąca miodowego, pomyślała.

Edwina jechała do pani Farrow na prywatny wieczór karciany razem z Evangeline Filbert. Luksusowy powóz miękko kołysał i Edwina nabrała chęci do rozmowy.

- Co tam robisz? - zapytała.

- Skarpetki - odparła Evangeline. - Zrobiłam już dziesięć par. Lizzie zabierze je jutro do Bridewell dla więźniarek.

- No nie! - Edwina wyrwała jej druty z rąk i odrzuciła na siedzenie powozu. - Ty też! Czy wszyscy zajmują się tymi zbrodniarzami?

Evangeline wydawała się zawstydzona, a jej wargi zaczęły niepokojąco drżeć.

- Och, na Boga, tylko mi tu nie rozpaczaj. - Edwina rzuciła robótkę z powrotem na kolana swojej towarzyszki. - Jeśli naprawdę musisz, zrób jeszcze kilka rzędów. Ale jeśli będziesz się mazać, nie zabiorę cię więcej do swoich przyjaciół i będziesz siedziała w domu sama.

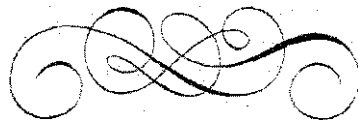
- Chętnie odwiedzam pani przyjaciół. Są tacy... tacy... wytworni, intrygujący i interesujący - wyszeptała Evangeline w zachwycie.

Matka Evangeline była przyjaciółką Edwiny. Przed kilku laty zmarła, a wtedy Edwina wzięła pod swoje skrzydła jej czterdziestotrzyletnią córkę, starą pannę. Dzięki temu Evangeline kilka razy w tygodniu się nie nudziła, a Edwina miała towarzystwo podczas wizyt u znajomych, którzy nie zawsze cieszyli się kryształową reputacją. Obu im odpowiadał taki układ.

Na dzisiejszy wieczór zaproszono je do pretensjonalnie wytwornej wdowy, aktualnej kochanki księcia Vermonta, która nie kryjąc się z tym zbyt, przyprawiała mu rogi z każdym pełnym wigoru młodym mężczyzną, jaki wpadł jej w oko. Starzejący się książę nie zwracał jednak na to uwagi i nadal się w niej durzył. Pani Farrow przyjmowała u siebie gości, którzy według ocen Edwiny należeli do półświatka. Byli jednak towarzystwem ciekawszym niż państwo Heathcote, u których musiałyby siedzieć na kanapie, słuchając dywagacji Sophie o tym, jak koniunkcje poszczególnych planet mogą zmienić ludzkie losy.

Maria Farrow była około dwudziestu lat młodsza od Edwiny, ale mimo tak znacznej różnicy wieku, obie panie miały ze sobą wiele wspólnego. Prawdę mówiąc, ich charaktery i usposobienia były bardzo podobne. Tyle że nieżyjący już mąż Edwiny przestawał z ziemiaństwem, dzięki czemu mogła się pochwalić wieloma ważnymi koneksjami. Państwo Sampson mieli tylko jedno dziecko i właśnie ta ukochana córka wyszła za mąż za arystokratę. Poślubiła markiza Thorneycrofta i urodziła mu śliczną dziewczynkę. Niestety, zimą córka poślizgnęła się na lodzie, pechowo upadła i zmarła. Markiz nie chciał dopuścić, by tytuł i rodowa posiadłość Thorneycroftów przeszły w ręce znieawidzonego kuzyna, dlatego powtórnie się ożenił. Druga żona nie dorastała pierwszej do pięt, ale za to już w pierwszym roku małżeństwa urodziła chłopca, co boleśnie dotknęło Edwinę.

Lizzie nadal z uporem odmawiała zamążpójścia, ale Edwina nie traciła nadziei, że wnuczka kiedyś zmieni zdanie. Ciągłe nie było za późno, choć od pewnego, brzemiennego w skutki, letniego wieczoru, kiedy jej wnuczka została skompromitowana, minęło dziesięć lat.



Rozdział drugi

- Droga Mario, jest tak gorąco, że można by upiec wołu - stwierdziła Edwina, energicznie machając wachlarzem.

- Witaj, Edwino. Niestety, będziesz musiała zadowolić się pasztecikami cielęcymi - zażartowała Maria. - Pieczenie wołu, nawet dla ciebie, najdroższa, wydaje się nazbyt... średniowieczne. A ten ogień w kominku płonie specjalnie dla Jego Wysokości - wyznała, skłaniając ufryzowaną kasztanową główkę w kierunku dostojnego, łysiejącego dżentelmena, grającego w wista przy stojącym w pobliżu stoliku. - Od kiedy Charlie usłyszał, że młody Carstairs spędził tu w zeszłym tygodniu noc, dba, żeby nie było mi zimno. Tłumaczyłam mu, że gdyby ten dzielny młody żołnierz nie ogrzał mi łóżka, zamarzałabym na śmierć. Następnego ranka znalazłam pod drzwiami porąbany cały las.

Edwina roześmiała się i gestem wskazała swój kieliszek.

- Cóż to za mikstura? - zapytała. - Smakuje jak soczek dla niemowląt. Czyżby księżę tak dużo wydał na twój opał, że zabrakło mu już na wino?

- Jego Wysokość życzy sobie, abym dzisiaj wieczorem była trzeźwa. Wczoraj trochę za dużo wypłam i nie zdołał mnie obudzić. Choć jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mógł sobie pofolgować, kiedy spałam. Dla mnie to bez znaczenia.

Edwina stłumiła chichot, a Maria z wdziękiem pospieszyła witać nowych gości. Z alabastrową skórą, jasnymi lokami i smukłą figurą w białej muślinowej sukni wyglądała jak urocze wcielenie dziewiczej niewinności.

Edwina z pogodnym uśmiechem skinęła głową kilku znajomym, choć tak naprawdę była zirytowana. Nie odczuwała przyjemności, jaką powinno jej sprawiać towarzystwo, dobre jedzenie, trunki i muzyka, mimo że wszystko było jak zwykle wyśmienite. Coś innego psuło jej humor.

Kiedy znalazła się przed domem Marii, spostrzegła powóz Alice Penney, zatrzymujący się kilka domów dalej, a sama pani Penney, wysiadając, specjalnie postarała się, by ją zauważono, i uśmiechnęła się do Edwiny w sposób, który teraz nie dawał jej spokoju. Doszła do wniosku, że pani Penney wygrała zakład, a Harry Pettifer postanowił zmienić chlebobawczynię. Kto wie, czy Ust z jego rezygnacją nie czeka już na nią w domu? Musiała to sprawdzić, a fakt, że nie może przestać o tym myśleć, okropnie ją irytował.

Wyszła na taras zaczerpnąć chłodnego, nocnego powietrza i z całej siły zacisnęła dłonie na żelaznej balustradzie.

- Jest pani dzisiaj w bojowym nastroju, pani Sampson. A tę kwaśną minę ćwiczyła pani chyba, pijąc sok z cytryny - odezwał się ktoś z ciemności.

Edwina przybrała pogodny wyraz twarzy i wbiła wzrok w ciemność. Ochryply baryton wydał się jej znajomy, ale to chyba nie był jej ulubieniec. Tamten niedawno skonfiskował przemytnikom prawdziwą fortunę w złotych sztabach, które miały trafić na kontynent i zwrócił ją królowi. Ten niezwykle czyn zaskarbił mu sympatię i od tej pory był bardzo miłe widziany na dworze.

Mało prawdopodobne, by nowo mianowany wicehrabia Stratton siedział samotnie w ciemności na tarasie nie najmłodszej kurtyzany, nawet jeśli na przyjęciu był akurat obecny jej książęcy kochanek. Edwina nie mogła sobie wyobrazić, by książę Vermont i wicehrabia Stratton mogli być przyjaciółmi. Dwadzieścia lat różnicy i skrajnie odmienne temperamenty wykluczały taką zażyłość. Stratton zawsze był pierwszy do wyścigów i do walki na pięści, lubił też towarzystwo wesołych ladacznic, a Jego Wysokości zdarzało się nie dokończyć nie tylko partii wista, ale także łózkowych igraszek z kobietą. Wokół pana Trelawney, nawet kiedy nie był jeszcze wicehrabią, zawsze kręciły się młode damy, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

Edwina zobaczyła żarzący się w ciemności koniec cygara.

- Czy to ty, Trelawney? - zapytała. - Postanowiłeś odpocząć od towarzystwa w Carlton House i spędzić wieczór w slumsach? Powinnam przed tobą dygać? - zapytała pół żartem i roześmiała się radośnie, widząc wysokiego, ciemnego i wyjątkowo przystojnego mężczyznę, który wyszedł z cienia i stanął w smudze bladego światła, padającego na taras z salonu.

- Uznam, że to były gratulacje. - Mężczyzna sucho skomentował jej słowa. - Jak się masz, Edwino?

- Bywało lepiej - sarknęła, przypominając sobie dlaczego wyszła na taras. - Jestem bardzo urażona, Ross, ale cieszę się, że cię widzę. Ostatni raz widzieliśmy się... - Urwała, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się widzieli.

- Dwa lata temu w Vauxhall - powiedział wicehrabia Stratton. - Ostatnio nie bywam w Londynie tak często jak kiedyś.

- A jeśli już się pojawisz, czaisz się w ciemności. Czyżbyś nagle stał się nieśmiały?

- Zawsze taki jestem, jeśli kobieta myśli o mnie w kontekście poważnego związku. Ale to nie dlatego tu siedzę - przyznał, błyskając w uśmiechu białymi zębami. - W środku jest tak gorąco, że nie wiedziałem, czy ten dziwny trunek, który tam serwują wypić, czy chlusnąć nim w ogień.

- Współczuję ci w obu przypadkach. - Edwina popatrzyła z odrazą na swój kieliszek. - A więc nadal jesteś kawalerem... ale nie wierzę, by różne młode kokietki nie próbowały cię schwytać.

- Próbują, Edwino, próbują - przyznał cierpko. - Ale żadnej się to jeszcze nie udało.

- Jesteś pozbawionym serca draniem - odparła z uśmiechem, a w jej oczach pojawiły się przebiegłe błyski. - Zresztą rozumiem, że w wieku trzydziestu trzech lat nie interesują cię już podfruwajki. Jesteś wyrobiony towarzysko i obyty w świecie i potrzebujesz starszej i mądrzejszej kobiety.

- Czyżbyś zamierzała mi się oświadczyć? - zapytał w wystudiowaną powagę Ross.

Klepnęła go wachlarzem w ramię, udając oburzenie, przy czym ani na chwilę nie przestawała intensywnie myśleć.

- Czemu jesteś dzisiaj taka przygnębiona? Oczywiście pominąwszy brak dobrego koniaku - zapytał Ross, ot tak, żeby coś powiedzieć.

- Prawdę mówiąc, chętnie ci się zwierzę. A ponieważ chodzi o szykującą się podstępna kradzież z przyjemnością wysłucham opinii eksperta w tej dziedzinie - zażartowała. - Odwiedź mnie jutro. Zjemy kolację i poplotkujemy. Może uda ci się zrobić wrażenie na mnie... i na mojej wnuczce opowieściami o twoich bohaterских wyczynach. Pora, żebyś poznał moją wnuczkę - dodała, widząc, że Ross waha się, czy przyjąć zaproszenie, a kiedy dostrzegła jego podejrzliwe spojrzenie, szybko dodała. - Zobaczysz, że będziesz się dobrze bawił, a poza tym może zrobimy na boku jakiś mały zakładzik. Pamiętasz dwa tysiące gwinei, którymi podzieliliśmy się po zakładzie, czy księżna Marlborough przeżyje księżnę Cleveland...? To był niezwykle dzień. Potrzebowałeś lekarza, a ten, który się zjawił, przyszedł prosto od łoża boleści księżnej. Jak tam te stare rany? - zapytała z macierzyńską troską w głosie.

- Dawno o nich zapomniałem. Zresztą przybyło kilka nowych, które także się zagoiły.

Nagle na tarasie pojawiła się młoda kobieta.

- Szukałam pana, lordzie Stratton - powiedziała. - Myślałam, że pójdziemy tam, gdzie można wypić coś lepszego. Och, przepraszam, nie wiedziałam, że rozmawia pan ze swoją babcią. - Kobieta przeproszającym gestem zasłoniła karminowe usta. - Bo to chyba jest pana babcia, prawda?

Cecily Booth stała oparta o framugę drzwi, a światło płonących w salonie świec obrysowywało dokładnie jej ponętne kobiece kształty okryte przejrzystym woalem.

Przebijając wzrokiem mrok, Edwina przyjrzała się spod zmrużonych powiek młodej buzi. Kobieta nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale jej swoboda i wyrobienie, świadczyły o tym, że już od kilku lat była utrzymanką. Zerknęła na Rossa, a widząc, że się śmieje, zmarszczyła brwi, co skwitował lekkim wzruszeniem ramion.

Edwina dumnym krokiem ruszyła do drzwi i wzrokiem zmusiła Cecily, by jej zrobiła przejście.

- Owszem, ja mogłabym być jego babcią - powiedziała miękko. - A ciekawe, czym ty możesz dla niego być?

Widząc zaciśnięte usta Cecily, uśmiechnęła się tryumfalnie i powiedziała do Rossa.

- Przyjdź jutro o siódmej, Stratton. Tylko się nie spóźnij. Suflet nie lubi czekać i ja też nie. - Obróciła się na pięcie i odeszła.

Przemaszerowała między gośćmi, zawołała Evangeline i, z nikim się nie żegnając, odprowadzana tylko przez lokaja, wsiadła do powozu.

Cecily rzuciła chmurne spojrzenie swojemu kochankowi, a ponieważ nie zwracał na nią uwagi, dotknęła jego ręki. Ross nadal stał bez ruchu, wpatrzony w gwiazdziste niebo, więc zaborczym ruchem chwyciła go pod ramię i westchnęła.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała.

- To moja dobra przyjaciółka.

- Mówiłam ci wczoraj, babciu, że dzisiaj wychodzę.

- Tak... tak, zapomniałam. Zresztą ważne, żebyś wróciła na kolację. Dziś mamy gości, a to tak rzadko się zdarza.

- Znam ich?

- Nie. To mój stary przyjaciel. Dużo podróżuje i nie widziałam go od wieków. Kiedy mieszkałaś jeszcze z ojcem w Thorneycroft grywaliśmy razem w karty i zdarzało się nam czasem zakładać. Nie znasz go, ale tak jak mówiłam, to... lubiący przygody dżentelmen, który pływał po morzach i może opowiedzieć wiele ciekawych historii, a obecnie cieszy się wielką sympatią na dworze.

Lady Elizabeth Rowe naciągnęła rękawiczki i poprawiła czepek na jasnych włosach.

- Przypuszczam, że dużo bardziej zależy mi na twoim towarzystwie niż na moim. Cieszę się, że spotkasz starego przyjaciela i z przyjemnością go poznam, jeśli zdążę wrócić z Bridewell. Wydaje się, że to ciekawy jegomość... - Elizabeth wyjrzała przez okno i zobaczyła czekający powóz Hugh. - Muszę już bieć...

- Powiedz pastrowi, że oczekuję cię w domu o siódmej, bo na kolacji będzie dzisiaj wicehrabia Stratton - zawołała za nią babka.

Elizabeth wsiadła do powozu.

- Mam tu dwadzieścia par robionych na drutach skarpet, kupon materiału подарowany przez panią Heathcote, moje cztery wełniane chusty i trzy kaszmirowe suknie, które zrobiły się za ciasne na moją babcię - wymieniała, pokazując dużą torbę. - Wykrałam je ukradkiem, ale babcia nigdy się nie zorientuje, że ich brakuje. Nie przyjmuje do wiadomości, że tyje, twierdząc, że to suknie kurczą się w praniu - wyznała, patrząc na pastora roziskrzonym wzrokiem.

- Czy pani Sampson wspominała o wicehrabim Strattonie, czy źle usłyszałem?

- Wydaje mi się, że właśnie takie nazwisko wymieniła, mówiąc o starym znajomym, który przychodzi dziś do nas na kolację. Zdaje się, że to bardzo ciekawy człowiek.

Pastor zacisnął zęby, ale nic nie odpowiedział.

- Czy coś się stało? - zapytała zaskoczona.

- Nie - odparł z wymuszonym uśmiechem. - Pani Sampson jest osobą nieco... ekscentryczną i czasami otacza się dziwnymi ludźmi. Jestem jednak zdziwiony, że wicehrabia należy do jej znajomych.

- Dlaczego? - zapytała bez specjalnego zainteresowania.

- Wicehrabia jest kawalerem i... nie cieszy się najlepszą reputacją. Zresztą tytuł otrzymał dopiero niedawno, nie czytałaś o tym w gazetach? Wasz dzisiejszy gość nazywa się Ross Trelawney, może to ci o nim więcej powie.

Oczy Elizabeth rozszerzyły się z niedowierzaniem.

- Trelawney? Ten pirat z Konwalii, który bez przerwy pakuje się w jakieś awantury i skandale? Złodziej i bandyta?

- Nie bandyta, raczej przemytnik. Oczywiście teraz wszyscy fetują go jako tego, który chwycił przemytników i na przestrzeni lat odzyskał dla Korony prawdziwą fortunę w zrabowanym złocie. Właśnie za to dostał tytuł, choć przez wiele lat jego postępkami kryła tajemnica - zakończył złowieszczo pastor.

- To niemożliwe - w głosie Elizabeth brzmiała mieszanina rozbawienia i grozy - ale wydaje mi się, że słyszałam, jakoby Ross Trelawney wyciął wrogowi wątrobę, kazał ją usmażyć i zjadł na śniadanie.

- Nie ma wątpliwości, że to drań, ale nawet on nie zrobiłby czegoś takiego. Jednak młode panienki, które cenią sobie swoją cnotę, powinny go obchodzić szerokim łukiem. I proszę, bez ironicznych komentarzy na temat twojej reputacji. Ja osądzam ludzi po ich postępkach i mogę śmiało powiedzieć, że nie znam cnotliwszej i bardziej oddanej dobroczynnej pracy damy niż ty.

- Dziękuję, Hugh. Proszę, pamiętaj, że później dołączy do nas Sophie. Powiedziałam jej, że jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, może wrócić do domu razem z nami.

Słuchała pastora, ale jej myśli krążyły wokół intrygującej możliwości, że jeżeli nie zaszła pomyłka, wynikająca ze zbieżności nazwisk, jej babcia rzeczywiście miała zamiar zjeść kolację w towarzystwie osławionego drania. A ona powiedziała, że to może być ciekawe towarzystwo!

Jeśli wierzyć plotkom, nowy wicehrabia Stratton był równie zatwardziałym rozpustnikiem, jak jej najgorszy wróg, odrażający hrabia Cadmore. Tyle że hrabia był dandysem, którego żywiołem było miasto, a imię Rossa Trelawneya pojawiało się w wydarzeniach, rozgrywających się na wybrzeżach Kentu czy w Bristolu, a nawet we Francji. Właśnie podczas wojny we Francji miał ponoć smażyć tę wątrobę i Elizabeth przyszła nagle do głowy zupełnie idiotyczna myśl; czy zdołał tam znaleźć cebulę, żeby ją przyprawić? Wsadziła pięść do ust, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Ale dlaczego babcia tak nalegała, żeby Elizabeth zjadła kolację w towarzystwie cieszącego się złą sławą awanturnika, który pewnie mówi z pełnymi ustami i rechocze w nieodpowiednich momentach?

Jeśli choć połowa tego, co o nim mówiono, była prawdą, Trelawney nie był odpowiednim kompanem dla łagodnej, cichej starej panny, choć babcia, lubiąca pieprzne opowieści, mogła się dobrze bawić w jego towarzystwie.

Elizabeth przypomniała sobie wczorajszą kłótnię i stanowczość, z jaką Edwina mówiła o jej małżeństwie. Na ogół po takiej sprzeczce babcia bywała obrażona przez dwa albo trzy dni, a dziś zachowywała się tak, jak gdyby zupełnie nic się nie stało. Ciekawe, co mogło ją wprowadzić w tak doskonały humor? Nagle przypomniała sobie, że Hugh, mówiąc o Trelawneyu, nazwał go kawalerem i nabrała złych przeczuc. Był on teraz członkiem Izby Lordów i dobrze urodzona żona mogła mu być potrzebna dla dopełnienia nowego wizerunku dżentelmena. Czyżby historia jego życia uczyniła go nieakceptowalnym dla dam z towarzystwa, a członkowie socjety, mimo jego tytułu, ziemi i bogactwa odwrócili się do niego plecami? Może babcia wierzyła, że w tej sytuacji wicehrabia da się namówić na ślub z panną dobrze urodzoną, ale o opinii równie zszarganej jak jego własna?

Co za bzdury chodzą mi po głowie, pomyślała zirytowana. Trelawney musi być w zaawansowanym wieku, bo gdyby był młodszy nie zależałoby mu tak bardzo na ożenku. Zresztą taki rozpustnik jak on ma na pewno wiele dzieci rozsianych po całym kraju i któreś z nich może wyznaczyć na swojego dziedzica.

Uspokojona tą myślą, uśmiechnęła się do pastora tak słodko, że o mało nie zemdlął z przejęcia. Starając się opanować, strzelił lejcami i pogonił konie.

- Załóż się, że zdołasz go zatrzymać, a potem go przekup, żeby został - poradził Ross. - Jeśli Harry się zgodzi, to kwotę wydaną na przekupstwo, odliczysz sobie z wygranej.

- Już o tym myślałam i jestem pewna, że Pettifer nie pogardzi propozycją wcześniejszej emerytury. Problem polega na tym, że w tej chwili brakuje mi gotówki, a jeśli mam zatrzymać kamerdynera i założyć się o kwotę, która zwali na kolana tę całą Penney, to muszę działać szybko. Zanim sprzedam jakieś akcje, będzie za późno. Potrzebuję pokaźnej kwoty gotówką...

Ross rozglądał się po przytulnej, eleganckiej jadalni, zastanawiając się, co go skłoniło, by przyjąć to zaproszenie. Oczywiście jedzenie u Edwiny zawsze było doskonałe, a poza tym ona sama jest zajmującą rozmówczynią. To samo jednak mógł powiedzieć o Cecyli, a przy tym ta druga była niewątpliwie miłsza dla oka i mogła zaoferować dodatkowe rozrywki. A jednak spędzał wieczór w towarzystwie sześćdziesięcioletniej kobiety, doradzając, jak przechytrzyć przyjaciółki i zatrzymać przy sobie jakiegoś staruszka, którego tamte chciały jej odebrać.

Uznał, że za dużo czasu spędza na dworze z królem, który był znany ze swej słabości do dojrzałych i pulchnych kobiet. Ross gustował w pełnych życia, młodych pannach i paniach, które tak jak on lubiły hulanki i nie stawały się zaborcze ani nie płakały, kiedy odchodził, by bawić się z innymi. Dlatego nie umiał zrozumieć, co nim kierowało przy wyborze towarzystwa na dzisiejszy wieczór. Pomyślał o Cecyli i o tym, że ostatnio co wieczór zupełnie nieoczekiwanie pojawiała się u jego boku. Nie podobało mu się, że była wszędzie tam, gdzie on, bo kiedy wychodził, żeby się zabawić z przyjaciółmi, chciał czuć się wolny.

Patrząc, jak Edwina z przyjemnością pochłania kolejne porcje mięsa i warzyw, uśmiechnął się do siebie. Uzmysłowił sobie, że przyjął jej zaproszenie, bo pragnął odmiany, a kobiety, w których towarzystwie przebywał, były próżne i nieszczerze i bez przerwy coś udawały. Edwina nie robiła min, nie prowadziła podstępnych gier i nie próbowała dopatrywać się poważnego związku tam, gdzie on widział zwykły romans. Nie czyniła aluzji na temat ulubionej biżuterii ani nie próbowała wyłudzić pieniędzy. Chodziło jej wyłącznie o jego towarzystwo i radę. Kolacja upływała w miłej atmosferze i Ross był w dobrym nastroju.

- Masz piękny dom, nie wydaje się, żeby brakowało ci pieniędzy - zauważył.

- Niczego mi nie brakuje. Prawdę mówiąc moje interesy nigdy nie stały lepiej. Lubię, jak pieniądź robi pieniądź, i dużo inwestuję. I właśnie dlatego w tej chwili... nie mam wolnych środków. A ty zawsze masz pod ręką jakąś gotówkę niezbędną do życia na poziomie, który dla takich zwykłych śmiertelników jak ja jest luksusem.

A już myślałem, że znalazłem kobietę, która naprawdę nic ode mnie nie chce, pomyślał Ross.

- Dlaczego po prostu nie powiedziałaś? - zapytał cierpko.

- Potrzebuję dwanaście tysięcy... oddam za dwa tygodnie i zapłacę dobry procent - odparła, i, ocierając usta białą serwetką, przyglądała mu się przenikliwie.

- Dwanaście tysięcy?! - powtórzył z niedowierzaniem. - Za tę kwotę twój kamerdyner będzie mógł sobie kupić własną rezydencję ze służbą i powozami... Czyżbyś się w nim podkochiwała?

Edwina zaprzeczyła ruchem ręki, ale nie zdołała powstrzymać dziewczęcego chichotu.

- Nie bądź głupi, to nie dla niego! Harry ucieszyłby się z dziesiątej części tej kwoty. O resztę chcę się założyć z Alice Penney... oczywiście najpierw muszę ją przekonać, że ma duże szanse, by wykraść mi Pettifera. Alice ma po mężu dziesięć tysięcy rocznego przychodu, a oprócz tego dużą posiadłość w Surrey, rezydencję w Mayfair i dom w Brighton. Stać ją na to, by przegrać ten zakład... a poza tym należy się jej nauczka.

Edwina zajęła się na powrót jedzeniem, cały czas czując na sobie spojrzenie Rossa.

Odkąd gazety napisały o jego tytule, bez przerwy podsuwano mu różne panny. Nie mógł wyjść na ulicę, żeby nie natknąć się na jakieś matrony, podtykające mu pod nos swoje młodsze wersje, powołując się na jakieś dawne, przelotne znajomości. Przypuszczał, że Edwina również przedstawi mu pulchną panienkę, która będzie się rumienić i chichotać podczas kolacji, ale, jak widać, jego obawy były bezpodstawne.

- Twoja wnuczka nie zje z nami? - zapytał obojętnym tonem.

Edwina się zakrztusiła. Do diabła! Była pewna, że zapomniał. Żałowała, że w ogóle o niej wspomniała. Miała jednak nadzieję, że wnuczka nagle nie okaże się posłuszna i nie wróci do domu na kolację. Bardzo chciała, żeby Elizabeth zabawiła dziś poza domem do późna. Wszystko tak dobrze szło... Aż nagle Ross stał się zbyt cyniczny. A nie był to mężczyzna, z którego można bezkarnie zrobić durnia...

- Moja wnuczka spełnia dobre uczynki i nic innego jej nie interesuje. Cały czas spędza z nudziarzami i z duchownymi. Nie spodobałaby ci się - skwitowała temat Edwina. - Nie zmieniaj tematu. Jesteś mi winien przysługę. Zapłaciłam kiedyś twój dług, ratując cię przed więzieniem, pamiętasz? A innym razem, kiedy przez całą noc grałeś o dużą stawkę, zastąpiłam cię na godzinkę przy stole, żebyś mógł się trochę przespać, bo już nie widziałeś na oczy.

- Już dobrze... poddaję się. - Ross się roześmiał. - To przecież tylko pieniądze. Dam ci najwyżej dziesięć tysięcy i nie dłużej niż na dwa tygodnie - powiedział, poważniejąc. - Teraz muszę się liczyć z pieniędzmi. Nie tak jak kiedyś. Mam na utrzymaniu kilka osób i wymagającą inwestycję ziemską posiadłość. W Stratton Hall można oglądać gwiazdy wprost z własnego łóżka, bo co najmniej od dziesięciu lat nikt nie naprawiał tam dachu.

- Zróbmy jakiś mały zakładzik, a może zarobisz na swój dach. Przecież wiesz, że zawsze płacę swoje długi - namawiała Edwina, - Znamy się od piętnastu lat. Kiedy po raz pierwszy przyjechałeś do Londynu, od razu cię polubiłam... traktowałam cię jak członka rodziny, jakbyś był moim wnukiem. Już w wieku osiemnastu lat wiedziałeś, jak używać swojego wdzięku i uroku.

- Pamiętam, że byłeś dla mnie dobra, i dlatego pożyczę ci pieniądze. Wyślij jutro kogoś do Jaceya na Lombard Street po umowę do podpisu.

- Chcesz ze mną podpisywać umowę? Nie ufasz starej przyjaciółce, która uratowała cię przed więzienną celą?

- Ależ ufam - odparł z czarującym uśmiechem Ross. - Wiem, że tak samo jak ja nie chciałabyś się znaleźć w celi, i nie zniósłbym, gdyby nasza przyjaźń rozpadła się dlatego, że ktoś mógłby trafić do więzienia. Zresztą umowa jest korzystna także dla ciebie, bo przecież mógłbym chcieć się wycofać z tak szalenie szczerą ofertą.

Po wizycie w więzieniu dla kobiet i dzieci członkowie Towarzystwa Przyjaciół spotykali się w domu pani Martin, gdzie przy herbacie omawiali działalność Towarzystwa i robili plany na przyszłość. Zazwyczaj Elizabeth brała żywy udział w tych dyskusjach, ale dziś prawie się nie odzywała. Dochodziło wpół do dziesiątej, a ona czuła się zmęczona. Odstawiła filiżankę i uznała, że najwyższa pora wracać do domu.

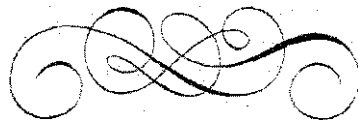
Całe popołudnie i wieczór jej myśli zaprzętał wicehrabia Stratton. Widywała piratów na obrazkach w książkach i była ciekawa, czy przyjaciel babci ma złoty ząb albo kolczyk w uchu. A może trzyma papugę albo małpkę? Z jednej strony, chciałaby pojechać do domu, żeby się o tym przekonać, a z drugiej, starała się przeczekać jego wizytę i uniknąć spotkania.

Pastor zrozumiał jej intencje i kiedy zegar wybił wpół do dziesiątej zapytał, czy jest gotowa wyjść.

Elizabeth kiwnęła potakująco głową i popatrzyła znacząco na Sophie. Podjęła decyzję. Chce wrócić do domu i rzucić okiem na tego intrygującego łotra. Jeśli zdąży do Marylebone przed dziesiątą, powinna go jeszcze zastać. Wiedziała z doświadczenia, że goście babci potrafili długo siedzieć przy stole albo przy muzyce.

Kiedy odwieźli do domu Sophie, pastor skierował powozik w stronę domu Elizabeth i rozpoczął dyskusję o zastosowaniu przymusowych ciężkich robót, jako środka mającego zniechęcać skazanych do powrotu do więzienia. Elizabeth uważała, że to kiepski pomysł, i zaczęła tłumaczyć dlaczego, ale nagle na widok pary pięknych siwych koni zaprzężonych do eleganckiego powozu słowa zamarły jej na ustach. Poczuli, że serce jej mocniej zabiło, bo wjechali właśnie w Connaught Street. Przestała słuchać wywodów pastora, a kiedy mijali elegancki zaprzęg jej wielkie fiołkowe oczy z ciekawością zajrzały w okno powozu.

Wydawało się jej, że dostrzegła czubek pochylonej nad zapaloną zapalką czarnowłosej głowy i koniuszek cygara przytknięty do płomienia. Ogień zapalki oświetlił mocny profil i pasma włosów opadające na policzki. Mężczyzna odsunął włosy z twarzy. Jego białe zęby chwyciły cygaro, a zmysłowe usta delikatnie je objęły. Gasząc zapalkę, obojętnym spojrzeniem obrzucił mijający go powozik. Dostrzegł wielkie, błyszczące oczy i jasne loki, ale o sekundę za późno, bo powozy już się minęły.



Rozdział trzeci

- Co się dzieje, kochanie? Wyglądasz tak mizernie! - zawołała Edwina, unosząc wzrok znad książki. - Naprawdę musisz skończyć z tymi wizytami w więzieniu. Za każdym razem, kiedy stamtąd wracasz, wyglądasz coraz żałośniej. Poza tym boję się, że przyniesiesz stamtąd jakieś choroby albo wszy.

- Czy ten mężczyzna, który właśnie odjechał, to wicehrabia Stratton? - zapytała Elizabeth i zrywając z głowy czepek, zaczęła chodzić po pokoju.

- Tak, to był on. Wyszedł zaledwie kilka minut temu. Gdybyś wróciła ciut wcześniej, jeszcze byś go zastała - odparła, zadowolona, że do tego spotkania jednak nie doszło. - Kolacja się udała. Stratton był zadowolony...

- W jakim wieku jest wicehrabia Stratton? - dopytywała się Elizabeth. - Mówiłaś, że to stary znajomy, więc uznałam, że musi być stary... tak stary jak ty.

- Dziękuję, że przypomniałaś mi, ile mam lat - odrzekła oschle Edwina, odruchowo sięgając po kawałek marcepanu. - Znam go od jakichś piętnastu lat, tyle że kiedy go poznałam był osiemnasto - lub dziewiętnastoletnim chłopcem. Miał trafić za kratki. Brakowało mu wtedy wykształcenia, ciągle tylko się bawił... - Edwina przerwała i zirytowana popatrzyła na wnuczkę. - Przestań wreszcie chodzić w koło, bo kiedy na ciebie patrzę, kręci mi się w głowie. Czemu nagle tak cię to interesuje? - zapytała i od razu się domyśliła. - Widziałaś go na ulicy, tak? Przystojny diabeł, prawda? Złościsz się, że zamiast wrócić na kolację, marnowałaś czas w towarzystwie swojego pastora? Nie jesteś pierwsza, na której zrobił takie wrażenie. Na własne oczy widziałam bezwstydną damulki, udające, że mdleją, tylko po to, żeby je podnosił.

- Masz rację, babciu, jestem wzburzona i zła, bo opisując jego lordowską mość, miałas w połowie rację! - krzyknęła Elizabeth, a jej fiołkowe oczy ciskały gromy. - Stratton jest prawdziwym diabłem. Nawet ja, choć od dawna nie bywam w towarzystwie, słyszałam o Rossie Trelawneyu. Postanowiłaś jednak przemilczeć fakt, że on i wicehrabia Stratton to jedna i ta sama osoba. Hugh mi o tym powiedział i oboje byliśmy zszokowani, że nie tylko znasz takie osoby, ale nawet zapraszasz je do domu na kolację.

- Nie bądź obłudna, Lizzie. Naprawdę myślisz, że obchodzi mnie opinia twojego pastora? Albo że Stratton się z nią liczy? - Edwina bacznie przyjrzała się wnuczce. - Wyjątkowo interesujesz się mężczyzną, o którym tylko słyszałaś i który raz mignął ci przed oczami. Czy on też cię widział?

- Nie... zresztą nie wiem. - Wytrącona z równowagi Elizabeth nadal krążyła po pokoju. - Było ciemno, a powozy szybko się minęły. Myślę, że spojrział w moją stronę.

- To dobrze - mruknęła do siebie Edwina.

- Z tego, co zdołałam dostrzec, Stratton przypomina cygana i wygląda na barbarzyńcę... którym zresztą jest.

- Ma ciemną karnację i czarne włosy, ale nie jest śniady. I nie przejmuj się tymi wszystkimi historiami o zjadaniu wątroby i rozbojach na morzu. Stratton stał się popularny w towarzystwie, więc na pewno pojawią się opowieści o dziewicach, które zniewolił w przyprawie dzikich żądź, lub ratował w chwilach romantycznych uniesień. Wątpię, by cokolwiek prostował, bo w gruncie rzeczy uważa to pewnie za dosyć zabawne. Zresztą teraz, kiedy cieszy się względami króla, mógłby sobie upiec na rożnie na obiad ulicznika, a lady Conyngham i tak zaprosiłaby go na bal. Jeśli przyjdzie, będzie musiał wziąć ze sobą różgę, żeby opędzać się od dam.

- Nie widzę nic zabawnego w żartach z uliczników. A jeśli chodzi o plotki, to na ogół w każdej jest ziarnko prawdy.

- Sama powinnaś najlepiej wiedzieć, że nie zawsze! - zawołała Edwina, ale szybko przeprosiła za tę uwagę, widząc rumieniec na twarzy wnuczki. - Stratton był na tyle miły, że o ciebie zapytał - dodała, chcąc rozładować atmosferę.

- Pytał o mnie? Przecież mnie nie zna! - pisnęła Elizabeth i wzburzona znów zaczęła chodzić po pokoju, modląc się w duchu: Panie, proszę, nie pozwól, by ten człowiek dowiedział się o mnie i o tym, co mnie spotkało. Szczególnie jeżeli ma zostać stałym gościem na Connaught Street. Dość mam lubieżnych spojrzeń Cadmore'a i jego składanych szeptem wstrętnych propozycji.

- Wspomniałam Rossowi, że mieszkam z wnuczką, i zapytał o ciebie przez grzeczność. To kulturalny i dobrze wychowany człowiek.

- To drań i dobrze o tym wiesz.

- Może i drań, ale także dżentelmen. Jego ojciec zgromadził wielką połać ziemi w Kornwalii i teraz zarządza nią jeden z braci Rossa. Najstarszy brat jest baronem i ma ogromną posiadłość w Brighton. Rodzina ma udziały w przedsiębiorstwach przewozowych, w kopalniach i w bankach na całym świecie. Są bogaci i wpływowi i żyją w dobrych stosunkach z innymi Uczącymi się rodami szlacheckimi. Wystarczy powiedzieć, że sir Richard Du Quesne i lord Courtenay są ich bliskimi przyjaciółmi i współnikami w interesach. A Ross wybrał życie pełne przygód i niebezpieczeństw, bo tak mu dyktowało serce, a nie finansowa konieczność.

- W tej sytuacji tym bardziej powinniśmy unikać towarzystwa tego szalonego człowieka - stwierdziła Elizabeth, ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo w pokoju pojawił się Pettifer, pytając, czy może już zamykać dom na noc.

- Zamykaj... ale zanim się położysz, chcę z tobą porozmawiać - powiedziała Edwina.

Elizabeth zerwała się z krzesła, pożegnała babcię i udała się do swoich pokoi, a Edwina usiadła wygodniej w fotelu i popatrzyła na wysokiego, onieśmiałającego mężczyznę, stojącego nieruchomo tuż obok. Kamerdyner wydawał się spokojny, podczas gdy Edwina nerwowo bawiła się guziczkami przy mankietach sukni.

- Czy mam rację, mówiąc, że przez te wszystkie lata dobrze cię traktowałam? - zapytała, kładąc ręce na kolanach,

- Tak, proszę pani. - Harry skłonił szpakowatą głowę i patrzył na Edwinę czystymi, błękitnymi oczami.

Mogła przysiąc, że dostrzeżę w jego wzroku rozbawienie. Poprawiła się znów w fotelu i przerwała przeciągającą się ciszę.

- A może chcesz się przekonać, czy trawa w Sussex jest bardziej zielona niż tutaj? - zagadnęła zirytowana spokojem Harry'ego, ale ugryzła się w język, by nie zdradzić, że zna jego plany.

- Chce pani, bym jej powiedział, czy zamierzam zgodzić się na propozycję pani Penney i przyjąć posiadłość w jej domu w Brighton? Albo czy interesują mnie podobne oferty pani De Vere czy lady Salisbury? - zapytał beznamiętnym tonem Pettifer.

- Dobrze wiesz, czego chcę. - Edwina przestała udawać nonszalancję i, zaczerpnąwszy pełną garść słodyczy, zaczęła nerwowo żuć.

Harry obejrzał dokładnie swoje błyszczące buty, a potem spojrzał w twarz chlebodawczyni.

- Nie odpowiedziałem jeszcze na oferty tych pań, ale nie mam ochoty sprawdzać, jaki jest kolor darni poza Londynem

- powiedział uroczyście.

- Czemu nie? - Edwina popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Wiem, że te wszystkie panie proponują ci więcej, niż zarabiasz u mnie.

- W moim wieku pieniądze nie są najważniejsze. Zresztą wystarcza mi na moje potrzeby i jeszcze coś mogę odłożyć. Nie chcę opuszczać panienki Elizabeth... ani pani.

- Bardzo lubisz moją wnuczkę - powiedziała zamyślona. - Rozpieszczałeś ją, kiedy jako dziecko przyjeżdżała tu razem z ojcem, a odkąd ze mną zamieszkała, wasze stosunki bardzo się zacieśniły.

- Ma pani rację. - Harry skłonił głowę. - Bardzo lubię panienkę Lizzy... i jej rodzinę. Od dawna pracuję w tym domu wierzę, że ceni pani moją lojalność.

Słowa Pettifera kryły w sobie delikatny wyrzut i Edwina poczuła, że robi się jej gorąco. Zakłopotana, chwyciła srebrną misę ze słodyczami i potrząsając nią ze wstydliwym uśmiechem, zachęcała go, żeby się poczęstował.

Harry zbliżył się i wziął mały kawałek marcepanu.

- Wydaje mi się, że oboje jak najlepiej życzymy lady Elizabeth i chcielibyśmy, żeby się ustatkowała, była szczęśliwa, miała dzieci, zanim będziemy za starzy, żeby je przytulić.

Lizzie ma już dwadzieścia osiem lat, a od czasu tamtego... niefortunnego wydarzenia ciągle jeszcze, zupełnie niepotrzebnie, stroni od towarzystwa.

- To kłopotliwa sytuacja, a lady Elizabeth jest dumną osobką. Ma zresztą do tego pełne prawo, bo jest nie tylko dobrze urodzona, ale także ma szlachetny charakter. To oczywiste, że chciałbym ją widzieć szczęśliwą.

- Twoim zdaniem teraz nie jest szczęśliwa?

- Czasami wydaje mi się... smutna, jakby za czymś tęskniła - odparł Harry, starannie dobierając słowa.

- Masz rację, czasami bywa smutna - przyznała Edwina. - Najwyższa pora, żeby wyszła za mąż.

- W pełni się z panią zgadzam. Lady Elizabeth będzie wspaniałą żoną, a jej mąż prawdziwym szczęściarzem.

- I doskonałą matką. Przepelniają ją uczucia, których nie ma na kogo przelać, bo pomoc bezdomnym i zablakany owieczkom nie zastąpi miłości do męża i dzieci. Może wystarczy popchnąć ją w odpowiednim kierunku, a sama to zrozumie.

- To bardzo mądre słowa i w pełni się z panią zgadzam. - Harry skinął głową.

- Miło było znowu zobaczyć Trelawneya - powiedziała, ciągle zarumieniona Edwina, muskając palcami atłas sukni.

- To prawda. Od kiedy zaczął panią odwiedzać, zawsze znalazł czas, by zapytać, co u mnie słychać. Nawet kiedy stał się ważny i bogaty. Uważam, że to porządny człowiek.

- To bardzo mądre słowa, Pettifer, i w pełni się z tobą zgadzam. - Edwina popatrzyła na niego przyjaźnie. - Wydaje się, że mamy podobne zdanie zarówno w sprawie mojej wnuczki, jak i wicehrabiego. Ciekawe, czy jest jakiś sposób, by oboje mogli na tym skorzystać?

Leżąc w pachnącej kąpieli, lady Elizabeth pozwoliła pobiec myślom do wypartych z pamięci, zamglonych wspomnień. Ludzie, wydarzenia, rozmowy... wynurzały się z bólem z głębi zapomnienia. Babcia opisała Strattona jako zimnego i obojętnego, choć niestroniącego od pewnych rozrywek.

Nagle coś sobie przypomniała i aż usiadła. Turban z ręcznika, przytrzymujący świeżo umyte włosy, rozwinął się, a ona zniecierpliwiona rzuciła go na matę, pozwalając, by wilgotne, platynowe loki opadły, zasłaniając jej szczupłe plecy i jędrne, zakończone różowymi sutkami piersi.

Przypomniała sobie, jak przed dziesięcioma laty przeprowadziła się z ukochanym ojcem i babcią Rowe do Londynu. Tamtego roku od maja do września nieustannie panowały upały, a powietrze było bardzo wilgotne. Jej babki nie znosiły się wzajemnie, więc kiedy babcia Rowe, wdowa po markizie, zjawiała się w mieście, babcia Sampson natychmiast wyjechała na lato do siostry do Harrogate.

W maju owego roku Elizabeth skończyła osiemnaście lat i została przedstawiona u dworu, które to wydarzenie rozpoczęło najbardziej pamiętny i ekscytujący, a zarazem druzgoczący okres w jej młodym życiu. Wtedy jeszcze nie wiedziała, jak jej losy się potoczą, i jedynym, co ją wówczas martwiło, było to, że matka nie doczekała, by zobaczyć na jaką piękną pannę wyrosła jej córka. Życie wydawało się wspaniałe i trudno było sobie wyobrazić, by coś mogło zmącić to szczęście, bo Elizabeth miała wszystko, o czym mogła marzyć młoda dziewczyna; urodę, żywy temperament i rozpieszczającego ją, kochającego ojca.

Elizabeth była bardzo pożądaną debiutantką. Będąc córką markiza, potomkinią jednego z najznamienitszych, choć może nie najbogatszych w kraju rodów, a do tego wyjątkowo urodziwą panną zawsze była otoczona tłumem dżentelmenów, rywalizujących o jej względy. Szeptano, że jej piękne fiołkowe oczy i jedwabiste platynowe włosy są najpiękniejsze. Dom ojca w Mayfair był nieustannie pełen gości, a ona sama była zasypywana zaproszeniami na najwspanialsze bale i najciekawsze wieczorki. Zwróciła na siebie uwagę najbardziej pożądanym kawalerów: w tym jednego księcia, dwóch hrabiów i trzech baronetów. Zaledwie w ciągu jednego miesiąca otrzymała dziewięć i pół propozycji małżeństwa. Jej ojciec śmiał się, że ta połówka pochodziła od młodego, nieustannie rumieniącego się adoratora, który jękając się, chwalał jej zalety, ale potem zawstydzil się tak, że nie był już w stanie wykrztusić swojej propozycji.

Rozpieszczona jedynaczka była próżna i arogancka. Flirtowała z każdym po trochu, łamiąc przy tym z pół tuzina serc, traktując to jak błahą zabawę, choć tak naprawdę wyboru dokonała już po miesiącu pobytu w Londynie. Mimo że babcia Rowe, wdowa po markizie, pilnowała i nie spuszczała z niej czujnego wzroku, Elizabeth zakochała się i z idealizmem właściwym naiwnej młodości wierzyła, że jej serce nie może się mylić.

Mężczyzna, w którym się zakochała, nie był świetną partią. Uprzedził ją, że jej rodzina będzie mu przeciwna, i przekonał, że jeśli chcą być razem, muszą się uciec do podstępów. Zaślepiona uczuciem, pełna wiary i pewności siebie, wynikających z braku doświadczenia, Elizabeth dała się ponieść duchowi romantycznej przygody, nie zważając na możliwe konsekwencje tego czynu. Wszystko odbyło się w pośpiechu, a jej wybór okazał się pomyłką. Przekonała się, jak smakuje gorzki odrzucenia, ale najbardziej bolało ją to, że swoim postępkami zdruzgotała ojca i złamała mu serce, okrywając przy tym wstydem i rzucając cień na jego nieskazitelne nazwisko. Fakt, że bezpowrotnie utraciła swoją pozycję, w porównaniu z rozpaczą ojca wydawał się jej mniej ważny.

Zacisnęła powieki, nie pozwalając, by przeszłość znowu ją zraniła i skoncentrowała się na wysokim, ciemnowłosym dżentelmenie, którego obraz utkwiał jej w pamięci, choć nigdy nie zaliczał się on do grona jej adoratorów. Zwróciła na niego uwagę, a choć tamtego parnego i gorącego lata nie zamienili ani słowa, zapamiętała go.

Należał do grupy młodych awanturników, którzy unikali utrzymywania konwencjonalnie poprawnych stosunków towarzyskich. Z rzadka pojawiali się w szacownych progach Almacku, gdzie odbywało się małżeńskie targowisko, czy na balach, na które matki przyprowadzały córki, mając nadzieję, że ktoś zwróci na nie uwagę. A jeżeli już się zjawili, to na ogół po godzinie uciekali w poszukiwaniu bardziej rozrywkowych miejsc. Przegrywali ogromne kwoty w najdziwniejszych zakładach i grach hazardowych. Byli arogancy i bogaci, a ich rozrzutność przeszła do legendy.

Nie wystarczał im fechtunek czy boks, ciągnęło ich do bardziej ryzykownych i niebezpiecznych sportów, a ostra rywalizacja nieraz zakończyła się śmiercią czy kalectwem. Zdarzało się też, że krewcy młodzieńcy walczyli o względy kobiet lekkich obyczajów, co w kilku przypadkach także zakończyło się tragicznie, a ci, którym szczęście dopisało, musieli uciekać za granicę, żeby tam przeczekać, aż ucichnie skandal.

Czasami w Almacku zjawiali się również zubożali dziedzice wielkich rodów, Ucząc na to, że uda się im wymienić tytuł na pieniądze i że mariaż z jakąś bogatą wdową pozwoli im odzyskać wolność i prowadzić wesole, hulaszce i rozwiązłe życie. Nawet będąc młodą dziewczyną, Elizabeth uważała, że małżeństwo z takim samolubnym, zepsutym mężczyzną musi być prawdziwym piekłem.

W jej wspomnieniach pojawił się tajemniczy, wyglądający na cygana młodzieniec, z długimi czarnymi włosami. Spod leniwie przymkniętych powiek nie było widać jego oczu, ale muskularne, silne ciało dowodziło, że regularnie uprawiał sport.

Widziała, że kiedy patrzył na nią i na jej przyjaciół, na jego twarzy pojawiał się wyraz rozbawienia, ale zdarzało się to bardzo rzadko, bo jego towarzystwa bez przerwy domagano się gdzie indziej. Los jednak zbliżył ich do siebie kilka razy, a wtedy nieznajomy wydawał się zupełnie obojętny na jej urodę i na tłumnie otaczających ją adoratorów.

Raz czy dwa, kiedy ukradkiem przyglądała się mu i jego towarzystwu, ich spojrzenia się zetknęły. Pamiętała kpinę widoczną w jego spojrzeniu i swoje zdenerwowanie, z jakim odwracała wzrok, do głębi oburzona, że ośmielał się z niej śmiać. Mimo to czuła się dotknięta, że częściej nie zwracał na nią uwagi.

Kiedy mając piętnaście lat, przestała być pulchną dziewczynką i nabrała kobiecych kształtów, zrozumiała, że mężczyźni lubią na nią patrzeć, i naiwnie upajała się myślą o potędze swojej kobiecości. W wieku lat osiemnastu jej twarz zmieniła się z dziewczęcej w kobiecą. Oczy nabrały intensywnego fiołkowego koloru, wyraźnie zarysowały się wysokie kości policzkowe, a rzęsy i brwi pociemniały, choć włosy nadal zachowały jasny, perłowy połysk. Zupełnie jakby natura postanowiła uczynić ją doskonale piękną specjalnie na tę chwilę, kiedy miała zaistnieć w towarzystwie.

Wszyscy, nawet nieznajomi, mówili jej, że jest piękna, a ona dobrze o tym wiedząc, spokojnie i z przyjemnością przyjmowała liczne hołdy składane swej urodzie, nie zdając sobie sprawy, że męskie zainteresowanie może się okazać niebezpieczne, a jej niewinność i szlachetne urodzenie nie są gwarancją szacunku i dobrego traktowania ze strony płci przeciwnej. Kiedy się o tym przekonała, było już jednak za późno.

Teraz widząc męskie spojrzenia, także czasem unosiła dumnie głowę, ale nie była to próżność, tylko duma, której nic nie zdołało pokonać. Kiedyś kokieteryjnie szukała oczu adoratora, a teraz celowo unikała kontaktu wzrokowego.

Zanurzyła się głębiej w pachnącej lawendą kąpieli, wspominając innego członka tej dzikiej kompanii, Guya Markhama. Guy wydawał się mniej groźny niż inni. Jego ojciec, sir Clive, był przyjacielem ojca Elizabeth i często zwierzał mu się ze swoich obaw, czy towarzystwo awanturników nie sprowadzi jego syna na złą drogę. Elizabeth lubiła Guya, a podczas kilku spotkań robił wrażenie człowieka miłego i uprzejmego. Nie bywając w towarzystwie, nie miała pojęcia, jak socjeta zareagowała na to, co się stało, i nic jej to nie obchodziło. Przypuszczała, że Guy się nie zmienił, a z paplaniny babki wiedziała tyle, że sir Clive cieszy się dobrym zdrowiem i nic nie wskazuje na to, by zamierzał szybko przekazać synowi swój tytuł.

Wróciła myślami do wicehrabiego Strattona. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że on i ten łotr Ross Trelawney to jedna i ta sama osoba.

- Powinien mi pan pozwolić to zrobić - powiedział służący.

- Gdybym miał komukolwiek pozwolić przyłożyć sobie brzytwę do gardła, to na pewno wybrałbym ciebie, Henderson - odparł Ross, ostrożnie przesuwając ostrzem po szyi. Oplukał brzytwę w ciepłej wodzie i w skupieniu kontynuował golenie. Dopiero na dźwięk męskiego śmiechu poszukał w lustrze odbicia śmiejącej się osoby.

Guy Markham stał przy oknie ubieralni Rossa i wyglądał na ulicę ubawiony zamieszaniem spowodowanym przez kieszonkowca, który wyrwał torebkę kobiecie i uciekając, przewrócił dwie osoby. Okradzona wołała o pomoc, a mieszkańcy okolicznych domów, zaalarmowani zamieszaniem, wypytywali ją, co się stało, wyglądając z okien lub wychodząc na frontowe schody eleganckich domów.

- Udało mu się uciec? - zapytał Ross, patrząc na zaśmiewającego się Guya.

- Obawiam się, że tak - odparł rozbawiony Guy.

Ross, nie przerywając golenia, wyciągnął rękę w znaczącym geście, a Guy sięgnął do kieszeni i podał mu pismo z banku.

Ross odłożył je na stolik i powrócił do golenia. - Płacę majątek za dobry adres i szacowne sąsiedztwo z Grosvenor Square i co za to mam? Kradzieże w biały dzień zupełnie jak w dokach. Chyba wynajmę sobie coś w Cheapside.

- Chylę głowę przed twoim znawstwem zarówno portowych manier, jak i kradzieży w biały dzień - odparł Guy.

Henderson śledził czujnym okiem precyzyjne pociągnięcia brzytwą swojego pana i oceniał dokładność jego golenia.

- Kobiety lubią starannie ogolonych mężczyzn. - Guy puścił oko do przyjaciela.

Służący skwitował tę uwagę sarknieniem i pełnym dezaprobaty spojrzeniem, a potem wyprostowany, sztywnym krokiem podszedł do łóżka i zaczął zbierać porzucane na pościeli ubrania.

- Minęło południe. - Guy zerknął na swój kieszonkowy zegarek. - Piękna panna Booth wypuściła cię z pazurków na całe dwanaście godzin, więc pewnie krąży już w pobliżu - ostrzegł, bo kochanka Rossa stawała się coraz bardziej zaborcza.

Ross powiódł dłonią po twarzy, sprawdzając gładkość skóry, i wytarł twarz ręcznikiem.

- Siadaj, ogolę cię - polecił. - Może dzięki temu przygadasz sobie dziewczynę ładniejszą niż ta wczorajsza chuda zdzira.

- Dziękuję, nie trzeba. - Guy przeciągnął ręką po szorstkich policzkach. - Podoba mi się mój zarost i tamta dziewczyna. Umieram z głodu i strasznie mnie suszy. Czuję się okropnie.

- Tosty, naleśniki, filiżankę herbaty? - zapytał, spoglądając przez ramię Henderson.

- Dziękuję. - Guy z entuzjazmem zatarł dłonie, a w tym samym momencie jego brzuch głośno zaburczał.

Ross zawiązał starannie jedwabny fular w kolorze sepii i wyjrzał na ulicę. Eleganckie powozy godnie sunęły po jezdni, piesi spacerowali po chodnikach, a między tym wszystkim uwijała się służba w liberiach. Komuś, kto pojawiłby się na ulicy w tej chwili, trudno byłoby sobie wyobrazić panujące tu tak niedawno zamieszanie.

Ross przebiegł w myślach sprawy, które musi załatwić, nim po południu wyjedzie do Kentu. Luke i Rebecca chcieli przywieźć w tym tygodniu do Londynu jego matkę i domagali się potwierdzenia, czy ten termin mu odpowiada. Spodziewał się też odwiedzin kilku starych przyjaciół, którzy zamierzali zjawić się wkrótce w mieście, by osobiście pogratulować mu tytułu, przypuszczał więc, że w tej sytuacji będzie musiał wydać dla nich wszystkich przyjęcie. Jego młodsza siostra Katherine napisała, że nie przyjedzie go

odwiedzić, bo ciągle jeszcze nie puszcza domu po urodzeniu syna, ale że chce, by został ojcem chrzestnym dziecka. Najbardziej jednak niepokoił go fakt, że minęły dwa tygodnie, a Edwina Sampson nie oddała mu pożyczonych pieniędzy.

Uznał, że zanim wyjedzie do Stratton Hall, złoży jej wizytę i przypomni o zobowiązaniach, jakie nakłada na nią umowa pożyczki. Nie chciał jej nękać, ale potrzebował pieniędzy, by rozpocząć odbudowę swojej posiadłości. A poza tym, uśmiechnął się do siebie, intrygowało go, kim jest blondynka zerkająca na niego z rozklekotanego powoziku. Nie miał czasu, żeby się jej przyjrzeć, ale wydawało mu się, że siedzący obok mężczyzna był duchownym. Byłby to pech, gdyby spodobała mu się żona albo córka pastora, tym bardziej że w jej nieśmiałym spojrzeniu było coś, co wydawało mu się znajome. Odwiedzając Edwinę, dowie się, czy nie są to jej sąsiedzi.

- White czy Watier? - zapytał Ross, kończąc się ubierać i poprawiając nieskazitelnie białe batystowe mankiety, gdy Henderson wkroczył do pokoju z suto zastawioną wielką srebrną tacą.

- Watier - odparł Guy po chwili zastanowienia. - Tam mają lepsze jedzenie. Będziesz później na raucie u Marii? Obiecywała, że zjawią się piękne siostry Clarke. Myślę, że ulubiony przez króla pogromca przemytników mógłby mieć szansę u którejś z nich... albo nawet u obu. Jeśli zdołasz umknąć czujnemu oku Cecily, gwarantuję ci udany wieczór, a rano mógłbyś wyjechać do Kentu.

- Nic z tego. Chcę być na miejscu dziś po południu. Muszę się spotkać z architektem - odrzekł Ross i sięgnął po list, który Henderson podał mu na tacy.

- Nudzą mnie te twoje budowlane plany. Zaczynasz mówić zupełnie jak mój ojciec. - Guy się skrzywił. - Odnowić to skrzydło... wyłożyć kamieniem tarasy... przeczyścić kominy. Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo będziesz wszystkich zanudzał dyskusjami o liczbie fajerek w twojej kuchni i o smołowaniu dachów.

- Zrozumiesz to, kiedy sam zostaniesz właścicielem dachów i tarasów - odparł z uśmiechem Ross.

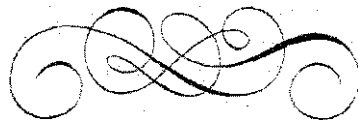
Złamał pieczęć na liście i już miał zacząć czytać, gdy zauważył, że służący zagląda mu przez ramię, tak jakby jego również interesowała treść pisma. Rozbawiony wścibstwem służącego, podziękował mu i poprosił o śniadanie i kawę.

Guy usiadł przy toalecie Rossa i zaczął się golić, a Ross podszedł do okna i zerknął na list. Widząc eleganckie pismo, ucieszył się, że to od Edwiny i że nie będzie zmuszony jej przypominać o zwrocie długu. Stara wiedźma była oddaną przyjaciółką i dobrym partnerem w interesach. Był jej winien przysługę i czuł się w obowiązku pomóc. Wiedział, że może jej ufać...

Kilka chwil później Guy przerwał golenie i zaciekawiony spojrzał na Rossa, który z nieprzeniknioną twarzą zmiął wściekle list i bezgłośnie zaklął.

- Złe wieści? - zapytał cicho.

- Zły ruch, Edwina - Głos Rossa był niemal pieszczotliwy, ale uśmiech, który pojawił się na jego twarzy wywołał zimny dreszcz na plecach Guya. - Bardzo zły ruch... - powtórzył Ross i, śmiejąc się w głos, wyszedł z pokoju, nie zwracając uwagi na przyjaciela.



Rozdział czwarty

- Proszę się uspokoić, pani Sampson... nie ma powodu do paniki,

- Mam się uspokoić? Nie ma powodu do paniki?! - zawołała Edwina. - Niecałe dwie godziny temu moja wnuczka krzyczała, że nigdy więcej nie chce mnie widzieć i że nic jej nie obchodzi, jeśli skończę w więziennej celi! Nienawidzi mnie własna wnuczka i to po tym, jak ją przygarnęłam, kiedy ta jęczała jej macocha wyrzuciła ją z domu! A teraz czeka mnie wizyta Trelawneya, który według twoich własnych słów wygląda jak gradowa chmura! Wszystko poszło nie tak! I jak mam się w tej sytuacji nie denerwować?

- Lady Elizabeth jest niezależną i upartą istotą i można się było spodziewać, że początkowo będzie wzburzona. Zresztą to szokująca wiadomość i jej reakcja jest w pełni usprawiedliwiona. A jeśli chodzi o wicehrabiego, to powiedziałem, że wygląda piorunująco, a nie jak gradowa chmura, to pewna różnica. Z zewnątrz wydaje się nieporuszony, choć wewnątrz jest wzburzony. Muszę dodać, że wicehrabia nadzwyczaj dobrze ukrywa gniew - powiedział z podziwem Harry, zapominając o swojej zwykłej rezerwie. - Kiedy pytał, jak się mam, chłód w tonie jego głosu był ledwo wyczuwalny. Ta przydługa wypowiedź zirytowała Edwinę.

- To nie jest temat do żartów - rzuciła. - Wpadam w panikę, bo nie wiem, czy jestem dobrą babcią dla Lizzie, która nie ma na świecie nikogo bliskiego poza drugą babką, wdową po markizie, i małym przyrodnim bratem. Może powinnam pozwolić, by żyła samotnie i nie wtrącać się w jej życie? A jeśli ona nigdy mi tego nie wybaczy? Mogę umrzeć, zanim cała sprawa się wyjaśni. Co będzie, jeśli Stratton jej nie zechce? Co wtedy zrobię?

Edwina przeszła nerwowym krokiem przez pokój.

- Zdajesz sobie sprawę, z kim mamy do czynienia? To nie jakiś głupiec, z którego można sobie zażartować, a ja zapomniałam, co miałam mu powiedzieć. - Edwina zamknęła oczy i nerwowo dreptała w koło.

- Wicehrabia nie jest głupcem. To porządny człowiek. Kto inny na jego miejscu nie zadałby sobie trudu, żeby tu przyjść. Przemierzając pani hol, zrobił już chyba milę, choć nadał wydaje się opanowany. Myślę, że to powinno panią upewnić, że na razie wszystko idzie według planu i przyszłość lady Elizabeth została złożona w dobre ręce.

- Uważasz, że podjęłabym takie ryzyko, gdybym nie była pewna?

- Oczywiście, że nie, moja droga. Uspokój się, proszę - przemawiał spokojnie Harry i aby ukryć czuły zwrot i poufalskość, ciągnął: - Uważam, że świetnie pani wybrała, ale musiała się pani spodziewać, że po otrzymaniu listu wicehrabia poczuje się trochę... dotknięty.

- Dotknięty? Uważasz, że to jak się poczuł, kiedy przeczytał, że nie dostanie swoich dziesięciu tysięcy funtów i należnego procentu, można określić tym słowem? Obojętne, czy wygląda na opanowanego, czy nie, moim zdaniem, jest zły, a nie dotknięty. Tak samo jak moja wnuczka, która ma zresztą pełne prawo się

wściekać. Przy okazji, jesteś pewny, że drzwi jej pokoju są dobrze zamknięte? - zapytała, szukając wzrokiem naczynia z marcepanem, a kiedy go nie znalazła, zadowolona się ssaniem palca. - Gdyby udało się jej uciec do tego jej pastora, wyszłaby za niego za mąż, tylko po to, żeby mi zrobić na złość. Jednak nie powinnam jej zamykać w pokoju jak niegrzecznej pensjonarki... - Nagle przerwała i spokojnym tonem, trzeźwo podsumowała sytuację: - Lady Elizabeth już dawno temu powinna wyjść za mąż za odpowiedniego mężczyznę. A te wszystkie wizyty w slumsach i więzieniach sprawiają, że staje się coraz smutniejsza i coraz bardziej bezbronna, tak jak przez tę swoją nieszczęsną przeszłość. W zeszłym tygodniu znów przyszedł list od Cadmore'a. Byłabym go schowała, ale, niestety, to ona go odebrała, bo w drodze do Sophie spotkała listonosza. Gdybym była młodsza, własnoręcznie zastrzeliłabym tego szubrawca. Elizabeth potrzebuje mężczyzny, który będzie umiał o nią zadbać. Takiego, którego inni będą szanować i któremu nie będą wchodzić w drogę. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by ktoś chciał przyprowadzić rogi Strattonowi, chyba tylko jakiś wariat mógłby próbować...

Harry gestem i wyrazem twarzy przyznał jej rację i Edwina znów nabrała pewności siebie.

- Zdenerwowałam się, ale już dobrze. Zresztą i tak jest za późno, żeby się wycofać. Robię to dla dobra Elizabeth. Nawet jeśli umrę jako osoba uboga, ona nigdy nie będzie musiała zebrać o utrzymanie ani u tej żalostnej staruchy, wdowy po markizie, ani u jej skwaszonej synowej, która nie była dobrą macochą dla Lizzie. Nigdy nie okazała jej ani odrobiny uczucia. Nie mam wyboru. Muszę się zebrać na odwagę i skończyć z tym szalonym bełkotaniem...

- Cieszę się, że to słyszę, pani Sampson, bo muszę przyznać, że po otrzymaniu listu zaczynałem się obawiać o pani władzę umysłową. - Usłyszała głos Rossa, dobiegający od drzwi. - Przepraszam za to najście, ale czas mnie nagli. Myślę, że od razu powinniśmy przejść do rzeczy - dodał zwodniczo łagodnym, ale nietolerującym sprzeciwu tonem.

Edwina wygładziła suknię i uśmiechnęła się do gościa.

- Proszę, wejdz, Stratton. To miło, że tak szybko odpowiedziałeś na mój list. Pettifer, podaj herbatę. I nie marudź, słyszałeś, że wicehrabia jest zajęty i, zanim na dobre się rozgości, już musi uciekać.

Pettifer zerknął na wysokiego, postawnego mężczyznę, stojącego w drzwiach, i zauważył, że wicehrabia wyraźnie mu się przygląda. Skłonił się nisko, a tamten ledwo dostrzegalnie skinął głową.

- Och, Pettifer, nie zapomnij, że miałeś usłużyć mojej wnuczce - dodała swobodnie, a Harry skinął głową, dając do zrozumienia, że o wszystkim pamięta.

Elizabeth jeszcze raz szarpnęła za klamkę, zajrzała w dziurkę od klucza i ze złością zaczęła walić w drzwi małymi piąstkami. Po chwili z wściekłością popatrzyła na drzwi, obróciła się na pięcie i przeszła w głąb pokoju. Zamknęła oczy i próbowała się uspokoić. To nie była wina babci, powtarzała w myślach. Nie wolno mi obwiniać Edwiny, która myślała, że tym niemądrym sposobem zdoła zapewnić mi spokojną przyszłość. Musiał ją oszukać ten... Miękkie wargi Elizabeth wygięły się w szyderczym uśmiechu, a jej fiołkowe oczy zabłysły. To wina tego... dzentelmena rozbójnika, jak miała go w zwyczaju określać babcia.

Z zaciśniętymi pięściami podeszła do okna i popatrzyła na ogród. Rabaty pięknie kwitnących letnich kwiatów, żywopłoty z wawrzynu i błyszcząca w południowym słońcu zielona trawa sprawiły, że złagodniała i uśmiechnęła się do siebie. Cóż za przejrzysty plan, pomyślała. Mogliby wymyślić coś bardziej wiarygodnego. Pamiętała, jak babci wymknęło się kiedyś, że wicehrabia, jako młody chłopak, chętniej hulał, niż spędzał czas na nauce. Najwidoczniej liczył na to, że wszystko, co będzie mu potrzebne, zdobędzie, posługując się swoim legendarnym urokiem albo pięściami.

Od czasu, kiedy Ross Trelawney dwa tygodnie temu jadł u nich kolację, Edwina zdawała się mówić wyłącznie o nim: o jego perspektywach na przyszłość, o bohaterskiej przeszłości i doskonałych koneksjach. Z tego co Elizabeth wiedziała, nie odwiedził ich jednak ponownie. Gdyby jego noga znów przekroczyła ten próg, babcia nie omieszkałaby jej powiadomić o tym zaszczyście... i to wielokrotnie.

Babcia umiała być bystra i chytra, kiedy jej to odpowiadało, dlatego fakt, że pozwoliła się oszukać swojemu nikczemnemu znajomemu, zaskoczył Elizabeth. Może dawał o sobie znać zaawansowany wiek Edwiny? Czyżby zaczynała tracić umiejętność logicznego rozumowania i pozwalała sobą manipulować?

Ona sama była jednak przy zdrowych zmysłach i wydawało się jej, że nigdy jaśniej nie myślała. Dwa tygodnie temu zastanawiała się, czy wicehrabia nie szuka dobrze urodzonej żony, jako ukoronowania swojej przemiany w dżentelmena, ale uznała, że to zabawne. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że jej przypuszczenia okazały się prorocze, a według babci łąda chwila powinna otrzymać propozycję małżeństwa od tego parweniusza Trelawneya.

Najwidoczniej Edwinie musiało się wymknąć, że Elizabeth jest nie tylko dobrze urodzona, ale ma także posag, a wyrachowany drań, wiedząc, że Edwina chce wydać wnuczkę za mąż, namówił ją na ten spisek. No cóż, niedługo oboje się przekonają, że ona nie pozwoli sobą manipulować. Wcale nie chce wychodzić za mąż, ale jeśli już musi to zrobić, to woli zostać żoną przyjaciela niż cieszącego się fatalną opinią obcego mężczyzny. Nawet jeśli przez to przepadnie jej posag. Była pewna, że przy odrobinie zachęty Hugh poprosi ją o rękę i, skromnie żyjąc w rozpadającym się budyneczku plebani, jakoś sobie dadzą radę. Wolą to niż upokorzenie, jakim byłoby kupienie jej męża... tym bardziej takiego, który myśli jedynie o tym, by wypchać sobie kieszenie babcinymi pieniędzmi.

Ross ostrożnie odstawił filiżankę i rozparł się wygodnie w fotelu.

- Mam nadzieję, że to był żart - powiedział miękko.

- Żart?! Uważasz, że jest to dla mnie temat do żartów? Sposób, w jaki potoczyły się sprawy, nie podoba mi się tak samo jak tobie. Nie mogę zatrzymać pracownika, który chce odejść, dłużej niż przez miesiąc. Przyjął propozycję kogoś innego, a ja przegrałam zakład. Prawdę mówiąc, jestem jeszcze bardziej stratna, bo chciałam coś wygrać na boku, żeby zdobyć pieniądze na twoje procenty. Nigdy jeszcze nie miałam takiego pecha przy stole. Próbowałam wszystkiego i nic mi nie szło. Mogę się założyć, że i ty coś na mnie postawiłeś i wygrałeś. Me jestem nędzarką, ale w tej chwili nie mam pieniędzy, żeby ci zwrócić pożyczkę. Za kilka miesięcy przyplynie z Indii statek, wiozący moje towary. Pieniądze z ich sprzedaży będą twoje. Może być ich trochę mniej niż dziesięć tysięcy... Och, po prostu musisz trochę poczekać.

- Niczego takiego nie muszę i nie zrobię - oświadczył Ross tonem, który sprawił, że Edwina poczuła dreszcz na plecach. - Żądam zwrotu moich pieniędzy, a zgodnie z umową termin upłynął wczoraj. Robotnicy i materiały budowlane są już w drodze do Kentu i nie zamierzam tego odwoływać.

Choć Edwina nigdy się tym nie chwaliła, była jedną z najbogatszych wdów w Londynie, a z całą pewnością była sprytniejsza i bardziej przebiegła niż pozostałe. Nie mógł pojąć, dlaczego kłamała, ale instynkt podpowiadał mu, że nie chciała go okraść, tylko trochę opóźnić spłatę, mając w tym jakiś własny cel. W tej chwili miał jednak zbyt dużo na głowie, by zastanawiać się nad jej motywami. Był zirytowany, i to nie tylko na nią, ale także na siebie.

Może cała ta przykra sprawa wzięła się stąd, że Edwina z wiekiem dzieciństwa, a on stawał się zbyt łagodny. Jego stosunek do pieniędzy i do kobiet zawsze był zbyt nonszalancki i przyszło mu za tę podwójną słabość zapłacić w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Dopiero od kilku tygodni był arystokratą, a już czuł, że tytuł zobowiązuje.

- Od dawna jesteśmy przyjaciółmi. Nie chciałbym, żeby ta znajomość zakończyła się w tak przykry sposób - powiedział Ross z czarującym uśmiechem, który nie zdołał jednak złagodzić zimnego spojrzenia.

- W tej chwili dysponuję tylko jedną znaczną kwotą, która jest gotowa do wzięcia w każdej chwili - powiedziała szybko Edwina, czerwieniejąc pod jego baczny wzrokiem. Nigdy dotąd nie stała po przeciwnej stronie barykady niż Ross, a choć wiedziała, że umiał być bezwzględny i okrutny, wierzyła, że traktował tak tylko swoich wrogów. Nigdy nie przypuszczała, by jego brutalność mogła dotknąć ją osobiście.

Nagle przestała się tak bardzo bać. Zrozumiała, że Pettifer miał rację i Stratton ma pełne prawo dać upust swojej złości. Wyczuwała ją pod jego pozornym spokojem, ale jako dżentelmen panował nad sobą, jak zawsze prezentując doskonale maniery. Zaczęło w niej kiełkować przekonanie, że Ross będzie wprost doskonałym partnerem dla dumnej i lubiącej prowokować Lizzie. Patrząc na jego ciemne włosy i karnację, doszła do wniosku, że razem będą stanowić wyjątkowo piękną parę. Elizabeth, delikatna, jasna i bardzo kobieca i ciemnowłosa, męski Ross, z którego aż bił ognisty temperament. Choć diametralnie różni z wyglądu, powinni się świetnie uzupełniać charakterem. Edwina nie mogła się już doczekać, kiedy tych dwoje znajdzie się w jednym pokoju. Mogła się założyć, że między nimi zaiskrzy a kto wie, czy taka iskierka nie wznieci ognia, który będzie ich grzał całe życie.

- Ale pieniądze można ruszyć tylko pod jednym warunkiem - dodała pośpiesznie, uświadamiając sobie, że jej rozważania nad przyszłością trwają już za długo.

Stratton pytająco unióśł brwi.

- Kilka lat temu został uczyniony zapis na moją wnuczkę. Test to piętnaście tysięcy funtów płatne jednorazowo, a następnie dożywotnio tysiąc funtów rocznie.

- Trzeba było od razu tak mówić. - Ross westchnął. - Nie przypuszczałaś chyba, że naruszenie spadku jakiejś smarkuli gryzłoby moje sumienie. Zresztą jestem pewien, że wszystko jej wyrównasz, kiedy twój statek wróci z Indii - dodał ironicznie.

Energicznie wstał z fotela i przed dużym lustrem w złoconej ramie poprawił mankiety i krawat.

- Biorę te pieniądze, dziękuję. Wystaw weksel bankierski na wiadomą kwotę. Jeszcze dziś po południu wyjeżdżam do Kentu, więc wybacz, ale już się pożegnaj. - Ruszył w stronę drzwi i nagle zatrzymał się w pół drogi. - Kiedy będę mógł odebrać weksel? - zapytał.

- Jak tylko się ożenisz - odparła z tryumfalnym uśmiechem na twarzy.

Pettifer cichutko obrócił klucz w zamku i zapukał. Elizabeth rzuciła robótkę i podbiegła do drzwi.

- To ty, babciu? - zasyczała rozzłoszczona, nawet nie próbując dotknąć klamki.

- Nie, panienko. To ja, Pettifer. Babcia panienki, chce porozmawiać z panienką w salonie.

Elizabeth chwyciła za klamkę, a kiedy drzwi niespodziewanie ustąpiły, zatoczyła się do tyłu. Popatrzyła na Pettifera wściekłym wzrokiem, a on odwzajemnił się łagodnym spojrzeniem, przy czym wyglądał tak, jakby chciał ją uspokoić. Zastanawiała się, czy powinna go skarcić za to, że odchodzi ze służby, czy raczej błagać, by został. Uznała jednak, że to nie ona, tylko babcia jest wszystkiemu winna, a poza tym zakłady i tak zostały już zawarte i wygrane. W tej sytuacji nie było o czym rozmawiać. Znowu była zła na babcię. Chwyciła w dłonie spódnice i mijając Pettifera, pobiegła schodami na dół.

Edwina siedziała w salonie przy ogniu i sączyła maderę. Elizabeth cicho zamknęła za sobą drzwi i wzięła głęboki, uspokajający oddech.

- Nie mam zamiaru więcej się kłócić - powiedziała łagodnie, ale stanowczo. - Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego zamknęłaś mnie na klucz w moim pokoju. Czyżbyś przypuszczała, że po wysłuchaniu tej durnej historyjki ucieknę jak spłoszony królik? Przecież to tylko fikcja, z której można się śmiać. Miałam czas, żeby się nad tym zastanowić, i przejrzałam całą waszą intrygę. Jest tak oczywista, że to doprawdy zabawne, że ty i wicehrabia w ogóle zadaliście sobie trud, by ją uknuć. - Roześmiała się pogardliwie.

Babka nie odpowiedziała, tylko uniosła kieliszek do ust, a kiedy jej milczenie trochę się przeciągało, Elizabeth znowu się odezwała.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. Zakładam, że byłaś pod wpływem alkoholu, albo zbyt długo przebywałaś w towarzystwie tego okrutnego barbarzyńcy.

Również tym razem Edwina nic nie odpowiedziała, popijając bez słowa maderę.

- Jesteś pijana, babciu? - zapytała Elizabeth. - A może ten podstępny szubrawiec cię nastraszył? Nie bój się go! Zaraz napiszę do niego list i nie będę ukrywać, co myślę o tej jego żalösnej próbie okradzenia nas. Myślałby kto, że prosiłaś go o pożyczkę! Jesteś na tyle bogata, że możesz kupić i sprzedać połowę tak zwanego lepszego towarzystwa! A może zmusił cię do podpisania jakichś dokumentów? Bądź pewna, że do niego napiszę i...

- Nie ma potrzeby pisać. - Edwina odstawiała pusty kieliszek. - Wicehrabia czeka w małym saloniku, więc możesz mu to wszystko powiedzieć osobiście.

- Mam nadzieję, że to był żart - wyszeptała Elizabeth.

- Niecałe dwadzieścia minut temu Stratton użył dokładnie tych samych słów. Widać, że oboje myślicie podobnie - powiedziała Edwina. - To dobry znak. Być może, kiedy go spotkasz, nie będziesz już chciała się go pozbyć.

- On tu jest? A ty nawet mnie nie uprzedziłaś, że przyjechał? - Elizabeth była wściekła.

- Dobrze wiesz, że odmówiłabyś spotkania z nim. A prawda jest taka, że był tak dobry i pożyczył mi pieniędzy, z których spłatą zalegam.

- Nie chcę już słyszeć ani słowa więcej! Wiem, że nie potrzebujesz od nikogo pożyczać. Masz tyle różnych akcji i papierów wartościowych, że nie mieszczą się w twoim biurku. Jeżeli myślisz, że dam się oszukać opowieściami o czekającym nas wkrótce ubóstwie, to chyba zwariowałaś. Nie zgodziłabym się, gdybyś mi chciała kupić za męża dżentelmena, a już próba przekupienia tego... tego rozbójnika, żeby się ze mną ożenił...

- Dżentelmena rozbójnika - wtrąciła Edwina. - I w dodatku przystojnego...

- Ani słowa więcej!

- Wicehrabia zgodził się opóźnić swój wyjazd do Kentu, by udzielić ci krótkiego posłuchania. Czekaj w małym saloniku.

Lady Elizabeth Rowe odwróciła się bardzo powoli i spojrzała w patrzące niewinnie oczy babki.

- On jest gotowy udzielić mi posłuchania - powtórzyła po dłuższej chwili jak echo, aż blednąc od doznanej zniewagi. Przypomniła sobie, jak dawno temu zerkała na niego ukradkiem i on ją na tym przyłapał. Popatrzył na nią wtedy obojętnie, bez cienia zainteresowania w oczach. Otoczony pewnymi **siebie**, hojnie obdarzonymi przez naturę kobietami, które rywalizowały o jego względy, śmiał się pewno w duchu z panny tak niewyrobionej i niedoświadczonej jak ona.

Przyglądając się dumnie zadartej brodzie wnuczki, Edwina poczuła się nagle bardzo zadowolona.

- Wicehrabia jest bardzo zajęтым człowiekiem. Prosił, bym dała ci do zrozumienia, że nie może zbyt długo czekać. Był jednak na tyle łaskawy, że zgodził się poświęcić ci kilka minut swojego cennego czasu, nim pojedzie do posiadłości w Kent.

- Jak to wspaniałomyślnie z jego strony - szepnęła drżącym ze złości głosem Elizabeth.

- Twoje włosy, twoja suknia. Wyglądasz trochę nieporządnie. - Edwina podniosła się z fotela i zaczęła poprawiać uczesanie i suknię wnuczki. Elizabeth była tak rozzłoszczona, że na jej alabastrowych policzkach pojawiły się dwie różowe plamy.

- Ross jest przyzwyczajony do towarzystwa pięknych i starannie ubranych kobiet. Na ogół mogłabyś z nimi konkurować, nawet z tymi najmłodszymi. Dziś, choć nie prezentujesz się najlepiej, też nie wyglądasz źle. Prawie nie widać twoich lat...

Elizabeth cofnęła się gwałtownie. Dawno nie była tak wściekła. Przy czym nie wiedziała, czy bardziej złości ją własna głupia babcia, mająca niewątpliwie dobre intencje, czy ten pompatyczny, egoistyczny łajdak, czekający w małym saloniku. Pewna była jedynie tego, że zanim wicehrabia opuści ich dom, chce mu dać do zrozumienia, co o nim myśli. Energicznym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła tak gwałtownie, że Edwina musiała je złapać, by nie obity ściany.

Idąc do małego saloniku, drżącymi ze złości palcami wyjęła z włosów kilka szpilek i potargała uwolnione pasma, pozwalając im opaść w nieładzie na ramiona. Stratton był przyzwyczajony do eleganckich kobiet, proszę bardzo! Zadowolona ze zniszczonej fryzury wzięła się za suknię i zaczęła ją gniesć z takim

zapalem, że niewiele brakowało, by w złości podarła drogi materiał.

Elizabeth zatrzymała się tuż przed drzwiami do małego saloniku. Świadoma, że babcia znajduje się kilka kroków za nią i wymachuje rękami, ubolewając nad jej wyglądem, zamknęła oczy i biorąc głęboki wdech, sięgnęła do klamki...

Szybko weszła do środka, nie chcąc, by opuściła ją odwaga.

Patrzyła wprost przed siebie, w miejsce, w którym spodziewała się zastać Strattona. Nie było go jednak ani na kanapie, ani przy kominku. Pomyślała, że widocznie nie chciał dłużej czekać i wyszedł bez pożegnania. Odetchnęła z ulgą, podeszła do kominka i wyciągnęła ręce do ognia. Świadomość tego, jak bardzo ucieszyła ją nieobecność wicehrabiego i odroczenie rozmowy z nim, napęliła ją wstrętem do własnej osoby. Zrobiła krok w stronę drzwi i zamarła.

Stratton stał przy oknie, w miejscu, gdzie początkowo zasłaniało go przed jej wzrokiem skrzydło otwartych drzwi i patrzył na Elizabeth.

To był on, przemknęło przez głowę Elizabeth. Rysy straciły młodzieńczą miękkość, ale niewątpliwie był to ten sam mężczyzna, który przewodził bandzie Koryntian przed dziesięciu laty. To on rzucał jej kpiące spojrzenia za każdym razem, kiedy przyłapał ją na potajemnych spojrzeniach. Był ciemny jak cygan. Czarnobrazowe, lekko wijące się włosy opadały mu na kołnierz. A eleganckie modne ubranie utrzymane w różnych odcieniach brązu, podkreślało szerokie bary i mocne nogi. W jedwabny krawat w kolorze sepii miał wpięty błyszczący bursztyn. Spod zmrużonych czarnych rzęs patrzyły na nią brązowozłote oczy. Był wyższy, niż zapamiętała, bo gdyby do niego podeszła, czubek jej głowy ledwo sięgnąłby jego brody. Myśl o takiej bliskości z wicehrabią wstrząsnęła Elizabeth. Uświadomiła sobie, że przygląda mu się zbyt długo i przywołała się do porządku. Sądząc jednak z drgnięcia jego ust, wicehrabia był świadom oględzin, którym go poddała.

Zakłopotana, zarumieniła się, wiedząc, że on również uważnie się jej przygląda. Sardoniczne spojrzenie spod rzęs przesunęło się po jej potarganych włosach i pogniecionej sukni. Odruchowo chciała coś poprawić, ale opuściła ręce i splotła je za plecami. Wyprostowała się i uniosła dumnie głowę.

- Miała pani jakiś wypadek?

Słyszając głęboki, ochryply baryton, wzdrygnęła się. Stratton przyglądał się nieładowi, w jakim znajdowały się jej włosy i suknia, a ona nienawidziła go za nonszalanckie rozbawienie, widoczne w jego oczach.

- Wypadek? - powtórzyła, jakby to było słowo w obcym języku.

- Pani włosy i suknia wydają się być w lekkim... nieładzie - powiedział, robiąc krok w jej stronę,

- Ach, o to chodzi? - Elizabeth cofnęła się i uśmiech zamarł jej na ustach, gdy wicehrabia nonszalanckim gestem wyciągnął rękę w kierunku jej włosów. - Odpoczywałam w swoim pokoju, ale babcia powiedziała, że chce pan jak najszybciej ruszyć w drogę. Przyszłam więc od razu, by pan zrozumiał, jak bardzo mi to odpowiada.

- Jestem pani bardzo zobowiązany - odparł, a zarówno ton, jak i skinienie głowy nie pozostawiało wątpliwości, że dotarła do niego obraźliwa wymowa jej słów.

- To dobrze.

A więc tu się schowała, pomyślał cierpko, bo nie spodziewał się, że widzianą na ulicy blondynkę znajdzie w domu Edwiny i że w dodatku okaże się ona członkiem jej rodziny. Nie wiadomo dlaczego, wyobrażał sobie, że wnuczka Edwiny będzie tak jak babka niska, gruba i zupełnie nieciekawa jako kobieta, tyle że młodsza. Co do tego się mylił, natomiast był pewny, że tę pannę już gdzieś widział. Takiej urody i wdzięku się nie zapomina. Poza tym odniósł wrażenie, że spotkał się z nią dość dawno temu. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy to było.

- Obawiam się, że Edwina nie udzieliła mi podstawowych informacji. Nie znam nawet pani imienia... panno Sampson...? - zaryzykował.

- Lady Elizabeth Rowe.

Stratton uśmiechnął się nieco szerzej i błysnął oczami. Opuścił powieki, chcąc ukryć zainteresowanie, a ona nie miała wątpliwości, co je wzbudziło.

Nareszcie wróciła pamięć i Ross zrozumiał dlaczego Edwina zapomniała mu powiedzieć, jak się nazywa jej wnuczka i czemu tak bardzo zależy jej, by wydać ją za męża. Zakładał, że dziewczynie przeszkadza w zamążpójściu brak urody, a nie zszargana reputacja czy wiek. Zresztą nie wyglądała na skończone dwadzieścia osiem lat, a tyle przecież musiała mieć, skoro debiutowała w towarzystwie dziesięć lat temu.

Musiał przyznać, że Edwina Sampson jest najbardziej nieprzewidywalną kobietą, jaką znał. Nigdy ani słowem nie wspomniała, że cokolwiek łączy ją z Thorneycroftami, i trudno było mu sobie wyobrazić, że była teściową zmarłego markiza. A teraz postanowiła wydać za niego swoją skalaną wnuczkę i znalazła świetny sposób, by to zrobić. Lady Elizabeth, co prawda, okazywała mu wyniosłą pogardę, ale przypuszczał, że tak naprawdę babka i wnuczka są w zмовie. Lata mijają, więc nic dziwnego, że Edwina chce wydać dziewczynę za męża, zanim ta zacznie się starzeć i tracić niezwykłą urodę. Na razie nadal była bardzo pociągająca. Potwierdzało to jego ciało, które, choć spędził w jej towarzystwie niecałe pięć minut, dawało mu to jasno do zrozumienia.

Elizabeth odgadła, że Stratton nią gardzi, choć jednocześnie jej osoba wzbudza jego ciekawość. Nie było w tym nic dziwnego, bo za każdym razem, kiedy panowie dowiadywali się, kim ona jest, ich zainteresowanie rosło. Zbyt często czuła na sobie szacujący męski wzrok, by nie wiedzieć, co było powodem tego zainteresowania. Powodowana głupią złością wpadła do salonu, jak jakaś rozczochna jędza, przez co wicehrabia zapewne uzna ją za pozbawioną jakichkolwiek manier. Próbowała znaleźć w sobie trochę bezczelności, która pozwoliłaby jej pozbyć się niechcianego gościa, choć miała poważne obawy, czy w jego obecności zdoła się zachować obojętnie. Dławiło ją w gardle, ale postanowiła, że nie okaże wstydu i nie ucieknie z pokoju.

- Słyszałem, że zajmuje się pani dobroczynnością.

- W przeciwieństwie do pana.

- Nasz władca mógłby się z panią nie zgodzić. - Stratton się uśmiechnął. - Wydawał się zadowolony z moich usług.

- Jak to dobrze, że nasz wielki naród ma króla, którego tak łatwo zadowolić. - Uśmiechnęła się szyderczo.

Ross roześmiał się i patrząc w sufit, zmarszczył brwi. Wystarczy tych pogaduszek, pomyślał.

- Staram się, aby ta cała sprawa była dla obu stron jak najmniej przykra - powiedział przyjaźnie, choć jego oczy przeczyły deklarowanej życzliwości. - Wydaje się pani gardzić grzeczną rozmową... i wieloma innymi rzeczami... przystąpmy więc do interesów. Rozumiem, że jest pani świadoma, iż babcia pani jest mi winna pewną kwotę?

- To pan tak twierdzi. - Elizabeth rzuciła mu wzgardliwe spojrzenie. - Są jednak sprawy, których powinien pan być świadomy - dodała łagodnym tonem. - Po pierwsze, nie wierzę, by jakkolwiek transakcja między panem a moją babcią naprawdę miała miejsce. Uważam, że w jakiś sposób zmusił ją pan do tego, chcąc położyć rękę na moim posagu. Z babcią mogło się panu udać, ale ze mną nie pójdzie tak łatwo. Po drugie, kwestia tej całej pożyczki i tak jest bez znaczenia, bo nie mam zamiaru poślubić pana ani teraz, ani nigdy. Gdzie indziej musi pan sobie poszukać ofiary, która pozwoli się okraść. To wszystko. - Odwróciła się do niego plecami. - Teraz może pan odejść - dodała, wskazując mu drzwi obojętnym gestem dłoni.

Stała do niego plecami, a mimo to wiedziała, że nie ruszył się z miejsca. W salonie panowała grobowa cisza. Nie mogąc jej dłużej znieść, ujęła suknię w dłonie, uniosła wysoko głowę i ruszyła w stronę drzwi.

Nagle tuż przed nią wyrósł wicehrabia. Spróbowała go obejść, ale wciąż zagradzał jej drogę.

Był zbyt blisko. Cofnęła się więc i spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

- Myślałam, że bardzo się panu spieszy, wicehrabio. Proszę, niech pan idzie pierwszy. Daję panu tę możliwość, w pełni świadoma splendorów, jakie na pana ostatnio spłynęły...

Ross milczał przez chwilę, a potem pochylił się nad Elizabeth i zajrzał jej w twarz. Uśmiechał się, ale jego uśmiech był przerażający, a wpatrzone w nią piękne złote oczy z zielonymi plamkami, ocienione długimi ciemnymi rzęsami były zimne. Poczula, że ze strachu nie może oddychać i szybko odwróciła wzrok. Sięgam mu pod brodę, pomyślała zupełnie bez sensu, jednocześnie zauważając dołek w jego brodzie.

- Zawsze jest pani taka niemila? A może to specjalnie na moją cześć ćwiczyła się pani w obraźliwych uwagach... zamiast zadbać o wygląd?

Elizabeth nie zdołała powstrzymać rumieńca.

- Proszę zejść mi z drogi - wykrztusiła. - Chcę opuścić ten pokój... natychmiast.

- A ja chcę dostać z powrotem swoje pieniądze... natychmiast - odparł Ross.

- Jest pan kłamcą! Moja babcia jest bogata i nie potrzebuje pana pieniędzy!

Nieźla z niej aktorka i do tego w pełni świadoma wrażenia, jakie na mnie robi, pomyślał. Marzył, by zsunąć suknię z jej delikatnych mlecznobiałych ramion, ale zamiast tego stał nieruchomo, zaciskając pięści. Pragnął jej tak bardzo, że gdyby zamknęła drzwi i dała mu na kanapie przedsmak nocy poślubnej, do wieczora załatwiłby wszystkie formalności potrzebne do ślubu.

- Jestem pewien, że Edwina może mi zapłacić i nie rozumiem, dlaczego kłamie - rzucił przez zaciśnięte zęby sfrustrowany i zły. - Nie zmienia to jednak faktu, że dwa tygodnie temu dałem się zwieść jej wzruszającej opowieści o kamerdynerze, którego planuje jej odebrać inna kobieta, i o zakładzie, którym

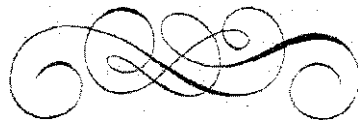
chciałaby dać tamtej nauczkę, zatrzymując jednocześnie swojego sługę. Krótko mówiąc, przekonała mnie, bym jej pożyczył dziesięć tysięcy funtów na sfinansowanie tego kręactwa. Zgodnie z umową, już wczoraj powinna mi zwrócić całą kwotę plus odsetki. Jestem cierpliwy i darowałem jej jeden dzień spóźnienia. - Ross wyjął z kieszeni umowę i podał ją Elizabeth, żeby przeczytała.

Spojrzała na papier, jakby mógł ją ugryźć. Cała ta historia zaczynała wyglądać coraz bardziej wiarygodnie, a pytania zaczęły się kłębić w jej głowie. Skąd wicehrabia mógł wiedzieć o Harrym, o pani Penney i o ich różnych domowych sprawach? Czemu dawał jej do przeczytania umowę? Gwałtownym ruchem wyrwała mu papier, podbiegła do kominka i wrzuciła go do ognia. Uniosła wysoko głowę, odrzuciła do tyłu jasne włosy i wyzywająco popatrzyła mu w oczy.

- Na szczęście człowiek, który prowadzi moje sprawy finansowe jest bardzo dokładny, choć jego pedanteria bywa czasem męcząca. - Głos Rossa ociekał ironią. - *Zawsze* każe swoim urzędnikom sporządzać kopie dokumentów. Pani babcia również musiała podpisać kilka egzemplarzy, a jeden z nich nadal jest bezpiecznie zamknięty w moim sejfie.

- Nic mnie to nie obchodzi - wykrztusiła wściekła i coraz bardziej przestraszona, w pełni świadoma, że dawno nie zachowywała się tak głupio. Wydawało się, że im bardziej on był cierpliwy i grzeczny, tym ona stawała się bardziej zgryźliwa i opryskliwa. Czuła, że wszystko wymyka się jej spod kontroli, ale nie umiała sobie z tym poradzić. - Nie wyjdę za pana. Nigdy nie wyjdę za pana za męża! - krzyknęła.

- Nareszcie udało się nam znaleźć coś, co do czego jesteśmy zgodni - powiedział powoli. - Odnoszę wrażenie, że pani uważa, iż prosiłem o jej rękę. Choć o ile pamiętam, nigdy tego nie zrobiłem, ani nie zamierzałem. Żywiłem nadzieję, że uda nam się po przyjacielsku załatwić tę sprawę, ale dość mam już pani infantylnej bezczelności i pogardy. Żądam zwrotu pożyczki. Szczerze mówiąc, wolałbym gotówkę, ale ostatecznie jestem gotów przyjąć tę karę.



Rozdział piąty

- Co chce pan przez to powiedzieć? - Elizabeth z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła.

- Uważam, moja droga, że za bardzo pani protestuje. Myślę, że pani też bierze udział w intrydze, która ma mnie zmusić do ślubu z panią. Zresztą może nawet sama ją pani uknuła. A te żalosne obelgi mają mnie w jakiś perwersyjny sposób do pani zbliżyć. - Ross zamilkł, podszedł do okna i obojętnie wyjrzał na ulicę. - Proszę powiedzieć Edwinie, że ten plan mógł się powieść, bo naprawdę lubię kobiety stanowiące wyzwanie. Ale nie aż tak. Jeśli zaplanowała sobie pani, że dzięki mnie z powrotem wejdzie do towarzystwa, to obawiam się, że panią rozczaruję. Proszę mi wybaczyć szczerość, ale nie zamierzam się żenić z opryskliwą, wyniosłą małą jędzą ze zrujnowaną skandalem reputacją. - Ross zerknął w niebo, a potem oparł się o ścianę, wsadził rękę do kieszeni i powoli przeniósł wzrok na Elizabeth. - Chcę też powiedzieć, że w pani dobrze pojętym interesie leży przekonanie babci, żeby się zaczęła zachowywać rozsądnie. Niech przyzna, że przegrała i odda pieniądze, a ja zapomnę o całej sprawie...

Elizabeth zbladła jak ściana, a on nie wiedział, czy jego słowa ją zaszokowały, czy rozżłościły.

- Nie jestem głupcem ani nie jestem mściwy - podjął trochę łagodniejszym tonem. - Nie chcę potwierdzać tego, co o mnie mówią, wsadzając pani babcię do więzienia albo zmuszając panią do dzielenia ze mną łóża. Ale ze mną nie wygracie... - Urwał, a po chwili złowrogiego milczenia ciągnął: - Gdybym postąpił wspaniałomyślnie i pozwolił pani odpracować dług, to licząc szczerze po dwa tysiące za rok, razem z odsetkami trwałoby to sześć lat. Po sześciu latach bycia jedną z moich kochanek byłaby pani zawodową kurtyzaną po trzydziestce. Mógłbym się okazać wspaniałomyślny i zanim bym się pani pozbył, nauczyłbym panią, jak sobie radzić z mężczyznami, którzy nie są dzentelmenami. Ale w końcu uroda przemienie, a pani byłaby wdzięczna losowi, jeśli pozwoliłby jej zarobić na życie jako dziwce w oberży w Whitechapel.

Elizabeth próbowała coś odpowiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Nigdy w życiu, nawet bezpośrednio po skandalu, do którego nawiązał Ross, nikt nie był w stosunku do niej tak brutalny.

Musiała jednak przyznać, że był szczery, bo co tydzień spotykała takie nieszczęsne istoty przy okazji wizyt w Newgate czy Bridewell. Czasami widywała je także na wolności w okolicach Barrow Road. Na pierwszy rzut oka nie różniły się niczym od innych, zmagających się z nędzą życia kobiet, ale wystarczyło jedno poprawnie wymówione słowo, właściwa końcówka czy jakiś pełen wdzięku gest, by mogła się domyślić, że ta nieszczęśnica żyła kiedyś w zupełnie innych warunkach. Zrozumiała, że ostre słowa wicehrabiego nie były spowodowane złośliwością, tylko zniecierpliwieniem i, co zdecydowanie pogarszało sprawę ich los był mu zupełnie obojętny.

Pogodziła się z tym, że babcia jest winna wicehrabiemu fortunę i że domaga się on zwrotu pieniędzy. Zrozumiała też, że w tej sytuacji rozmowa z nią jest dla niego wyłącznie irytującą stratą czasu. Chciała wykrzyknąć, że nic nie wiedziała o planach babki i nie brała w nich udziału, ale nie mogła wykrztusić ani

słowa. Stała nieruchomo jak posąg z marmuru i patrzyła na Strattona wielkimi fiołkowymi oczami.

- Niech pani przekona babcię, by jej bankierski weksel znalazł drogę na Grosvenor Square jeszcze dziś przed czwartą po południu, i przekaze, że na razie może się nie martwić odsetkami. Proszę jej też powiedzieć, że więzienna kuchnia pozostawia wiele do życzenia i że mogłaby na niej schudnąć. Naprawdę dobrze jej życzę, ale domagam się tego, co moje. Wybór należy do pani, choć na pani miejscu wolałbym rozstać się z pieniędzmi. To będzie znacznie mniej bolesne rozwiązanie. I to właśnie chciałem powiedzieć - zakończył.

- Dziękuję panu za wyjaśnienie. Teraz już dokładnie wiem, co miał pan na myśli - odparła ledwo słyszalnym głosem. - Może poświęci mi pan jeszcze kilka chwil swojego niezwykle cennego czasu i posłucha, co ja o tym myślę.

Elizabeth pokonała gorzkie upokorzenie i szok i choć jeszcze przed chwilą bała się, że miażdżąca pogarda we wzroku Strattona, powali ją na ziemię jak szmacianą laleczkę, pewnym krokiem ruszyła w jego kierunku.

Ośmielona gniewem, podeszła bliżej. Okrążając go półkolem i przyciskając do boków drżące, zaciśnięte pięści, mierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Po pierwsze, gratuluję panu doskonałej pamięci – powiedziała w skupieniu marszcząc brwi. - Rzeczywiście, zostałam skompromitowana, a ludzie, którzy uważali się za lepszych ode mnie, którzy tak jak pan udają moralnych i dobrze wychowanych, ukrywając swoją podłość i odrażający sposób życia, zaczęli unikać mojego towarzystwa. Po drugie, gdybym zamierzała ponownie dostać się do socjety, wydałabym się za kogoś lepiej urodzonego niż pan. Być może w swoim zarozumiałstwie uważa pan, że powinnam być wdzięczna... albo że oświadczyń takiego świeżo upieczonego wicehrabiego, awanturnika, który wkradł się w łaski króla, to zaszczyt. Niestety, muszę pana rozczarować. W czasie tych dziesięciu lat miałam znacznie korzystniejsze oferty niż pańska. O moje względy starało się dwóch książąt, dwóch hrabiów i liczni mniej utytułowani, ale zamożni dżentelmeni. Handlarz węglem zaoferował mi kiedyś na własność dom przy Park Lane wraz ze służbą, powozami i nieograniczonymi wydatkami na ubrania. Ach, i do tego dwa tysiące funtów rocznie. Hrabia Cadmore nie jest aż tak szczodry, ale za to bardziej uparty. Nie dalej jak trzy tygodnie temu znów przysłał list, w którym przekonywał mnie o korzyściach, jakie odniosłabym, zostając jego kochanką. - Elizabeth spojrzała na Strattona jak na robaka. - A pan... marny wicehrabia... marny i skąpy wicehrabia, myśli, że umieści mnie między swoimi ładacznicami? Czy naprawdę jest pan aż tak głupi i próżny, by uważać, że córka markiza, nawet skompromitowana, może w ogóle rozważać związek z kimś takim jak pan? Gdyby nie ta denerwująca sytuacja, w której znalazłam się przez swoją głupią babkę, przysięgam, że słuchając o pańskich żalonych rojeniach, umarłabym ze śmiechu...

Nic więcej nie zdołała powiedzieć, bo Stratton chwycił ją za ramiona. Przerwała, przekonana, że za chwilę podniesie ją do góry, ale puścił ją, zupełnie jakby nagle zaczęła go parzyć.

Jasna głowa musnęła jego brodę, a potem odsunęła się od niego i zamarła.

- Cisz! Bo inaczej zaraz pani pozna te żalodne rojenia... i przyrzekam, że nie będzie pani z nich się śmiała - powiedział zdecydowanie.

Elizabeth cofnęła się i zaczęła rozcierać ramiona, jakby chciała zetrzeć z siebie jego dotyk.

- W to wierzę, bo choć byłam nieco ironiczna, nie umiem sobie wyobrazić kogoś mniej zabawnego niż pan. - Uśmiechnęła się szyderczo, posyłając mu spod ciemnych rzęs pogardliwe spojrzenie.

- Proszę pozwolić, że pomogę pani wyobraźni. Czy porucznik Havering wydawał się pani zabawny? A czyją żalostną fantazją było odgrywanie przez panią ladacznicy dla dżentelmenów spotkanych na drodze, jego czy pani?

Elizabeth zbladła. A więc o to mu chodziło. Koniecznie chciał jej dać do zrozumienia, że dokładnie wie, co ją spotkało. Miała wrażenie, że znowu słyszy rechotania i chichoty, zupełnie jak wtedy, gdy razem z ojcem eleganckim powozem opuszczali Caledon Square. Ściany salonu zdawały się falować echem odgłosów bezwzględniego męskiego rozbawienia. Tak zaczynała się jej powrotna podróż do domu w Hertfordshire, gdzie czekała ją samotność. Nie wiedziała, czy Ross Trelawney był świadkiem jej zesłania na banicję, ale w tej chwili zdawał się tryumfować, za wszelką cenę chcąc jej dać do zrozumienia, jak bardzo nią gardzi. Poczula, że uginają się pod nią kolana i wsparła dłoń na oparciu kanapy. Po chwili doszła do siebie.

- Zastanowiłam się i ponownie stwierdzam, że nie umiem sobie wyobrazić kogoś mniej zabawnego niż pan - wyszeptała.

Groźba zastąpiła szyderstwo w oczach Trelawneya. Była pewna, że zaraz do niej podejdzie, i ta pewność przywróciła jej zdolność ruchów. Zaczęła się cofać.

- Jestem zmuszona ponownie prosić pana o chwilę cierpliwości. To nie zajmie dużo czasu. Proszę tu poczekać, przyniosę coś, dzięki czemu nie będziemy już więcej musieli znosić swojego towarzystwa - powiedziała cicho i, nie czekając na odpowiedź, wybiegła z pokoju.

Ross zamknął oczy. Czuł się zdruzgotany. Rozejrzał się po przytulnym saloniku, idealnie nadającym się na scenę uwiedzenia, i się roześmiał. Mimo eleganckiego wystroju, utrzymanego w błękitno- złotej tonacji, pokój był strefą działań wojennych. A choć to on stał na wygranej pozycji, mając w rękę cały arsenał broni, czuł, że został pokonany, zyskując sobie jednocześnie nieprzejednanego wroga. Nie mógł pojąć, dlaczego tak bardzo go to zraniło.

A potem nagle dotarło do niego, co się stało, i już nie mógł przestać o tym myśleć. Zrozumiał, że Elizabeth jest niewinna i nie ma nic wspólnego z podstępny planem Edwiny. Domyślił się, że nie chciała ryzykować jego zemsty i pobiegła po coś drogiego, co zaoferuje mu jako łup. Ross uśmiechnął się smutno. Miał nadzieję, że Elizabeth nie wróci z workiem pełnym rodzinnych sreber. Prawdę mówiąc, nie chciałby nawet, żeby przyniosła mu bankierski weksel... jeszcze nie teraz. Rozgrywka taktyczna, raniące, ostre słowa i starania, by trzymać się od siebie z daleka dobiegły końca. Nie zdołał się oprzeć powabowi drobnego, zmysłowego ciała i utrzymać rąk przy sobie. Kiedy jasne loki przypadkiem musnęły jego brodę, poczuł ich kwiatowy zapach i już nie mógł się od niego uwolnić. Wspomnienie było jak narkotyk. Pragnął znów zobaczyć Elizabeth.

Obojętne, czy była w zмовie z babką, czy nie, słusznie nazwał ją jędzą. A mimo to zafascynowała go. Zdołała poruszyć nie tylko jego ciało, ale i umysł, czego Cecily nigdy nie umiała zrobić. Zapraęął dowiedzieć się o Elizabeth jak najwięcej. Chciał wiedzieć o wszystkim, dobrym i złym, co się jej przydarzyło od chwili, gdy ich spojrzenia po raz pierwszy skrzyżowały się w Vauxhall Gardens. Wrócił wspomnieniami do dusznego, gorącego lata sprzed dziesięciu lat i do jasnowłosej debutantki.

Wtedy też jej pragnał, ale była za młoda i miała za duże powodzenie... tak samo jak on. Wiedział, że gdyby zbliżył się do niej, dołączając do grona otaczających ją głupców, którzy tylko czekali na pozwolenie, by się odezwać, poprosić do tańca czy zacząć flirtować, mogłoby to oznaczać jego koniec. Jak sama słusznie powiedziała, córki markizów, szczególnie te wyjątkowo piękne, nie zadają się z synami kornwalijskich kupców. Takie panny zostają żonami arystokratów. Wiedział, że nie przesadzała, wymieniając mężczyzn, którzy zabiegali o jej względy, bo wciąż była otoczona młodzieńcami z najlepszych rodzin. Tamtego lata był za młody, by narażać się na ryzyko odrzucenia, które było pewne, dlatego zniknął z zasięgu jej niewinnie prowokujących spojrzeń.

Miał pieniądze, ale brakowało mu pozycji... jeśli nie liczyć powszechnie panującego przekonania, że był rabusiem. Mimo to znalazły się kobiety, a nawet damy, którym się podobał i które pragnęły jego towarzystwa. Jego smagła, urodziwa twarz i nonszalancki sposób bycia przyciągał je do niego i podniecał. Leżąc nagie w jego ramionach, uwielbiały słuchać opowieści o morskich potyczkach i zrabowanych skarbach. Wszystko układało się jak najlepiej poza chwilami, gdy liczne wielbicielki dowiadywały się o konkurencji. Jego stosunki z kobietami układały się w tamtych czasach łatwo i przyjemnie. Mając dwadzieścia trzy lata, w pełni korzystał z życia i nie widział powodów, by sobie czegośkolwiek odmawiać.

Tak samo jednak jak cała reszta towarzystwa pomylił się, sądząc, że lady Elizabeth Rowe będzie szukała męża z tytułem i pieniędzmi. Wybranek jej serca okazał się bowiem najmłodszym i w dodatku ubogim synem baroneta.

Lekkomyślna ucieczka zakochanych zakończyła się katastrofą. Na drodze do Gretna Green ich powóz napadli rozbójnicy, a bezduszny młodzieniec przypuszczalnie wpadł w panikę i uciekł, zostawiając Elizabeth zdaną na łaskę napastników. Wieść głosi, że ojciec Elizabeth odnalazł ją po pewnym czasie w gospodzie w Cambridgeshire, samą w niekompletnym odzieniu. Co mogło spotkać zdaną na łaskę bandytów, samotną kobietę? Wnioski co do jej losu same się narzucały, ale ani ona, ani jej ojciec nie zaprzeczyli słowem plotkom.

Wybuchł skandal. Po raz pierwszy Ross usłyszał o nim, grając w faro w White'a z Guyem Markhamem i jego bratem Lukiem. Powietrze w lokalu było gęste od dymu cygar i zapachu gotowanej wołowiny. Temat wywołał w męskim gronie falę sprośnych żartów. Ross także wygłosił kilka cynicznych uwag na temat świętości dziewictwa, choć w głębi duszy uważał, że to, co się stało, było świętokradztwem. Smutny i zły tego wieczoru sporo przegrał.

Od tamtej pory przez co najmniej miesiąc to, co ją spotkało było tematem rozmów we wszystkich męskich klubach. Zastanawiano się, jak ją zachęcić do powrotu do miasta po tak obiecującym debiucie. Niejeden utytułowany rozpustnik proponował jej swoją opiekę, ale sądząc z tego, co przed chwilą od niej

usłyszał, żadnemu nie udało się jej skusić.

Mimo to jeden z nich wciąż nie dawał za wygraną. Wszyscy wiedzieli, że przed dziesięciu laty Linus Savage, hrabia Cadmore, był pewny, że to jego wybierze na męża lady Elizabeth. Oczekiwano ich zaręczyn, aż nagle okazało się, że panna zakpiła z bogatego członka Izby Lordów, wykorzystując go jako parawan, podczas gdy naprawdę romansowała z ubogim oficerem. Hrabia został ośmieszony, a ponieważ znany był ze swej pamiętliwości, Ross mógł sobie wyobrazić, że choć minęło wiele lat i Cadmore dawno się ożenił, to nadal pragnie zemsty.

Wszyscy, którzy sądzili, że lady Elizabeth szuka bogatego męża, by podreperować finanse ojca, uważali wybór Cadmore'a za oczywisty. Kiedy jednak wszystko obróciło się w farsę, markiz musiał być rozczarowany. Powszechnie zastanawiano się, co teraz zrobi z córką. Mógł ją oddać do klasztoru albo odesłać do dalekich krewnych. Mógł też ułożyć się z jakimś bogaczem, by wziął ją na swoją konkubinę, czy nawet, choć wydawało się to paradoksalne, pożyczyć pieniądze, kupić jej skromnego dżentelmena na męża i tym samym zapewnić szacunek. Jednak markiz nie zrobił niczego takiego. Nadał był oddany swojej uroczej córce i mieszkał razem z nią w Thorneycroft, wiodąc spokojne, samotnicze życie, a plotki na ich temat pozbawione jakiegokolwiek pożytki same wygasły.

Ross uznał, że dobrze urodzona panna, która mimo takiej degradacji zdołała zachować dumę, zasługuje na podziw. Choć, być może, została zniewolona i towarzystwo się od niej odsunęło, nie straciła ducha i śmiało okazywała mu swoją pogardę. Nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego zawsze interesował się jej losami i po co roztrząsa teraz nieszczęście sprzed lat, niczym sentymentalny głupiec. Równie dobrze mógł o niej nic nie wiedzieć.

- Niech cię diabli porwą, Edwina - mruknął zirytowany.

Tak bardzo drżały jej ręce, że nie mogła trafić kluczykiem do zamka. W końcu mała szufladka, ukryta w biurku babci, otworzyła się i Elizabeth wyjęła aksamitne zawiniątko. W pierwszym odruchu chciała je rozwinąć i po raz ostatni nacieszyć oczy ukrytym tam skarbem. Opanowała się jednak i, nie zaglądając do środka, zbiegła schodami na dół. Na myśl, że ten potwór mógłby opuścić ich dom bez załatwienia sprawy długu i że przez całą noc rzucałyby się w łóżku, niepewna, czy bezwzględny drań nie wróci, wpadła do salonu jak burza, co damie nie przystawało.

- Dziękuję, że pan czekał - powiedziała, zwalniając kroku.

Powoli podeszła do stolika przy kanapie i, ostrożnie rozwinąwszy aksamitne zawiniątko, zademonstrowała piękny brylantowo- ametystowy naszyjnik. Promienie słońca zapaliły tysiące błysków w przepięknych kamieniach, a ona w zachwycie patrzyła na cudo, które przypominało jej zawsze pewną osobę. Odsunęła się od stolika, a kiedy oderwała wzrok od klejnotu napotkała uważne spojrzenie brązowych oczu.

- To należało do mojej matki, a teraz jest moje. Mama dostała to od babci Edwiny na swoje dwudzieste pierwsze urodziny, a wkrótce potem wyszła za mąż za mojego ojca, markiza Thorneycrofta. Przypuszczalnie pomyśli pan, że to nie jest warte dziesięciu tysięcy funtów. Bo rzeczywiście... nie jest. Kiedy go ostatnio wyceniano, padła kwota dwóch tysięcy gwinei - Elizabeth zerknęła na Trelawneya, szukając w jego twarzy śladów zniecierpliwienia czy złości.

Ross uniósł wzrok znad perfekcyjnie dobranych brylantów i fiołkowych ametystów i spojrzął w oczy Elizabeth, które były równie piękne i zimne jak leżące na stoliku klejnoty.

- Jest pani bardzo podobna do matki... - stwierdził z lekkim uśmiechem.

- Skąd może pan to wiedzieć? - zapytała ze złością, bezwiednie bawiąc się swoimi włosami. - To jej naszyjnik, a nie portret.

- Musiała go dostać od kogoś, kto ją bardzo kochał, by podkreślał jej urodę. Pani ma takie same oczy. Domyślam się więc, że resztę też po niej pani odziedziczyła.

Miała wrażenie, że naszyjnik ją zdradził i z wyrzutem spojrziała na skrzący się klejnot, leżący między nimi jak niepewny traktat pokojowy. Znowu zerknęła na naszyjnik i, starając się ignorować domysły wicehrabiego, ciągnęła:

- Ojciec był bardzo zadowolony z tego, jak mama w nim wygląda, i postanowił dodać do kompletu jeszcze bransoletkę, kolczyki, broszkę i niedużą ozdobę do włosów. Zamówił to wszystko u tego samego jubilera, który robił naszyjnik, i dał mamie w prezencie ślubnym. Cały komplet wyceniono dziesięć lat temu na około osiem tysięcy funtów. Od tamtej pory musiał zyskać na wartości. Tutaj mam tylko naszyjnik, bo Edwina lubi na niego czasem popatrzeć. Reszta jest w bankowym sejfie, ale należy do mnie, więc nie musi się pan obawiać, że Thorneycroftowie się o to upomną.

Trelawney nie spuszczał z niej wzroku, a ona starała się odgadnąć, czy zdecyduje się przyjąć jej propozycję.

- Oczekuje pani, że będę zawstydzony, zabierając to cacko?

Zarumieniła się, ale jej głos brzmiał lodowato.

- Ani trochę, mój panie. W czasie naszej krótkiej znajomości nie wydarzyło się nic, co pozwoliłoby mi przypuszczać, że może pan mieć sumienie. W moich oczach nadal jest pan pozbawionym serca łajdakiem.

Wicehrabia uśmiechnął się, a drobne zmarszczki w kącikach jego oczu się powiększyły. Patrząc na niego, zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy był szczerze rozbawiony.

- Takie oświadczenie aż kusi, by nie zawieść pokładanej we mnie wiary.

- Chciałabym dostać pokwitowanie... - wykrztusiła.

- Oczywiście. - Ross się roześmiał. - A w jaki sposób zdołam położyć swoje ręce grabieżcy na pozostałych częściach kompletu?

Elizabeth usiadła przy małym stoliku i drżącą ręką napisała kilka zdań, zalakowała pismo i podała je wicehrabiemu.

- Na podstawie tego listu wydadzą panu klejnoty i będzie pan mógł z nimi zrobić, co zechce. Przypuszczam jednak, że sir Joshua najpierw zwróci się do mnie o potwierdzenie, bo nie codziennie dostaje takie polecenia.

Ross schował list do kieszeni i pozbawionym emocji, swobodnym gestem zawinął jej spadkowy naszyjnik w aksamitną szmatkę. Miękki rulon wydawał się ginać w jego ciemnej dużej dłoni.

- Pokwitowanie... - szepnęła, zdając sobie sprawę, że Trelawney mógłby odejść, unosząc z sobą jej najcenniejszy skarb, jej zabezpieczenie, i nikt nawet by o tym nie wiedział. - Proszę - wykrztusiła przez ściśnięte gardło i podała mu przybory do pisania.

Tak mi przykro, mamó, tak bardzo mi przykro...

Wicehrabia szybko i bez zastanowienia napisał pokwitowanie. Elizabeth chwyciła je w sztywne palce, jakby się obawiała, że może jej zostać odebrane.

- Dziękuję - mruknęła, a ton jej głosu świadczył, że najchętniej wysłałaby go do diabła.

Wiedząc, że nie będzie w stanie patrzeć, jak Ross Trelawney wychodzi z naszyjnikiem po matce w kieszeni, skierowała się w stronę drzwi.

- Będzie go pani chciała odzyskać - powiedział Ross do jej wyprostowanych sztywno pleców. - Proszę przekonać Edwinę, żeby przestała się wygłupiać. Jeżeli zwróci mi pieniądze w ciągu tygodnia, oddam pani naszyjnik. Po tym terminie niczego już nie mogę obiecać.

Powinna się do niego odwrócić i podziękować, ale nie była w stanie tego zrobić. Poczula napływające do oczu łzy i bez słowa opuściła pokój.

- Stratton! Sądziłam, że już dawno wyjechałeś! - zawołała Edwina, wchodząc do salonu, gdzie Ross stał przy kominku ze szklaneczką whisky w ręku. - Nie zdążysz przed zmrokiem do Kentu - zauważyła, zerkając na stojący w pokoju zegar, ale nie doczekała się odpowiedzi. - Widzę, że znalazłeś karafkę. - Uśmiechnęła się. - A może to moja wnuczka pamiętała o obowiązkach gospodyni? Elizabeth potrafi być urocza. Zajęła się tobą?

- Dobrze wiesz, że nie. - Uśmiechnął się ironicznie, obserwując ją znad krawędzi szklaneczki. - Kiedy tu przyjechałem, myślałem, że postradałaś zmysły i nie rozumiałem, o co ci chodzi.

- Naprawdę? Dlaczego tak myślałeś? - W głosie Edwiny brzmiało rozbawienie.

- Odniosłem wrażenie, że jesteś na tyle szalona, by próbować mnie oszukać.

- A teraz już tak nie uważasz?

- Teraz uważam, że jesteś wyjątkową diabolicą i masz wyjątkowo... intrygującą wnuczkę. Przypuszczam, że o to ci właśnie chodziło.

- A więc spodobała ci się moja Lizzie? Piękna dziewczyna, prawda?

- Piękna dziewczyna? - powtórzył z sarkazmem, patrząc w ogień. - Nigdy dotąd nie podsuwałaś mi pięknych dziewczyn.

- To prawda - przyznała. - Wydaje mi się, że już ją zdążyłeś polubić.

- Nie, nie polubiłem jej. Ale przecież oboje wiemy, że to bez znaczenia, prawda?

- Spłacę dług pod warunkiem, że się ożenisz. Nie ma ślubu, nie ma posagu. Ja widzę dla niej tylko takie rozwiązanie. Jej ojciec dziesięć lat temu mógł postąpić inaczej. Ona mogła też zdecydować o sobie zaledwie tydzień temu. Zapewne wiesz, że wciąż dostaje propozycje.

- Nie wątpię - odparł ironicznie.

- No dalej, nie trzymaj mnie w niepewności. Poprosiłeś ją o rękę?

- Nie, ale doszliśmy do porozumienia.

- Możesz wyrażać się konkretniej?

- Twoja wnuczka mi zapłaciła.

- Co takiego zrobiła? - Edwina nie wierzyła własnym uszom. Ross odstawił szklaneczkę i wyjął z kieszeni aksamitny rulon.

Wzrok Edwiny zatrzymał się na miękkim materiale. Ukryła niezadowolenie, po czym przeniosła wzrok na Rossa.

- Nigdy w życiu nie przypuszczałam, że rozstanie się z naszymi. Musiałeś się jej bardzo nie spodobać.

- Rozstała się nie tylko z naszymi, ale także z całą resztą kompletu.

- Musi być naprawdę przestraszona, a to do niej zupełnie niepodobne.

- Jestem pewien, że postąpisz szlachetnie i odkupisz jej te błyskotki.

- Nie - odparła beztrąsko Edwina. - Dlaczego miałabym to zrobić? Ciągle jeszcze mam nadzieję, że postąpisz uczciwie. W końcu nadal tu jesteś, prawda? A przecież tak bardzo spieszyło ci się do Kentu. W tej sytuacji zaryzykowałabym twierdzenie, że zachowałeś się w stosunku do niej jak ordynus i gbur, i teraz czujesz się winny. Może jeszcze jej nie polubiłeś, ale jutro...

Uśmiech pojawił się na zmysłowych ustach Rossa, a jego ciemne brwi uniosły się pytająco. Jednym haustem dokończył whisky, głośno odstawił szklaneczkę i bez słowa przeszedł obok Edwiny. Wielkimi krokami ruszył przez korytarz i nie zwalniając, odebrał z rąk kamerdynera płaszcz i łaskę.

Edwina ruszyła jego śladem i z bezpiecznej odległości patrzyła na zamykające się drzwi wejściowe.

- Jutro ją polubisz... - mruknęła z przebiegłym uśmiechem.

- Lizzie, może jednak ze mną porozmawiasz?

Lady Elizabeth Rowe odstawiła filiżankę z poranną kawą i spojrzała na babcię.

- Zamierzasz zapłacić temu człowiekowi to, co mu jesteś winna?

- Wiesz, że obecnie nie mogę tego zrobić. Tłumaczyłam ci, jak wygląda moja sytuacja finansowa.

- W takim razie nie będę z tobą więcej rozmawiać.

- Ależ, Lizzie, kochanie... Od wizyty Strattona minęły dwa dni, a ty nadal mi nie wybaczyłaś. Obraziłaś się na mnie i nazwałaś mnie głupią, a ja cię przeprosiłam. Przyznaję, miałam nadzieję, że ty i wicehrabia przypadniecie sobie do gustu. Ale skoro tak się nie stało... - Edwina wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że to bez znaczenia. - Nie możesz mnie winić, że chciałam spłacić swoje długi pieniędzmi, które bezużytecznie gniją w banku. Ani za to, że jako kochająca babcia przedstawiłam ci atrakcyjnemu dżentelmenowi. Poza tym dlaczego tak się do niego uprzedziłaś? To przystojny i czarujący mężczyzna. Przyznaj się... Wszystkie kobiety do niego wzdychają...

Elizabeth zerwała się z krzesła, zapominając, że miała się nie odzywać do babci.

- Przystojny? Czarujący? Wygląda jak cygan przebrany w ukradzione ubranie. Do tego nazwał mnie opryskliwą i wyniosłą małą jędzą!

- Naprawdę? - Edwina wydawała się nie tyle oburzona, co zaskoczona. - Nie mówiłaś mi o tym, a Ross jest zazwyczaj uprzejmy w stosunku do kobiet, nawet tych, które na to nie zasługują - powiedziała, mając w pamięci Cecily Booth, bez skrępowania nagabującą go na wieczorku u Marii. - Musiałaś mu nieźle zaleźć za skórę, jeśli nie był w stanie utrzymać pozorów nonszalancji.

- Tak myślisz? - zapytała Elizabeth, wyglądając przez okno.

- Wiem, że czasem potrafisz być wyniosła. Opryskliwa mała jędza, tak?

Elizabeth zarumieniła się i oparła rozpalone czoło o chłodną szybę. Wiedziała, że jej zachowanie było skandaliczne, ale nie czuła się zawstydzona, bo ten człowiek zasługiwał na najgorsze traktowanie.

Zaczęła się zastanawiać, czy gdyby była dla niego miłsza, on również nie odpłaciłby jej tym samym. Ale wtedy nie była w stanie myśleć i dała się ponieść emocjom. Od dawna nie używała kobiecych sztuczek, by osiągnąć to, czego chciała. I nagle zrobiło się jej żal, że straciła okazję.

Dużo mądrzej byłoby schlebiać jego żalostnemu zarozumiałstwu i tym samym zyskać trochę czasu, by namówić babkę do spłaty długu. Jednak im większy spokój i opanowanie okazywał wicehrabia, tym bardziej ona stawała się nerwowa i spięta. Prawdę mówiąc, nadał nie mogła uwierzyć, że w przyływie wściekłości straciła skarb należący do jej matki... i do niej.

- Byłaś dla niego niegrzeczna? - pytanie Edwiny wdarło się w jej rozmyślenia.

- Miałam wszelkie prawo zachowywać się tak samo źle jak on. Można mu wiele zarzucić, ale pamięć ma doskonałą. Zadał sobie wiele trudu, by mnie o tym przekonać, przypominając liczne szczegóły skandalu sprzed dziesięciu lat.

- A ty zadałaś sobie trud, by go oświecić, co się wtedy naprawdę wydarzyło?

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym rozmawiać z nim na tak osobiste tematy? On dla mnie nic nie znaczy i nie potrzebuję jego akceptacji.

- Z tego wynika, że od początku wiedział o twoim nieszczęściu, a mimo to ociągał się z odejściem - zauważyła Edwina i popatrzyła na wyniosłą minę wnuczki. - Jeśli zadzierałaś nosa tak jak w tej chwili, to wcale się nie dziwię, że tak cię nazwał.

- Gdybyś przypadkiem zapomniała, to chcę ci przypomnieć, że klejnoty mojej matki są w posiadaniu twojego okropnego przyjaciela. Och, czemu to zrobiłam! - Elizabeth ukryła twarz w dłoniach. - Nie powinnam się była z nim spotykać. Nie powinnam była pozwolić, żeby mnie zastraszył i zmusił do płacenia za twoje długi. Niechby spełnił swoje groźby i wsadził cię do więzienia! Jesteś oszustką i zasługujesz na karę. Popełniłaś okropną pomyłkę i musisz to teraz naprawić. Daj mu te śmieszne pieniądze. Proszę cię! Wiesz, że komplet biżuterii jest niepowtarzalny i nic go nie zdoła zastąpić.

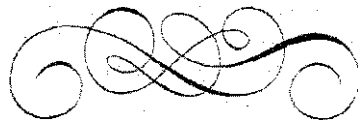
- Nie myśl o mnie źle, Elizabeth, ale nie zawsze wszystko mi się udaje. Wiesz, że nigdy nie naraziłabym pamięci mojej ukochanej córki ani twojego po niej spadku. Uwierz mi, że wicehrabia jest człowiekiem honoru. Testem go pewna, tak jak tego, że znowu będziesz nosić swoje ametysty. Prawdę mówiąc, zbyt długo już leżały w sejfie. W pewnym sensie nawet się cieszę, że to Stratton je ma. Przynajmniej znów zobaczą światło dzienne.

- Zapewne załsnia też w blasku świec, kiedy będzie je na sobie miała któraś z jego dziewczek. Jak ci się to spodoba? - Elizabeth wybiegła z pokoju, omal nie przewracając w drzwiach wchodzącego właśnie Pettifera.

- Powiedz, Pettifer, czy słusznie upieram się przy swoim? - zapytała Edwina. - Potrzebuję czegoś, co mnie przekona, że to wszystko ma szansę powodzenia, inaczej się wycofam.

Pettifer podniósł list, który spadł na podłogę, gdy przepuszczał wybiegającą z pokoju Elizabeth i podał go Edwinie na srebrnej tacy.

- Proszę nie upadać na duchu, pani Sampson. Myślę, że właśnie nadeszło potwierdzenie słuszności pani postępowania. - Roześmiał się, a jego błękitne oczy zabłyśły.



Rozdział szósty

Prosi o możliwość ponownego spotkania, z nadzieją na uzgodnienie przyjemniejszych warunków spłaty zadłużenia. Nie wyklucza nawet negocjacji na temat zwrotu moich rodzinnych klejnotów. Jakże szlachetnie z jego strony! Ciekawe czego będzie chciał w zamian? - pomyślała zjadliwie Elizabeth. Mojej głowy na tacy. Albo mojego nagiego ciała. Wszyscy mężczyźni są tacy przewidywalni, zakpiła w duchu, z pogardą odrzucając list. Ale nagle serce zabiło jej mocniej i zerwała się z łóżka. Linus Savage w swoich liścikach używał tych samych zwrotów: możliwość negocjacji... warunki do uzgodnienia...

Opadła na aksamitny stołek przy toaletce i zaczęła czesać gęste włosy. Szybko się jednak znudziła i z westchnieniem odrzuciła szczotkę.

Przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, dostrzegła niedużą zmarszczkę blisko ust. Dotknęła jej palcem, zastanawiając się, dlaczego zauważyła ją dopiero teraz. Ostatnio nie miała przecież zbyt wielu okazji do śmiechu, więc skąd nagle ta zmarszczka. Potem dotknęła cienkiej linii między delikatnymi łukami brązowych brwi. Zmarszczka była zaskakująco mała, jeśli wziąć pod uwagę temperament Elizabeth i historię jej życia. Obejrząwszy dokładnie całą twarz, doszła do wniosku, że czas był dla niej łaskawy i w ciągu dziesięciu lat, które minęły od debiutu w towarzystwie, wcale się nie zestarzała. Przypomniała sobie, jak dumna była ze swojej urody i z pokorą opuściła głowę.

Od tamtej pory wielu mężczyzn próbowało uczynić jej życie podłym i brudnym, a teraz do ich grona dołączył jeszcze jeden. Najbardziej martwiło ją jednak, że ten ostatni wydawał się wiedzieć, jak odnieść sukces...

Elizabeth zacisnęła usta. Zamierzała odzyskać swoje klejnoty. Pragnęła tego z całego serca i żarliwym szeptem obiecała swoim zmarłym rodzicom, że jeśli je odzyska, nigdy już z nimi się nie rozstanie. Nie mogła jednak wymyślić żadnego sprytnego planu, który pozwoliłby jej przechytryć wyrachowanego drania i pozbawić go drogiego łupu. Wszystko wskazywało na to, że jeśli wicehrabia zechce jej oddać klejnoty, odbędzie się to na jego warunkach...

Odsunęła od siebie ponure rozmyślenia i skoncentrowała się na jutrzejszym dniu. Jak co niedziela pojedą z babcią do St. Mary na poranną mszę, a potem będzie się spieszyć, by zdążyć coś zjeść i przebrać się w skromną suknię przed przyjazdem pastora Clemence'a, mającego ją zabrać do niedzielnej szkółki na Barrow Road.

Usiadła przy stoliku i wzięła do ręki pióro, ale zaraz odłożyła je z powrotem. Ponownie wzięła pióro i znów je odłożyła. Zdecydowanym ruchem odsunęła papier i wstała. Postanowiła, że na impertynencki liścik wicehrabiego odpisze później, kiedy będzie miała czas, żeby się zastanowić nad odpowiednio zjadliwą treścią.

- Pastor Timms wydaje mi się trochę mizerny.

- To prawda. - Elizabeth skinęła głową. - Mam nadzieję, że jego żona jest tylko przeziębiona i cała ta rozmowa o grypie była niepotrzebna.

Siedząc w swoim eleganckim powozie, Edwina zauważyła pospiesznie wychodzącą z kościoła sąsiadkę i skinęła jej dłonią.

- Widziałaś kiedyś równie idiotyczny turban? - zwróciła się po cichu do Elizabeth. - Ma na głowie chyba cały kurnik. Ale ostatecznie jeśli się weźmie pod uwagę, że prawie nie ma własnych włosów, można to zrozumieć.

Elizabeth zerknęła na panią Vaughan, rówieśniczkę Edwiny, i na towarzyszące jej dwie tyczkowate siostrzenice.

- Potrafisz być okropnie dwulicowa i obłudna, babciu - szepnęła Elizabeth. - Sama słyszałam, jak w kościele chwaliłaś jej strój.

Edwina uśmiechnęła się zadowolona, że wnuczka nie wspomniała o innych jej przewinieniach.

- Pettifer powiedział, że jakiś lokaj w eleganckiej liberii przyniósł dziś dla ciebie list. Jest pewien, że czarny i złoty, to kolory wicehrabiego Strattona...

- Bardzo wulgarnie zestawienie, więc to rzeczywiście musiał być jego lokaj.

- Elizabeth! Pytam, czy dostałaś dzisiaj list od Strattona.

- Gdyby tak było, z pewnością byłaby to moja prywatna sprawa - odparła Elizabeth, patrząc na babkę fiołkowymi oczami.

- Och, nie zachowuj się jak pensjonarka! Jesteś moją wnuczką i mam prawo wiedzieć, co się dzieje pomiędzy tobą a moim przyjacielem.

- Wydaje mi się, że trochę za późno na takie obawy. Ale przyznaję, że troskliwa babcia powinna się tym zainteresować. Twój przyjaciel przysłał mi list, w którym oświadcza, że skłonny jest jeszcze raz przedyskutować warunki spłaty długu, i kusi mnie możliwością natychmiastowego zwrotu klejnotów...

- Bardzo pięknie z jego strony. Widzisz, mówiłam ci, że to dżentelmen.

- Przypuszczam, że w zamian za swój szlachetny gest będzie żądał spełnienia pewnych warunków.

Edwina rzuciła wnuczce ostre spojrzenie,

- Czyżbym ci o tym nie wspomniała? - zapytała niewinnie Elizabeth. - Wicehrabia jest niezwykle uprzejmy i w przypadku, gdy nie uda mi się ciebie przekonać, byś mu zwróciła gotówkę, oferuje wiele możliwości. Dla ciebie więzienie, a dla mnie ulicę, ale zanim tam trafię, najpierw przez sześć lat będę pracować jako jego kurtyzana, by spłacić dług.

- Porozmawiam z nim - wykrztusiła Edwina, - Co za dużo to nie zdrowo. Koniec z tym.

- Bo ty tak powiesz? - zapytała, wybuchając histerycznym śmiechem Elizabeth. - Nic z tego. Kiedy mi powiedziałaś, że to potężny i wpływowy człowiek, nie wierzyłam. Ale teraz już wierzę i obawiam się, że jemu wcale aż tak bardzo nie chodzi o gotówkę. W liście nawet nie wspomniał o pieniądzach. Chodzi mu o zemstę. Chce wziąć odwet za to, że go przechytrzyłaś. Wierzę, że miałaś dobre zamiary i chciałaś mnie widzieć bezpieczną u jego boku, ale... - Elizabeth głęboko westchnęła. - Obawiam się, że twój przyjaciel ma własne plany i zmienił się w groźnego wroga. Co ty najlepszego zrobiłaś, babciu?

Pochylając się nad ramieniem dziecka, Elizabeth wstrzymała oddech, czując kwaśny zapach brudnej odzieży, bijący w nozdrza. Delikatnie wyjęła kredę z chudziutkich palców małego.

- Samuel piszemy przez ue - powiedziała i pod krzywymi literkami chłopca napisała poprawnie całe imię. Oddała małemu kredę i podeszła do następnego dziecka. Była to Clara Parker, dziesięcioletnia dziewczynka, która wpatrywała się w nią z uwielbieniem w szarych oczach.

- Skończyłaś już, Claro? - zapytała z uśmiechem.

- Tak, pszę pani - odparła Clara, delikatnie dotykając starej i dawno niemodnej błękitnej pelisy, którą miała na sobie Elizabeth. - Też chciałabym mieć takie loki - dodała cichutko patrząc na jasne włosy nauczycielki widoczne spod starego czepka i okręcając wokół palca cienkie pasmo mysich włosków.

Elizabeth ujęła pasmo włosów dziewczynki i zakręciła je sobie na palcu, a potem zsunęła cienką spiralkę, kładąc ją ostrożnie na dłoni zachwyconej Clary.

- A teraz bierz się za lekcję, bo pastor będzie niezadowolony - szepnęła, patrząc, jak pochyłony nad jednym z chłopców Hugh słucha cichego głosu ucznia, który czytał napisany przez siebie krótki tekst.

Czując na sobie wzrok Elizabeth, Hugh uśmiechnął się i wyprostował, a potem postukał palcem w zegarek. Czas szkoły niedzielnej dobiegł końca. Klasnął w dłonie, a dzieci zaczęły do niego podchodzić i oddawać tabliczki i kredę. Zmarznięte maluchy wybiegały w promienie zimowego słońca, z radością wystawiając blade twarze na jego blask.

- Szkoda, że okno nie wychodzi na południe, byłoby cieplej i jaśniej - powiedziała Elizabeth, zerkając na umieszczone wysoko małe okienko.

- Gdyby nie dobroć pana Granthama, który użyczył nam tej sali, szkołka w ogóle nie mogłaby istnieć - odparł pastor, zamykając w szafie kilka cennych drobiazgów. - Lekcje mogą się odbywać tu albo na plebani, a wątpię, by moja matka chciała wpuścić do domu dwadzieścioro brudnych i zawszonych dzieciaków. - Uśmiechnął się lekko, skępowany swoim wyznaniem. - Gdybyśmy mieli pieniądze na budowę domu parafialnego...

Pastor zamknął drzwi i podał Elizabeth ramię, by pomóc ją pokonać nierówny, śliski bruk. Wiedziała, że po dziesięciu minutach wędrówki wąskimi uliczkami Wapping dotrą na plebanie, gdzie przyjmie zaproszenie matki pastora na filiżankę herbaty i kawałek wyschniętego ciasta, a potem zostanie odwieziona na Connaught Street.

Jakaś kobieta oparta o łuszczące się z zielonej farby drzwi wystawiała twarz do słońca, a płaczące się przy jej nogach malutkie dziecko wepchnęło do buzi chudziutkie kciuki. Widząc pastora, pozdrowiła go wesoło. Hugh dotknął róna kapelusza odpowiadając na pozdrowienie.

Tchnąca spokojem scena nie trwała jednak długo, bo zza drzwi wyłonił się mężczyzna w kamizelce i poplamionych spodniach. Chwycił kobietę za ramię i klnąc na spóźniony obiad i jej lenistwo, wciągnął ją do domu. Kobieta odpowiedziała mu równe barwnym językiem, a dziecko zaczęło popłakiwać.

Hugh pokiwał głową i przyspieszył kroku. - Lady Elizabeth...?

Głos był tak cichy, że żadne z nich nie usłyszało wołania i nadal dyskutowali o możliwości wybuchu epidemii grypy. - Lady Elizabeth Rowe...?

Tym razem głos był na tyle donośny, że oboje się zatrzymali Elizabeth puściła ramię pastora i powoli podeszła do najbliższych drzwi. Zobaczyła, że przygląda się jej kilka par oczu, bo choć bywała tu w niedzielne popołudnia od tyłu miesiący, nadal budziła zainteresowanie miejscowej ludności. Z największą ciekawością przyglądały się jej kobiety, zazdroszcząc jej jasnych włosów, delikatnych rysów twarzy i czystej sukni. Pastor nie budził w nich aż takiego zainteresowania, ale tylko dzięki szacunkowi, jakim się cieszył wśród tych ludzi, Elizabeth mogła się tu czuć bezpiecznie. Jak dotąd nikt nie zwracał się tu do niej po imieniu.

- Czy ktoś mnie wołał? - zapytała zaskoczona, zaglądając w ciemność korytarza. Cofnęła się jednak od razu, bo smród zepsutego jedzenia i niemytych ludzkich ciał był nie do wytrzymania. Już miała się odwrócić i odejść, gdy jakaś postać wysunęła się zza drzwi i zaczęła się jej przyglądać. Elizabeth spojrzała na kobietę i stwierdziła, że ją zna. Choć patrząc na ziemistą twarz, przeciętą blizną ciągnącą się od brwi do ust, i na ciemne, zmatowiałe włosy kłębiące się na szczupłych ramionach, nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

Widząc zakłopotanie Elizabeth, kobieta roześmiała się szyderczo, po czym powiedziała:

- Nie pamięta mnie pani, prawda? Nie dziwnego. Wyglądam inaczej niż kiedyś. - Kobieta mówiła jak osoba kulturalna, a ledwo wyczuwalna tendencja do polykania przerw pomiędzy wyrazami i do zaokrąglania samogłosek świadczyła o lekkim nalocie cockneya. Odrzuciła do tyłu włosy i z arogancką miną popatrzyła na Elizabeth. - No, przyjrzyj mi się uważnie. Poznajesz? - Tym razem przemówiła miejscowym slangiem. - Nie jestem już taka ładna jak kiedyś, co?

- Jane? Jane Dawson?

- We własnej osobie. Wysłałam za mąż za pułkownika Selby'ego, pamiętasz? Wtedy byłam przekonana, że powiodło mi się lepiej niż tobie. - Zaśmiała się, widząc rumieniec na twarzy Elizabeth. - Ale nigdy nie wiadomo, jak się życie potoczy... - Pokręciła głową, zerkając na pastora, który przestępował z nogi na nogę, przysłuchując się rozmowie. - To twój mąż? - Jane wytarła nos rękawem. - Jesteś żoną pastora?

- Ależ nie! Pastor i ja uczymy razem w niedzielnej szkółce na Barrow Road - wyjaśniła świadoma, że rozmowa damy z jedną z tutejszych mieszkanek zwraca powszechną uwagę. Chwyciła Jane za wychudzone ramię i wyciągnęła ją z ciemnej sieni - Jak się tu znalazłaś? Czyżby twój mąż zmarł? - zapytała skonsternowana, marszcząc brwi.

- Nie mam pojęcia. Zresztą okazało się, że wcale nie był moim mężem, tak samo jak nie był żadnym pułkownikiem. - Jane się zaśmiała. - Okazało się, moja pani, że drań miał już jedną żonę w Yorkshire, a drugą w Portugalii. Z cudzoziemką ożenił się pewnie podczas wojny. Kłamał, mówiąc, że zwolniono go z armii z przyczyn zdrowotnych, podczas gdy naprawdę był zwykłym sierżantem piechoty, wyrzuconym z wojska za kradzież i tchórzostwo. Jak widzisz, trafiłam równie kiepsko jak ty ze swoim porucznikiem Haveringiem. Cholerni żołnierze! - Jane przerwała i zmierzyła Elizabeth uważnym spojrzeniem. - Dobrze wyglądasz, więc nie wylądowałaś najgorzej, choć oczywiście powinien cię spotkać lepszy los. Najwidoczniej cały tamten skandal spłynął po tobie jak woda po gęsi...

- Nie do końca - Elizabeth uśmiechnęła się blado - ale muszę przyznać, że miałam szczęście i moja babcia, matka mojej mamy, nie odwróciła się ode mnie, jak pozostali. Gdyby nie ona, nie wiem, co by się ze mną stało, kiedy kilka lat temu umarł mój ojciec.

- Przypuszczam, że skończyłabyś podobnie jak ja - stwierdziła z lekką złośliwością Jane, ale zaraz zmieniła ton. - Słyszałam, że twoja babcia, wdowa po markizie, chłodno cię potraktowała. - Jane zachichotała, - Zawsze była żalonną staruchą. Pamiętasz, jak w czasie pierwszej wizyty w Vauxhall ty, ja i Sally Treacher się zgubiłyśmy?

- Pamiętam. - Elizabeth się roześmiała. - Babka o mało nie dostała wtedy wylewu!

- Tak samo jak moja mama. Oskarżyła mnie, że tamtego wieczoru zgubiłam w krzakach coś więcej niż tylko szal. Ta głupia krowa, pani Treacher powiedziała jej, że w tym samym miejscu widziano Trelawneya i kilku jego rozhukanych kompanów. Tak się tym przejęły, że trzeba im było podać sole trzeźwiące. A ja byłam okropnie zła, kiedy usłyszałam, że się z nimi minęłyśmy. - Jane zachichotała nieprzyzwoicie.

Elizabeth zauważyła, że słysząc nazwisko Trelawneya, pastor przysunął się bliżej.

- Co ci się przydarzyło? Dlaczego sprawy przybrały aż tak zły obrót? A co z twoimi rodzicami? Pewno nie mają pojęcia, co się z tobą dzieje?

Jane zakryła dłonią drżące usta.

- Nic już ich nie obchodzi. Mogłabym umrzeć i wcale by się nie zmartwili. Choć nieprawda, oni woleliby, żebym umarła. A wszystko przez to, że ja go... kochałam. Kiedy ojciec odkrył obrzydliwe szczegóły z życia Franka, powiedział mi o tym, ale ja nie chciałam mu wierzyć. Ojciec dał mi do wyboru: albo wróć z nim do domu, albo zostanę ze swoim bigamistą, ale wtedy oni nie chcą mnie więcej znać. Wybrałam Franka... byłam pewna, że mnie kochał. On jednak uciekł, zostawiając mnie... i naszego synka.

- Masz synka? I tutaj z nim mieszkasz? - zapytała Elizabeth, marszcząc brwi.

- Tak, na piętrze. - Jane wskazała głową drzwi. - Dałam Jackowi laudanum, dzięki temu będzie dziś wieczorem spokojny i nie będzie płakał.

- Tego już za wiele! - Elizabeth chwyciła przyjaciółkę za rękę. - Przyrowadź tu tego malca i chodźcie ze mną do Marylebone. Pomyślimy, jak wam pomóc.

Jane wyrwała rękę. W jej oczach był strach.

- Nie rozumiesz, nie mogę tego zrobić. On nigdy mi nie pozwoli odejść... chyba że mu zapłacę.

- Kim jest ten „on”?

- Przypuszczam, że ma na myśli mnie. - Elizabeth usłyszała przypoehlebny głos.

Odwróciła się i zobaczyła krępego, mocno zbudowanego mężczyznę o ziemistej cerze i ciemnych, napomadowanych kręconych włosach. Mężczyzna przyglądał się im z lisią przebiegłością, a wokół jego niesamowicie błękitnych oczu pojawiły się zmarszczki. Sunął pod ścianami, aż dotarł do Jane. Objął ją mocno ramieniem, a ona jakby się skurczyła i wyglądała na jeszcze drobniejszą. Mężczyzna zacisnął pięść, a potężne mięśnie na jego ramieniu zagrały pod owłosioną skórą.

- Nie zamierzasz mnie przedstawić swoim przyjaciołom? - zapytał przymilnym tonem. - Oczywiście pastor i ja już się znamy.

Jane milczała, stojąc z opuszczoną głową.

- Gdzie twoje maniery, dziewczyno? - Mężczyzna potrząsnął Jane. - Kim jest ta urocza dama obok pastora? - zapytał, zdejmując czapkę w geście szacunku.

Hugh oparł dłoń na ramieniu Elizabeth, zdecydowanym ruchem odsuwając ją od Jane.

- Widzę, Leach, że nadal stosujesz te same sztuczki. Próbowales kiedyś zarobić na sobie i popracować w porcie?

- To nie dla mnie - odparł przebiegle Leach. - Te niedobre dziewczyny ciągle pakują się w kłopoty i wiercą mi dziurę w brzuchu, żebym się nimi opiekował. A ja mam miękkie serce i dlatego to robię. No, powiedz pastorowi, jak dobrze się tobą zajmuję. - Mężczyzna z wprawą potrząsnął Jane.

- To prawda - szepnęła Jane, podnosząc na nich wielkie czarne oczy. - Odejdźcie. Przepraszam, nie powinnam wam była zawracać głowy... i błagam, nie wracajcie. - Chwyliła brudną spódnicę w dłonie i znikła za drzwiami.

- Idziemy, Elizabeth! - W głosie pastora brzmiało ponaglenie i gniew.

- Nie! - Elizabeth popatrzyła z wściekłością na mężczyznę, który oblizując mięsiste wargi, łypał na nią pożądliwie.

- Nie ma potrzeby zwracać uwagi na to, co mówiła Jane - powiedział i gładząc się po nieogolonej szczęce, taksował spod spuszczonej powiek jej skromną suknię. - Czasem brakuje jej manier i już z nią o tym rozmawiałem, Szczególnie gdy zbyt ostro odnosi się do dżentelmenów, którzy traktują ją jak należy. Wracaj tak często, jak chcesz. Coś mi mówi, że wielu panów z przyjemnością potraktowałoby cię jak należy. Może nawet ja sam.

Elizabeth otworzyła usta, by powiedzieć temu wstrętnemu typowi, jak wielkim obrzydzeniem ją napawa, ale zamknęła je z powrotem. Bała się pogorszyć położenie Jane, więc tylko zacisnęła pięści w bezsilnej złości.

Widząc jej wściekłość, Leach zarechotał, a ona odwróciła się i chwyciła pastora pod ramię, chcąc jak najszybciej oddalić się z tego miejsca.

- Elizabeth, bądź rozsądna. Posłuchaj, co mówi pastor Clemence. Z tymi kanałiami nie ma żartów. To bezwzględni ludzie, żyjący w swoim świecie rządzącym się okrutnymi prawami, gdzie przestrzega się hierarchii.

Ale Elizabeth nie chciała słuchać, więc zrozpaczona Edwina spojrzała złym okiem na stojącego w drzwiach salonu pastora.

- Niech pan jej przemówi do rozsądku, pastorze. I proszę pamiętać, że to przez pana. Nigdy nie powinien był pan zachęcać dobrze urodzonej panienci do wizyt w slumsach. Widzi pan teraz, do czego to doprowadziło! Och, zresztą nieważne! Teraz chodzi o to, żeby uzmysłowił pan lady Elizabeth niebezpieczeństwa, jakie niosą z sobą kontakty z tymi ludźmi, i to, że nigdy nie wolno jej tam wrócić.

- Nie trzeba mi tego powtarzać - burknęła rozzłoszczona Elizabeth. - Nie obwiniaj pastora o moje zachowanie. Mam prawie dwadzieścia dziewięć lat i sama podejmuję decyzje. Zrozumiałam, że chcę pomagać potrzebującym, a teraz tym bardziej widzę, jak ogromne znaczenie ma ta praca. Na własne oczy

zobaczyłam okrucieństwo, brud i nędzę tego życia i jeśli uważasz, że zostawię dawną przyjaciółkę i jej synka w rękach tego nikczemnego.

- Elizabeth! Tu nie chodzi wyłącznie o ratowanie upadłej kobiety i jej dziecka. Tacy mężczyźni jak Leach wiążą z sobą te nieszczęsne istoty, wpędzając je w długi i zastraszając. Wątpię, byś słyszała o starej Leach i proszę Boga, by tak było. Ta okropna kobieta prowadzi dom uciech i zajmuje się paserstwem, a mężczyzna, którego dziś poznałaś, jest jej synem i obraca się w tym samym środowisku. Żyją z prostytutek, złodziei i kieszonkowców, którzy dla nich pracują. To najgorszy, najpodlejszy gatunek szumowin i kanalii.

- Nic mnie to nie obchodzi! - krzyknęła Elizabeth, a jej piękne oczy ciskały błyskawice.

- Rozumiem, że trudno się z tym pogodzić, ale smutna prawda jest taka, że pani Selby pozostaje w ich mocy i jest mało prawdopodobne, by pozwolili jej odejść. Kiedy Jane była samotna i porzucona, Leach udawał troskliwego przyjaciela zdobywając jej zaufanie. Może dawał jej ubranie albo jedzenie, stwarzając pozory, że to prezenty, a kiedy nadeszła pora zapłaty, zaprowadził ją do lichwiarza, namawiając, by pożyczyła pieniądze na spłatę długu. Najprawdopodobniej roztaczał przed nią wizję powrotu do lepszego świata, aż w końcu wpadła w sidła własnych marzeń. Leach przyprowadza jej klientów i zabiera większość pieniędzy, które jej płacą. Zostawiając jej tak niewiele, ciągle namawia, by pożyczała. W ten sposób długi rosną, odcinając możliwość ucieczki na wolność. Jane nigdy nie zarobi tyle, żeby go spłacić. Już on tego dopilnuje. Pewnie uznasz, że to nieludzkie, ale rodzice twojej przyjaciółki nigdy nie chcieliby się dowiedzieć, gdzie i w jaki sposób ją znalazłaś.

- Babciu, błagam cię, daj mi pieniądze. Muszę jej pomóc - poprosiła przejęta Elizabeth.

- To szaleństwo. Słyszałaś choć słowo z tego, co mówił pastor? Nie możesz jej pomóc. Naprawdę uważasz, że Leach bez walki odda kurę znoszącą złote jajka? Jeśli się dowie, że mieszkamy tu same, jedynie ze służbą, wyśle swoich oprychów, żeby nas okradli. Może nas zamordować w naszych własnych łóżkach! - Edwina spojrzała na pastora. - Mam rację, pastorze?

- To niewykluczone, pani Sampson - przyznał Hugh. - I proszę mi wybaczyć, ale przyznanie pani racji wcale mnie nie uspokaja.

- Zabraniam ci tam wracać, moja panno. I nie chcę już więcej słuchać tych bzdur. Jeśli mnie nie posłuchasz, przysięgam, że pożałujesz! - oświadczyła Edwina i wyszła z salonu, trzaskając drzwiami.

- Przykro mi Elizabeth. To wszystko moja wina. - Hugh zamknął zimne dłonie Elizabeth w swoich ciepłych rękach.

- Twoja babka ma rację, wyrzucając mi, że wciągnąłem cię pracę w tak podłej okolicy. Gdyby nie to, nigdy nie doszłoby do dzisiejszego spotkania z panią Selby.

- Cieszę się, że ją spotkałam. Dzięki temu mogę komuś pomóc. Nie czuj się winny, proszę. Przecież sama się zgłosiłam do pracy na Barrow Road. Nadal chcę pomagać ludziom, teraz nawet bardziej niż przedtem.

- Jeśli naprawdę tego chcesz, musisz pozwolić, bym cię mógł chronić na wszystkie dostępne mi sposoby. Byłbym zaszczycony, gdybyś pozwoliła mi osłonić cię własnym nazwiskiem i skromną pozycją duchownego.

- Proszę, przestań... - Elizabeth ścisnęła palce Hugh. - Uważam cię za jednego z najlepszych, najbardziej oddanych przyjaciół i chcę, byś wiedział, że jestem ci za to bardzo wdzięczna. - Uwolniła dłonie z jego rąk. - To był ciężki dzień. Chcę się wcześniej położyć, a przedtem powinnam pogodzić się z babcią.

Hugh uśmiechnął się blado, delikatnie ucałował koniuszki jej palców i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Elizabeth poprosiła pokojówkę, by przygotowała jej koszulę nocną z długimi rękawami i w samej bieliznie podeszła do płonącego na kominku ognia. Przetarła twarz flanelową szmatką zmoczoną w pachnącej wodzie i z westchnieniem wypuściła ją z rąk. Flanelka wpadła do miski z parującą wodą, wychlapując wonne krople na biurko. Elizabeth wykręciła szmatkę i przetarła nią ramiona i kark, a opuszczając głowę spojrzała na leżący na blacie list od wicehrabiego. Serce jej na chwilę zamarło, bo całe zamieszanie wynikłe ze spotkania z Jane sprawiło, że zapomniała o własnych problemach, które nagle przestały się wydawać istotne. Nie była głodna, miała się w co ubrać i gdzie spać.

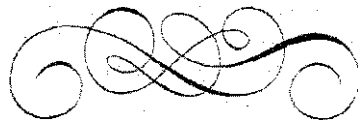
Woda kapnęła na papier i rozmyła atrament, ale szare smugi nie sięgnęły słów: „Być może zwrócę pani jej rodzinne klejnoty”. Patrząc na wyraźnie widoczne wyrazy, pomyślała, że to nie przypadek sprawił, by właśnie te słowa ocalały i nagle wpadła jej do głowy myśl tak szokująca, że aż musiała usiąść.

Rozważając szalony pomysł, zaciskała dłonie. Cóż ma w zasadzie do stracenia, skoro dobre imię i pamiątki rodzinne i tak już przepadły? Obraz Jane i jej biednego synka, żyjących w brudzie, nędzy i poniżeniu stał jej przed oczami. Jeśli nie zbierze się na odwagę teraz, to czy kiedykolwiek w życiu zrobi coś powodowana czystym, bezinteresownym współczuciem? Ziarno zostało zasiane, teraz trzeba było jedynie odwagi, by pomóc mu wyrosnąć i zakwitnąć.

List wypadł z drżących palców Elizabeth. Popatrzyła na chwiejące się na wietrze korony drzew. Dopiero zapadał zmierzch. Nie było jeszcze tak późno. Powiedziała już babci dobranoc i wiedziała, że Edwina jest w łóżku.

Spojrzała na pokojówkę, która grzała jej nocną koszulę, trzymając ją przed płonącym ogniem.

- Nie, Josie - powiedziała, a w jej głosie dały się słyszeć nutki histerycznej wesołości. - Daj mi niebieską, aksamitną suknię i czarny satynowy płaszcz... ten z kapturem. Zamierzam wyjść z domu i obawiam się, że będziesz musiała mi towarzyszyć.



Rozdział siódmy

Nieoczekiwana wizyta damy o dziesiątej wieczorem była niezwykła sama w sobie, mimo to służący nie okazał zaskoczenia nawet wtedy, gdy dama zażądała rozmowy z jego panem.

Wskazał krzesło, na którym usiadła, dziękując mu wdzięcznym skinieniem głowy, a potem dała znak towarzyszącej jej dziewczynie, by także usiadła. Josie posłusznie przysiadła na brzeжку krzesła, nie odrywając oszołomionego spojrzenia od twarzy swojej pani.

- Zobaczę, czy wicehrabia Stratton będzie mógł panią przyjąć - oznajmił kamerdyner z ledwo słyszalnym pesymizmem w głosie. Elizabeth odpowiedziała wyniosłym skinieniem głowy. Brak zdziwienia jej wizytą mógł oznaczać tylko tyle, że niezapowiedziane damskie wizyty o tej porze nie były w tym domu rzadkością.

Fakt, że Stratton był w domu, niepokoił ją i uspokajał jednocześnie. Przez całą drogę na zmianę modliła się, by go zastać i żeby go nie było w domu. Gdy dotarła na miejsce, zaczęła myśleć trochę logiczniej i doszła do wniosku, że taki hedonista jak Trelawney nie spędza wieczorów, siedząc samotnie przed kominkiem. Jeśli nie wyszedł, mogło to znaczyć, że miał gości, co dodatkowo pogarszało sytuację. Mogła zapytać służącego, czy pan jest sam, ale wcześniej nie przyszło jej to do głowy, a teraz było już za późno.

Siedząc na krześle, postanowiła, że nie będzie się zachwycać wspaniałością rezydencji Strattona. Nie chciała podziwiać ani smukłych marmurowych kolumn, ani wspaniałych obrazów czy cudownych kryształowych żyrandoli, które tak pięknie rozszczepiały światło płonących w nich świec.

Wychowywała się przecież w takim otoczeniu. W dniach świetności ojciec mieszkał w rezydencji równie wspaniałej jak ta. Na jej debiutancki sezon ojciec wynajął dom przy Caledon Square, którego przepychu i bogactwa zazdrościli im wszyscy zaproszeni goście. Odwiedził ich wtedy Wellington, liczni inni książęta, hrabiowie i członkowie utytułowanych rodzin. Rachunek Strattona za świece nie zrobiłby na mnie wrażenia, pomyślała, patrząc złym okiem na masywne mahoniowe meble i wielkie lustro w złożonych ramach.

Przekonała się, że miała rację, nie wierząc, że wicehrabia klepie biedę. Nie chodziło mu o pieniądze. Chciał je ukarać. Patrząc na otaczający ją luksus, Elizabeth była pewna, że są one owocem wielu lat zbójckiego procederu gospodarza. Zerknęła na bezcenne porcelanowe artefakty, pochodzące zapewne z jakiegoś zrabowanego ładunku, a potem jej wzrok zatrzymał się na delikatnej figurce z jadeitu, zanim jednak zdążyła pomyśleć, że ona również musi pochodzić z kradzieży, usłyszała kroki.

W korytarzu pojawił się kamerdyner, a za nim dwóch lokajów i służąca, wszyscy ubrani w identyczne, obszyte złotym galonem czarne uniformy i haftowane złotem kamizelki. Patrząc na służących, przyznała, że wyglądają statecznie i porządnie, i być może zbyt pochopnie określiła barwy wicehrabiego jako wulgarne. Służba przyglądała się jej dyskretnie, nie przerywając swoich zajęć.

Odkurzające o tej porze służące musiały mieć albo bardzo wymagającego pana, albo po prostu chciały zobaczyć bezwstydną kobietę, która niezaproszona odwiedza kawalera o tak późnej porze. Zerknęła na Josie i gestem kazała jej przybrać pewniejszą siebie minę.

- Wicehrabia przyjmie panią - oznajmił kamerdyner z lekkim zdziwieniem.

- Świetnie. Proszę zająć się moją pokojówką - poleciła Elizabeth, wstając, a jedyną oznaką tego, jak niepewnie się czuła, był ślad rumieńca na policzkach.

Nie zwracała uwagi ani na zaskoczoną minę kamerdynera, ani na drżącą Josie, która najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Nie boję się ani nie wstydzę powtarzała sobie w myśli, idąc za sługą po miękkim dywanie, a kiedy kamerdyner zatrzymał się i otworzył przed nią drzwi, przywołała przed oczy obraz Jane i jej nieszczęsnego synka. Moje poniżenie jest niczym w porównaniu z ich żalonym położeniem, powiedziała sobie.

Wicehrabia stał wsparty dłonią o kominek, opierając o jego ozdobną mosiężną kratę nogę w wysokim bucie. Obok kominka znajdował się fotel i nieduży stolik, na którym stał kieliszek koniaku. Obok kieliszka leżała grzbietem do góry otwarta książka, tak jakby gospodarz przed chwilą przerwał czytanie. Taki domowy obrazek zupełnie nie pasował do Rossa Trelawneya. Przez chwilę poczuła się zdezorientowana i omal nie zaczęła przeproszać, że mu przeszkodziła.

Z bólem uświadomiła sobie, że przytulny fotel przy kominku, otwarta książka i kieliszek koniaku przypominają jej ukochanego ojca i ciche wieczory, które spędzali razem w zaciszu

Thorneycroft, nim pojawiła się tam jej macocha. Dla ojca, pragnącego za wszelką cenę dochować się męskiego potomka i tym sposobem uratować tytuł i posiadłość przed kuzynem, którego nie znosił, ciche wieczory mogły trwać nadal... ale dla niej wszystko się od tamtej pory zmieniło. Och, gdyby urodziła się chłopcem... I ojcu, i jej wszystko mogłoby się ułożyć zupełnie inaczej...

- Proszę wejść. - Ross przerwał te smutne rozmyślania. Nienaganne maniere gospodarza sprawiły, że uświadomiła sobie, jakim niewybaczalnym i całkowicie sprzecznym z etykietą najściem są jej odwiedziny.

- Wiem, że nie powinnam tu była przychodzić i zdaję sobie sprawę, że takie zachowanie jest skandaliczne - powiedziała szybko, by ukryć zakłopotanie. - Ale... skoro oboje nie ryzykujemy utratą dobrej reputacji, pomyślałam, że w tej sytuacji nie będzie pan miał nic przeciwko mojej wizycie.

- Rzeczywiście nie mam. - Ross się uśmiechnął.

- Sprawa jest bardzo poważna, inaczej nie ośmieliłabym się panu przeszkadzać - oznajmiła. Niepotrzebnie się powtarzam, pomyślała i zaraz przypomniała sobie jego pełne sarkazmu słowa: „Uważam, moja droga, że za bardzo pani protestuje...”

- Oczywiście, że jest poważna - powiedział uspokajającym tonem.

Elizabeth po raz pierwszy spojrzała na niego bez złości i zobaczyła przystojnego, dobrze ubranego mężczyznę, który na pierwszy rzut oka mógł się wydawać ideałem. Każda kobieta, nieświadoma jego reputacji, wzięłaby go za dżentelmena, spędzającego cichy wieczór w domowym zaciszu, 'a widok eleganckiej damy towarzyszącej mu z robótką na kolanach byłby jak najbardziej na miejscu.

Uważała, że Stratton jest niewykształconym prostakiem, ale czy rzeczywiście tak było? Wicehrabia nie mógł wiedzieć, że go odwiedzi, więc scena, którą zastała, nie była wystudiowana i przygotowana specjalnie dla jej oczu. A zresztą nawet gdyby się jej spodziewał, dlaczego miałby sobie zadawać trud, by zdobyć uznanie w oczach opryskliwej i wyniosłej małej jędzy? Zrozumiała, że po raz pierwszy zobaczyła go takim, jaki jest naprawdę, a nie jakim go przedstawiano.

- Rozumiem, że dostała pani mój list. - Ross przerwał jej rozważania.

- Tak. I właśnie w tej sprawie tu przyszedłem.

- Dziękuję, że tak szybko pani zareagowała. Napije się pani herbaty?

Elizabeth rzuciła mu ostre spojrzenie, szukając w jego twarzy oznak sarkazmu.

- Nie. Dziękuję, nie - poprawiła się, przypominając sobie nienaganne maniery gospodarza. - Najlepiej od razu przystąpmy do interesów - powiedziała, czując, że znowu się rumieni. - To znaczy... nie mam zbyt wiele czasu.

- Rozumiem - odparł spokojnie.

Elizabeth uznała, że wicehrabia jest zdecydowanie zbyt grzeczny. Tak jakby tamten bezwzględny drań, który groził jej wykorzystaniem seksualnym i okropną przyszłością nigdy nie istniał.

- Skoro pani znalazła dość odwagi, by złożyć mi wizytę, ja muszę zdobyć się na pokorę i przeprosić za swoje zachowanie podczas naszego ostatniego spotkania - powiedział, zupełnie jakby czytał w jej myślach.

- Wolałabym, żeby pan tego nie robił - odparła natychmiast, czując, że zmiana, jaka w nim nastąpiła, coraz bardziej ją krępuje.

- Dlaczego? Czyżby uważała pani, że jeśli ją przeproszę, to pani będzie musiała zrobić to samo?

- Nie mam powodu przepraszać.

- To nieprawda. Przypuszczam, że wstydzi się pani swojego zachowania tak samo jak ja swojego.

- Opryskliwa i wyniosła mała jędza, ze zrujnowaną skandalem reputacją, nie czuje się zobowiązana do przepraszania - wycedziła lodowatym tonem, choć czuła, że rycerskość wicehrabiego, z której wcale nie była zadowolona, znów wywołała rumieniec na jej twarzy.

- W takim razie odłożmy konwenanse na później - zaproponował oschle, choć nie przestawał się przy tym uśmiechać.

- To nie jest wizyta towarzyska wymagająca konwenansów. Nasze sprawy możemy załatwić i bez nich - odparła, wytrącona z równowagi tym, że nadał chce widzieć Trelawneya w roli nieokrzesanego prostaka. - Kilka dni temu powiedziałam, że mam nadzieję nigdy więcej pana nie oglądać i to się nie zmieniło.

- Co w takim razie panią tu sprowadza? - Wicehrabia oderwał się od kominka i zrobił kilka kroków w jej stronę.

Widząc, że Elizabeth się cofa, stanął w miejscu i zmarszczył brwi.

- Jeżeli moje towarzystwo jest pani tak wstrętne, że żałuje pani, iż tu przyszła, proszę odejść. Nie będę pani zatrzymywał.

Z przyjemnością uciekłyby do domu, ale nie mogła przecież odejść bez naszyjnika, a żeby tu przyjść musiała zebrać całą swoją odwagę. Czowała się upokorzona i zła. Jak taki barbarzyńca śmie ją wyrzucać. Ją, córkę markiza! Jednak nie mogła odejść z niczym.

Ross przyglądał się zmianom zachodzącym na jej twarzy i rozumiał, ile wysiłku kosztuje ją zapanowanie nad wściekłością.

Obserwując ponętą figurę i jasne włosy, z trudem się powstrzymywał, by nie zapędzić jej do kąta, chwycić w ramiona... i uspokoić, ukołysać. Uznał jednak, że w obecnej chwili najlepiej zrobi, zachowując dystans, wyciągając jednocześnie kolejną gałązkę oliwną w jej stronę,

- Jeżeli chce pani zostać, proszę usiąść. Nie rozmawiam o interesach z kimś, kto się kryje po kątach.

- Nigdzie się nie kryję. Niczego się nie boję...

- To dobrze - powiedział miękko. - Nie kryje się pani i nie boi się mnie. W takim razie proszę usiąść.

Elizabeth okrążyła pokój i usiadła na krześle przy kominku, a on wrócił na fotel i zupełnie jakby ją naśladował, przysiadł na jego krawędzi.

- Ma pani ochotę na kieliszek wina? A może ratafii? - Nie piję.

- Aaa, tak. - Ross przypomniał sobie jej działalność dobroczynną i się uśmiechnął. - Należy pani do jakiegoś towarzystwa wstrzeźliwości? - zapytał i upił spory łyk koniaku.

- Nie, ale popieram taką postawę - odparła, obserwując jego kieliszek. - Widziałam, co alkohol potrafi zrobić z ludzi.

- Gdzie? Gdzie to pani widziała? - zapytał z zainteresowaniem, odstawiając kieliszek i marszcząc brwi.

- W Bridewell, w Newgate, w wąskich uliczkach Wapping, gdzie pomagam uczyć w niedzielnej szkółce... - Elizabeth przerwała, zadowolona, że w porę przypomniała sobie, z jakich powodów siedzi z nim sama w pokoju o tak późnej porze, lekceważąc zasady dobrego wychowania.

- Odwiedza pani więzienia i slumsy? - Ross oparł ręce na kolanach i pochylił się w jej stronę.

Elizabeth wyczuła zaskoczenie i usłyszała nutę potępienia w jego głosie.

- Przychodząc do pana, ryzykuję, że spadnie na mnie kolejna hańba i doprawdy nie robię tego po to, by porozmawiać o działalności dobroczynnej, którą wspieram. Możemy przejść do rzeczy? Chciałabym wrócić do domu, nim zauważą, że mnie nie ma.

- Edwina nie wie, że pani jest u mnie?

- Nie. - Elizabeth pokręciła głową. - Przypuszczam jednak, że nawet gdyby wiedziała, nie protestowałaby zbyt - dodała bez zastanowienia i odwróciła wzrok, nie mogąc znieść rozbawienia, jakie po tej uwadze błysnęło w jego orzechowych oczach.

Zamiast wygłosić przygotowaną wcześniej przemowę, odkryła, że ma w głowie kompletną pustkę. A jedyna kołacząca się tam myśl dotyczyła konieczności odzyskania naszyjnika.

- Chcę z powrotem mój naszyjnik - wypaliła, nie zadając sobie trudu, by żądanie ubrać w uprzejme słowa.

- To wiem.

- Dostanę go?

- Tak - odparł, a Elizabeth spojrzała na niego podejrzliwie.

- Zapewne chciałaby pani wiedzieć, czego żądam w zamian? Kiwnęła głową, a jasne loki zafalowały wokół jej smukłej, alabastrowej szyi. Spojrzała mu w oczy i już nie było wątpliwości, że oboje wiedzą, o co mu chodzi. Nadeszła pora, by powiedział wprost, ale z niezrozumiałych przyczyn nie mógł tego zrobić. Na pewno nie wynikało to z braku doświadczenia, bo w ciągu minionych lat miał wiele kochanek. Zawahał się, bo wzruszył go widok rezygnacji w jej oczach i to, jak mocniej przygryzła wargę, by powstrzymać jej drżenie. Zaraz jednak pomyślał, że, być może, naprawdę jest całkiem inaczej i ona tylko usiłuje zapanować nad sobą, żeby mu nie nawymyślać, i walczy z dumą, oczekując zniewagi, którą spodziewała się za chwilę usłyszeć. Najwidoczniej uznała, że teraz, kiedy znajduje się na własnym terytorium, jego propozycja mediacji będzie czysto grzecznościowa. Spojrzał na jej zaciśnięte dłonie i zrobiło mu się jej żal. Poczł, że chciałby ją pocieszyć i uspokoić, i od razu się zirytował. Przecież to ona do niego przyszła, narażając się na hańbę i potępienie. Chciała odzyskać naszyjnik i dobrze wiedziała, czego on chce. Sytuacja była jasna, dlaczego więc nie potrafił rozpocząć negocjacji? Do diabła, co innego spodziewała się usłyszeć? Wyjdź za mnie?

- Po zastanowieniu uznałem, że pierwsza propozycja Edwiny nie była wcale taka zła - powiedział, nie wierząc, że to jego własne słowa.

Elizabeth zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, jaka to była propozycja. Po chwili już wiedziała i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Babcia nie naruszy mojego posagu, żeby panu zapłacić. Wiele razy prosiłam ją, by dała mi z niego choć drobną kwotę, ale zawsze odmawiała. Trudno z niej coś wycisnąć - dodała, uśmiechając się słodko.

I właśnie ten uśmiech sprawił, że znikła gdzieś zimna wyniosłość, za którą zwykła się chronić jak za tarczą. Nieśmiało zerknęła na niego, jak na współnika, a on po raz pierwszy ujrzał kobietę, jaką jest naprawdę. Zrozumiał, że właśnie na to czekał i że to jest ta sama pełna życia, cudowna istota, którą podziwiał z daleka przed dziesięciu laty. Po raz pierwszy pomyślał też cieplej o Edwinie, która wplątała go w całe to zamieszanie.

- Zgadzam się na warunki postawione przez pani babkę - oznajmił. - Ona to sobie zaplanowała od samego początku - dodał.

- Jej plan polegał na tym, by wydać mnie za mąż - zwierzyła się z uśmiechem, i po niewczasie zrozumiała, że on właśnie to miał na myśli. Czekala, że zaraz usłyszy, jaką idiotką jest jej babcia, licząc, że chciałby jej skompromitowaną wnuczkę za żonę. Ale wicehrabia się nie roześmiał, tylko spojrzał jej w oczy, a jego wzrok był hipnotyzujący. W końcu udało się jej odwrócić głowę. Wstała, opierając się o krzesło, jakby nie była pewna, czy da radę ustać.

Zrozumiała, że nie chciał ich ukarać. Nie jest aż tak okrutny, jak myślała. Chciał tylko zwrotu swoich pieniędzy. Nie wiedziała, czy w tej sytuacji nienawidzi go jeszcze bardziej, czy nie. Kiedy ją ujrzał w swoich progach, uznał, że przyszła negocjować małżeństwo, bo jak to wcześniej powiedział, uważa ją za inicjatorkę podstępu, który miał doprowadzić do ich ślubu. Kto wie, być może uważa, że dając się skusić fortunie, jaką jest jej posag, robi jej przysługę. Skoro chciał ją prosić o rękę, to nic dziwnego, że teraz się nie śmieje. Była

jednak pewna, że odbije to sobie z nawiązką. Zarówno wtedy, gdy będzie opowiadał przyjaciółom, jak przyszła go błagać, by uczynił z niej szanowaną kobietę, jak też później, prowadząc jeszcze bardziej rozrzutny i rozwiązły tryb życia za jej pieniądze. Poczuli się urażona i poniżona. Jeśli Trelawney uważa ją za bezwonną kukłę, która pozwoli się sprzedać, a potem będzie wdzięczna za to, że się z nią ożenił, to jest w błędzie.

- Proszę pana o dwa tygodnie czasu - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Obiecuję przekonać Edwinę, żeby zachowywała się rozsądnie. Wiem, że i tak okazał pan już wiele cierpliwości, ale jeszcze raz błagam, by wstrzymał się pan z jakimkolwiek działaniem. Przyrzekam, że babcia wkrótce ustąpi.

Ross wpatrywał się w czubki swoich butów, a potem wstał z fotela i podszedł do kominka. Był wściekły, a jednocześnie czuł się słaby i pokonany.

Oto, co osiągnął, postępując jak sentymentalny, honorowy głupiec. Nieśmiało próbował zrobić pierwszy krok, ale Elizabeth nie chciała nawet przyjąć do wiadomości jego... żalostnej fantazji, czym zapewne nadal wydawał się jej związek pirata z Kornwalii i córki markiza. Przez całe swoje dorosłe życie starannie unikał pułapki małżeństwa. A kiedy wreszcie chciał się oświadczyć, nie zdążył nawet sformułować do końca swojej propozycji, gdy dano mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jest ona mile widziana.

- Daję pani dwa tygodnie i ani dnia więcej. - Ross zacisnął dłonie na marmurze kominka. - Jeśli do tej pory nie zapadną wiążące decyzje, pozbędę się biżuterii. Mój powóz odwiezie panią do domu.

Po tych słowach skierował się do drzwi. Elizabeth zrozumiała, że nie miał zamiaru oddać jej dzisiaj naszyjnika. Patrząc na twarz wicehrabiego, czuła, że pod maską chłodnej uprzejmości kryje się irytacja i gniew. Najwidoczniej liczył, że wcześniej uda mu się zagarnąć jej pieniądze. Nie miała jednak czasu rozważyć odczuć Strattona, bo właśnie otwierał drzwi. Podbiegła do niego i przestraszona, że mógłby po prostu wyjść, położyła mu rękę na ramieniu.

- Pan mnie nie zrozumiał. Chciałam... to znaczy... miałam nadzieję, że odda mi pan naszyjnik dziś wieczorem.

- Zrobię to, kiedy ustalimy warunki zapłaty - odparł, patrząc na przytrzymującą jego ramię wysmukłą dłoń.

- A nie dziś? Muszę go mieć dziś...

- Dlaczego dziś? - Przyglądał się jej z zaciekawieniem, Elizabeth wyczuła w jego spojrzeniu coś, co nakazywało jej trzymać się na baczności. Ku własnemu zdziwieniu poczuła się dużo pewniej. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w jego szorstką brodę. Być może nie miał jej ochoty widzieć w swoim domu... ale nadal jej pragnął. Delikatnie cofnęła dłoń z jego ramienia, jakby miała nadzieję, że mógł nie zauważyć, że w ogóle tam się znalazła.

- Przyszłam tu dzisiaj z nadzieją, że dostanę z powrotem swój naszyjnik. Proszę, niech pan mi nie każe odchodzić z pustymi rękami. Przyrzekam, że jeśli okaże pan jeszcze trochę cierpliwości, przekonam Edwinę, by zwróciła panu pieniądze.

- To za mało. Nie oddam pani naszyjnika, dopóki nie będę miał w ręku umowy. Ten klejnot jest moim jedynym zabezpieczeniem i nie może pani oczekiwać, że go oddam - tłumaczył Ross. - Pani słowo to nie to samo co umowa. Nie będzie się liczyło w banku.

- Miał pan dość czasu, by sprawdzić, czy na moim słowie można polegać. Dziwię się, że ktoś, kto żyje, chwytając okazję, tego nie zrobił - stwierdziła beczelnie, nie będąc w stanie zapanować nad nerwami.

- Byłem zbyt zajęty chwytaniem innych okazji - odparł ironicznie.

Napięcie między nimi stało się prawie namacalne, a mimo to Elizabeth nie mogła się ruszyć z miejsca. Kiedy wreszcie udało się jej cofnąć, wyczuła że Trelawney za chwilę ją obejmie. I rzeczywiście tak się stało. Znalazła się uwięziona między nim a drzwiami.

Serce podeszło jej do gardła. Uniosła wzrok i napotkała wpatrzone w siebie pociemniałe oczy. Chciała, żeby coś powiedział i przerwał ciszę, ale kiedy się odezwał, pożałowała.

- Proszę mi powiedzieć, po co przyszła tu pani dziś wieczorem.

- Już mówiłam, po naszyjnik.

- I naprawdę uważała pani, że taki pozbawiony serca łajdak jak ja po prostu go pani odda? Wątpię. Co chciała mi pani zaproponować w zamian za ten klejnot?

- Szczerą obietnicę, że wyrwę z Edwiny pieniądze na spłatę długu - szepnęła, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w jego spinkę do krawata.

- Mogła to pani napisać w liście. Zresztą, dla takiego zatwardziałego rozpustnika byłaby to za mała zachęta. Obawiam się, że nadal pani nie wierzę. - Trelawney ujął jej brodę śniadą dłonią. - Powiem pani, co ja o tym myślę - szepnął i pieszczotliwie musnął palcami jej policzek. - Otóż, moja droga, uważam, że przyszła tu pani osobiście w konkretnym celu. A mianowicie chciała mnie pani skusić, bym pozwolił sobie wobec niej na poufałość. Pozwoliłaby mi pani na to, prawda? A potem sprawiłaby pani, bym uwierzył, że kolejnej nocy dostanę to, czego pragnę, jeśli tylko dziś wieczorem dam pani to, czego pani chce. Wydaje się pani zdecydowana, by jeszcze dziś wrócić z naszyjnikiem do domu, a to daje mi pewną przewagę w negocjacjach. Proszę mi obiecać coś innego, co mnie przekona, a wtedy zaczniemy jeszcze raz od początku. Kto wie, może uda nam się osiągnąć porozumienie...

Elizabeth próbowała się cofnąć, ale za plecami miała drzwi. Jej warz płonęła nie tylko od dotyku jego palców, ale i od tego, że ubrał w słowa coś, o czym ona nie pozwalała sobie nawet pomyśleć. Od pierwszej chwili, gdy postanowiła go odwiedzić, kiedy zaczęła się ubierać, upinać włosy i gdy skrapiała się ulubionymi perfumami, robiła to dla niego.

- Jest pan podły - wyszeptała drżącym głosem.

- Nie jest to dla pani zaskoczeniem, prawda?

Ross obserwował emocje malujące się na ściągniętej władczej twarzy. Widział, że Elizabeth z jednej strony miała ochotę tupnąć nogą i zażądać zwrotu naszyjnika, ale z drugiej rozważała, czy nie poddać się jego woli i nie dać mu przedsmaku tego, czego pragnął. Kusilo ją, by spróbować niewinnego flirtu, ale nie była pewna, czy to podziała. Uśmiechnął się cierpko, bo dobrze wiedział jaki byłby rezultat. Chętnie przystałby na taki plan, bo w tej dziedzinie był mistrzem. Wiedział, że jeśli zechce, jednym pocałunkiem

może ją zabrać do rajów... lub stracić w otchłań piekieł. Mógłby sprawić, by płonęła z namiętności... Może... Zajął w fiołkowe oczy, ciskające błyskawice. Dziś wieczorem pocałuje ją tylko raz, dla własnego dobrego samopoczucia, a potem odwiezie swoją przyszłą żonę do domu. To były jego warunki i o innych nie mogło być mowy.

- Jeden pocałunek - szepnęła. - Jeden pocałunek, a potem odda mi pan naszyjnik

- Jeden pocałunek? - powtórzył z pogardą. - Mówiłem, że chcę czegoś wiarygodnego...

- Jeden pocałunek. - Z jej gardła wydobył się szloch. - Zgoda, skoro pani nalega. - Przyciągnął ją do siebie, a w jego oczach mignął zwycięski błysk.

Elizabeth zacisnęła powieki. Czowała przy sobie ciepłe męskie ciało, ale ponieważ nic się nie działo, otworzyła oczy.

- Proszę mnie objąć - powiedział.

Po chwili wahania oparła dłonie na jego biodrach. - Nie tak. Proszę mnie objąć za szyję - polecił jak oficer musztrujący żołnierza.

Oparła mu dłonie na ramionach i mocno zacisnęła usta.

- Powiedziałem, za szyję.

- Nie sięgam, jest pan za wysoki - rzuciła ostro.

- Do tej pory jakoś nie było skarg.

- A więc moja jest pierwsza... - stwierdziła lodowatym tonem.

- Może gdybyśmy usiedli.

- Nie! - wykrzyknęła przerażona, bojąc się, że mógłby ją pociągnąć na kanapę. Tym bardziej że ta, która stała pod ścianą, była wystarczająco duża, by kogoś na niej położyć. Nie chcąc ryzykować, szybko objęła go za szyję, a splatając drżące dłonie na jego karku, poczuła miękkie muśnięcie długich, ciemnych włosów.

- Widzisz, jakie to może być proste - szepnął. - Teraz, kiedy już umiesz poskromić swoją złość i potrafisz wysłuchać dobrej rady, będzie z ciebie doskonała, posłuszna żona. Po tym szokującym oświadczeniu Elizabeth aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Tylko żartowałem... Wezmę cię taką, jaka jesteś - szepnął i zamknął jej usta pocałunkiem.

To nie w porządku, powtarzała w myśli Elizabeth, czując, jak uginają się pod nią kolana. Nigdy dotąd nikt tak jej nie całował. Przez dwa miesiące durzyła się w Randolphie Haveringu, ale on nie całował jej tak czule i delikatnie, a jednocześnie z takim zapamiętaniem, że wprost topniała z rozkoszy. Nigdy dotąd pieszczota męskich palców, dotykających każdego odsłoniętego skrawka jej skóry i delikatny, choć zdecydowany napór ust i języka na jej wargi nie sprawiały jej takiej zmysłowej przyjemności. W ciągu krótkiego czasu jej debiutu, żaden z dżentelmenów nie posunął się tak daleko, by pograżyć ją całą w słodkiej niemocy. Wydawało się jej, że umrze, jeśli on przestanie ją całować. Zaczynała tracić zmysły i dlatego odsunęła się od niego, przerywając pocałunek.

To tylko uwodzicielskie sztuczki. Chytre uwodzicielskie sztuczki, powtarzała sobie w myśli, próbując otrząsnąć się z uroku, jaki rzucił na nią swoim pocałunkiem. Przez chwilę wierzyła, że pozwoli jej odejść. Ale jego długie palce wyślizgnęły się z jej włosów i objęły ramiona. Zbliżył usta do jej ust i delikatnie zaczął

pieścić językiem jej dolną wargę, a kiedy je rozchyliła, pogłębił pocałunek. Nie spodobało się jej to i zaczęła się opierać, ale nie pozwolił jej się wycofać. Tym razem nie było mowy o delikatnym uwodzeniu. W tym pocałunku było gwałtowne i brutalne pożądanie. Im silniej się opierała, próbując odwrócić głowę, tym mocniej atakował. W końcu przestała się bronić i stanęła sztywna jak kij. Po chwili Trelawney uniósł głowę.

Położyła mu ręce na piersiach i próbowała od siebie odepchnąć, ale on nawet nie drgnął. Usta zaczęły jej drgać, więc przycisnęła do nich dłoń i popatrzyła na niego z niechęcią.

- Powiedziałam: tylko jeden pocałunek.

- Był jeden; jeden dla ciebie i jeden dla mnie - odparł drwiąco.

Zrozumiała, że żaden z tych pocałunków nie zrobił na nim wrażenia i nie sprawił mu większej satysfakcji. Było to coś w rodzaju demonstracji specjalnie dla niej: będziesz uległa, ja też będę, ale pokaż pazurki, a nie pozostanę dłużny.

- W tej chwili proszę przynieść mój naszyjnik - poleciła. On jednak zignorował jej słowa. Sięgnął do klamki ponad ramieniem Elizabeth i otworzył drzwi.

- Wygląda na to, że ja lepiej wyszedłem na tej poufałości - stwierdził.

- Mój naszyjnik! - krzyknęła Elizabeth i oparła się plecami o drzwi. Wątpliwe morale wicehrabiego i jego obelżywy i bezczelny sposób zachowania doprowadziły ją do furii. - Natychmiast przynieś mój naszyjnik! Ty zakłamany... oszukańczy... draniu! Powiedziałeś, że mi go oddasz! Przysięgam, że bez niego stąd nie wyjdę!

Elizabeth krzyczała i cała się trzęsła, a w jej pociemniałych oczach pojawiły się łzy wściekłości.

Ross oparł się spokojnie o drzwi, a drugą ręką próbował ją pogłaskać po policzku. Szarpnęła głową, by uniknąć jego dotyku, ale cierpliwie ponawiał próby, aż wreszcie poddała się pieszczocie.

- Nigdy dotąd nie byłem zakładnikiem we własnym domu, ale zawsze chciałem zostać uwięziony przez piękną i wojowniczą kobietę. No proszę... i okazało się, że przynajmniej jedna z moich żalonych fantazji jest również twoją fantazją.

- Zdajesz sobie sprawę, że postawię warunki - zadrwiła, próbując się roześmiać. - Nie przypuszczałam, że zniżysz się do ślubu ze zniszczoną skandalem kobietą, tylko po to, by zagarnąć jej posag. Zaskoczyłeś mnie. A przez jedną, krótką chwilę, kiedy zobaczyłam, jak dostatnio żyjesz, uznałam cię za dżentelmena o pewnej pozycji. Ale to wszystko jest tylko na pokaz, prawda? - Elizabeth parsknęła z pogardą. - Wątpię, czy choć jedna świeca w tym domu należy do ciebie. A teraz chcesz dostać moje pieniądze, żeby je też roztrwonić!

- Wyjdiesz za mnie za mąż? - zapytał spokojnie.

Spojrzenie fiołkowych oczu umknęło w bok i Ross zrozumiał, że Elizabeth stara się znaleźć sposób, by go przechytrzyć. Czuł, że rozważała, czy nie obiecać mu w tej chwili wszystkiego, czego chciał, a jutro się z tych przyrzeczeń wycofać. Nie była pewna, czy okaże się na tyle naiwny i łatwowierny, by oddać jej naszyjnik.

- Z przyjemnością przyjmuję twoją propozycję - odparła w końcu głosem pełnym goryczy.

Sądząc z urazy, z jaką to powiedziała, można było wywnioskować, że potraktowała decyzję poważnie i nie planowała, że jutro ze wszystkiego się wykręci.

- Jestem zaszczycony - odparł łagodnie. - A jutro złożę wizytę Edwinie i przy okazji omówię z nią sprawy finansowe. Teraz jednak najwyższa pora, bym cię odwiózł do domu.

- Nigdy nie ośmieliłabym się ciebie angażować. Wrócę tak samo, jak przyjechałam: wynajętym powozem w towarzystwie mojej pokojówki. Teraz proszę przynieść mój naszyjnik.

- Nie.

- Nie? Nie?! - Rzuciła się na niego z pięściami, ale najwidoczniej musiał się tego spodziewać, bo błyskawicznie chwycił ją za przeguby. - Jeśli myślisz, że pozwolę się traktować w ten sposób... - podniosła głos, próbując wyrwać się z jego uścisku.

- To znaczy jak? Uważam, że i tak traktuję cię lepiej, niż na to zasługujesz. Naprawdę uważasz, że pozwolę, by moja narzeczona jeździła po nocy wynajętym powozem, mając przy sobie tak cenny klejnot i jedynie pokojówkę za całą ochronę? Przywiozę ci naszyjnik jutro, kiedy przyjadę spotkać się z Edwiną. Zaufaj mi, że tak będzie lepiej. A teraz chodź, odwiozę cię do domu.

Najchętniej odrzuciłaby tę uprzejmą propozycję, ale zdołała się powstrzymać, a kiedy się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała ironia.

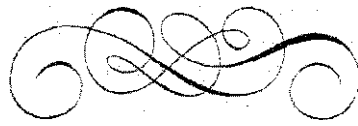
- Jeśli jesteś tak dobry i chcesz nas odwieźć do domu, to chyba mogę wziąć z sobą naszyjnik. Jestem pewna, że zdołasz obronić i mnie, i klejnot.

- Dochodzi jedenasta wieczorem. Do czego jest ci potrzebny naszyjnik o tej porze? Wybierasz się na jakiś bal i chcesz go założyć? Chcesz go zastawić? A może masz zamiar grać i brakuje ci gotówki?

Elizabeth zarumieniła się i próbowała wyszarpnąć ręce z uścisku Rossa. Uwolnił jej dłonie.

Kiedy tylko odzyskała wolność, wybiegła na korytarz. Miękki dywan tłumiał kroki, ale była pewna, że Ross idzie tuż za nią. Kierując się w stronę jasno oświetlonego westybulu, myślała tylko o tym, że przegrała. Bo przecież przyszła tu, by odebrać naszyjnik, w zamian zostawiając puste obietnice. A on zupełnie odwrócił sytuację!

W rezultacie nie tylko nadal miał jej klejnoty, ale teraz, kiedy zgodziła się za niego wyjść, dostanie jeszcze jej posag! W dodatku nabrał podejrzeń, dlaczego tak bardzo zależy jej na odzyskaniu naszyjnika. Poczuli, że zawiodła nie tylko siebie, ale, co gorsza, także Jane i jej synka. W tej chwili miała jedynie słowo tego drania, że jutro dostanie z powrotem klejnot. Okazała się kompletną idiotką!



Rozdział ósmy

- Odprowadzę cię do drzwi.

- Nie ma takiej potrzeby! - rzuciła Elizabeth z pogardą i, wrywając dłoń z ręki Rossa, wbiegła po schodach domu pod numerem siódmym przy Connaught Street.

Ross nakazał wzrokiem, by powóz zaczekał i, stojąc u stóp schodów, zawołał ją po imieniu cicho, ale tonem nieznoszącym sprzeciwu.

W jego głosie było coś, czego nie umiała nazwać, zawahała się i odwracając się wyniośle w jego kierunku, obdarzyła go spojrzeniem. Przez całą drogę do domu udało się jej ani razu na niego nie popatrzeć, nie podziękowała mu też za to, że ją odwiózł. Takie niegrzeczne zachowanie było sprzeczne z jej naturą, ale w jego obecności działo się z nią coś, nad czym nie umiała zapanować. Irytowało ją to okropnie i jeszcze bardziej złościła się na siebie, że nie umie zignorować jego wołania.

- Podejź do mnie - polecił.

- Jestem zmęczona.

- Podejź - powtórzył.

Zaciskając usta, zbiegła po schodach, ale w słabym świetle latarni nie mogła dostrzec jego twarzy.

- Oczekuję, że moja narzeczona będzie się ze mną żegnać nieco czulej. Myślę, że możemy spróbować jeszcze raz od początku.

- Prędeż piekło zamarnie, niż ja zacznę pobierać lekcje dobrych manier u takiego parweniusza jak ty - odparła, patrząc na niego wrogo.

- Niedobra dziewczyna! Kokietka! - Rozległo się nagle za jej plecami i, gdyby Ross jej nie przytrzymał, przestraszona spadłaby ze schodów. - Gdzie byłaś i co, u licha, robiłaś? Dwa razy wysyłałam Pettifera, żeby sprawdził, czy przypadkiem nie uciekłaś do pastora! - zawołała wściekła Edwina, której pulchna sylwetka pojawiła się na tle jasnego prostokąta otwartych drzwi. - Gdzie byłaś? - powtórzyła, podchodząc do Elizabeth. - Tylko nie kłam. Poznam, czy kłamiesz. Powiedz, byłaś w slumsach, żeby spotkać się z tą swoją nieszczęsną przyjaciółką?

Krótkowzroczna Edwina dopiero w tej chwili dostrzegła, że obok wnuczki stoi wysoki, postawny mężczyzna i że wydaje się trzymać ją w objęciach. Przycisnęła pulchną dłoń do piersi i szukając dłonią balustrady, cicho powiedziała:

- Mój Boże! Teraz już naprawdę jest zhańbiona....

- Lady Elizabeth była w moim towarzystwie - oznajmił Stratton.

- Stratton? To ty? - burknęła zaskoczona, błyskawicznie odzyskując panowanie nad sobą. - Co tu robicie? Uwiodłeś mi wnuczkę? Zresztą nieważne. Wejźmy do środka, bo wścibscy sąsiedzi i tak już będą o nas plotkować.

Elizabeth, zrozpaczona całkowitym niepowodzeniem wieczornej akcji, nie miała już siły się opierać, więc kiedy Ross delikatnie odsunął ją od siebie, a potem ujął pod ramię i wprowadził po schodach do domu, nie protestowała.

- Dzięki Bogu, że była z tobą, Stratton! Przez chwilę bałam się, że całkiem straciła rozum i pojechała nocą do slumsów!

Elizabeth rzuciła babce wściekłe spojrzenie. Wolała, by uznano ją za starą pannę, która nocami zajmuje się dobroczynnością, niż widziano ją w ramionach kogoś takiego jak Stratton. Babka jednak wydawała się tego zupełnie nieświadoma.

- Kiedy odkryłam, że zamiast spać, wymknęłaś się z domu, okropnie się zdenerwowałam - wyznała, dużo już spokojniejsza Edwina.

Elizabeth odesłała pokojówkę, która błyskawicznie znikła z salonu, gdy tymczasem Pettifer spokojnie zapalał świece i podsyczał ledwo tłący się w kominku ogień, zupełnie jakby takie dramatyczne wydarzenia były w tym domu na porządku dziennym.

- Wpadłam na pomysł, jak pomóc tej twojej nieszczęsnej przyjaciółce, i chciałam ci o tym powiedzieć, ale wydaje mi się że pomyślałaś o tym samym, co ja. Tyle że godzinę temu, kiedy do ciebie zajrzałam jeszcze o tym nie wiedziałam, i dlatego odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia... Dwa razy musieli mi podawać sole trzeźwiące. Mimo wszystko uważam, że rozsądniej byłoby poczekać do rana i dopiero wtedy zasięgnąć rady wicehrabiego.

- Babciu, proszę, zamilcz. - Elizabeth przerwała gadaninę Edwiny.

- Ależ proszę nie przerywać - zaprotestował Ross, patrząc pochmurnie na zakłopotaną minę narzeczonej.

- Z przyjemnością pomogę, ale najpierw muszę się dowiedzieć, na czym polega problem.

- Uwierzysz, że byłam na tyle głupia, by pomyśleć, że Lizzie pojechała do slumsów, do odrażającego sutenera i zabrała z sobą coś cennego, żeby wykupić z jego rąk swoją nieszczęsną przyjaciółkę. Zamierzałam nawet przejrzeć srebra i sprawdzić, czy nie brakuje jakichś świeczników.

- Z tego, co usłyszałam, wnioskuję, że twoja wnuczka ma w slumsach przyjaciółkę, która znalazła się w trudnym położeniu, i że za wszelką cenę pragnie jej pomóc.

Ross zdawał się rozmawiać z Edwiną, ale Elizabeth nie miała wątpliwości, że każde wypowiedziane przez niego słowo było skierowane do niej.

- Dokładnie tak! Czyżby ci o niczym nie powiedziała?

- Naprawdę nie wspomniałam o tym? - Elizabeth popatrzyła na Rossa z roztargnieniem. - Przepraszam, zaraz to naprawię. Otóż powód, dla którego ośmieliłam się zakłócić panu spokój i odwiedzić go dziś wieczorem w jego domu, był zgoła inny, niż to, co przyjął pan w swojej arogancji za pewnik. Mam nadzieję, że nie uraziło to zbytnio pana dobrego mniemania o sobie. Dobranoc. - Dygnęła i skierowała się do drzwi.

- Trzeba czegoś więcej niż infantylny podstęp, który, nawiasem mówiąc, się nie powiódł, żeby narazić na szwank moje przekonanie o własnej wartości. Uważam też, że zanim uda się pani na spoczynek, powinniśmy przekazać pani babci dobrą nowinę.

Elizabeth odwróciła się gwałtownie, próbując go powstrzymać wściekłym wzrokiem, ale Ross nie zwracał na nią uwagi.

- Kochanie, powinnaś mi była o wszystkim powiedzieć. Gdybym wiedział, może okazałbym więcej współczucia.

- Pan pozwoli, że teraz ja wyrażę swoją wątpliwość - szepnęła i głośniejszym głosem dodała: - Nie ma żadnej nowiny do przekazywania babci. Dzisiejszego wieczoru wszystko wydawało się czym innym, niż było w rzeczywistości, ale największą pomyłką było niewłaściwie odczytanie powodów, dla których pana odwiedziłam. Proszę o wybaczenie, że zajęłam panu większą część wieczoru.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Tym bardziej że teraz, kiedy jesteśmy zaręczeni i mamy się pobrać, okazałbym się gburem, odmawiając udzielenia narzeczonej pomocy czy spędzenia z nią godziny lub dwóch.

Ross mówił cicho, ale sądząc z uśmiechu, który pojawił się na twarzy Edwiny, musiała usłyszeć o zaręczynach.

- Macie się pobrać? Zgodziłaś się za niego wyjść, Elizabeth? - dopytywała się podniecona. Odruchowo zerknęła na Pettifera, który dyskretnym uśmiechem skwitował jej radosne okrzyki i dalej spokojnie rozpałał w kominku.

Elizabeth wyczuła, że było to wyzwanie ze strony Rossa. Mogła potwierdzić jego słowa albo zaprzeczyć, narażając się na jego gniew i zemstę. Mogła powiedzieć, że nigdy nie zgodziła się go poślubić, ale nie umiała kłamać prosto w oczy. Chciała, by sam z dobrej woli zwolnił ją z danej obietnicy, zwracając jej jednocześnie klejnoty. Wiedziała, że chce za dużo.

- Nie - szepnął, odpowiadając na jej niemą prośbę. Nie patrzył jej przy tym w oczy, wiedząc, jaką siłę przekonywania może mieć jej spojrzenie.

- Odpowiedz mi, zgodziłaś się za niego wyjść? - powtórzyła pytanie Edwina.

- Tak - odparła po dłuższej chwili Elizabeth.

- To wspaniale! Od dawna nie słyszałam lepszej wiadomości! - Edwina chwyciła wnuczkę w objęcia, nie zwracając uwagi na jej ponurą minę.

Elizabeth odwzajemniła uścisk, choć z jej ogromnych oczu wзираło znużenie. Znalazła jednak dość siły, by spiorunować wzrokiem mężczyznę, który przyglądał się tej pełnej emocji scenie ze smutkiem i z rozbawieniem jednocześnie.

Edwina kazała Pettiferowi przynieść szampana, a tymczasem Ross podszedł do Elizabeth i delikatnie ucałował jej dłonie. Była zbyt zmęczona, by z nim walczyć, a kiedy spojrzała mu w twarz dostrzegła aprobatę.

- Na pewno chcesz się już położyć. Nie będę cię dłużej zatrzymywał - powiedział.

Milczała, patrząc na swoje dłonie w jego dużych rękach, i z niepokojem pomyślała, że może jednak powinna była skłamać. Wicehrabia wydawał się zbyt zadowolony. Na pewno gratulował sobie, że udało mu się zdobyć jej fortunę i ją samą na dodatek. Być może już sobie zaplanował, że zostawi ją w posiadłości w Kent, a sam wróci do Londynu, by beztrąsko wydawać jej pieniądze. Dostał to, czego chciał i wygrał, uznała zdruzgotana, czując napływające do oczu łzy.

Nagle, zupełnie jakby czytał w jej myślach, Ross przyciągnął do siebie Elizabeth. Była teraz tak blisko niego, że czuła na włosach jego oddech.

- Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze - szepnął i puścił jej dłonie.

- Uczymy to innym razem. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Sampson. Wszyscy jesteśmy zmęczeni i na pewno marzy pani o tym, żeby się położyć. - Podeszedł do drzwi i uklonił się obu damom. - Jeśli wolno, wrócę jutro, by omówić szczegóły związane ze ślubem i innymi sprawami. Chętnie wysłucham też szczegółów historii pani nieszczęsnej przyjaciółki. Och, przy okazji, jestem pewien, że Elizabeth chętnie pozna moich krewnych. Moja matka, najstarszy brat i kilkoro przyjaciół przyjeżdżają jutro do Londynu. Będę zaszczycony jeśli obie panie zechcą zjeść z nami kolację. Korzystając z okazji, chciałbym wtedy ogłosić nasze zaręczyny, oczywiście jeśli panie się na to *zgoda*. A następnego dnia odpowiednie ogłoszenie ukaze się w „Timesie”.

- Wspaniale! - ucieszyła się Edwina.

- Elizabeth? - zapytał cicho Ross.

- Oczywiście, przyjdę. I z przyjemnością zapoznam się z pana rodowodem - odparła, czując gorzko-słodki smak porażki.

Następnego dnia przy śniadaniu Edwina karciała wnuczkę.

- Nie wierzę, że mogłaś być tak niegrzeczna!

Elizabeth zarumieniła się, w pełni świadoma swojego skandalicznego zachowania. Ostatnio coraz częściej musiała się za siebie wstydić, a przyczyną jej zażenowania był nieodmiennie Stratton. Miała go już po dziurki w nosie.

- Wicehrabia i ja mamy dużą wprawę w obrzucaniu się wyzwiskami - odparła spokojnie. - Nie będziemy dobrą parą, babciu. Nie powinnaś była tego zaczynać. Cała nadzieja w tym, że Stratton oprzytomnieje i zwolni mnie z danego słowa.

- Wątpię, żeby to zrobił. Bez względu na to, jak nieprzyjemnie będziesz się zachowywać.

- Pewnie, że nie! Mam za duży posag - skwitowała zjadliwie uwagę babki Elizabeth. - Dopóki mu płacisz za to, żeby się ze mną ożenił, mogę sobie pozwolić na dowolną liczbę zniewag.

- Coś mi mówi, że Stratton ożeniłby się z tobą, nawet gdybym mu nie płaciła.

- Chyba wypitaś za dużo madery, kochana babciu. - Elizabeth zachichotała, choć musiała przyznać, że uwaga babci poprawiła jej humor.

Kochała swoją babcię i była jej wdzięczna, że przygarnęła ją pod swój dach, dlatego nie umiała się na nią długo gniewać.

Gdyby tylko nie wbiła sobie do głowy, że musi ją wydać za mąż! Pomysł był idiotyczny i doprowadzał Elizabeth do szału! Zupełnie bezpodstawnie uznała, że to wina Strattona.

- Zabieram Evangeline i jedziemy razem z Sophie obejrzeć materiały na suknie.

- Chyba nie wychodzisz? Pamiętasz, że po południu przychodzi Ross? Przysłał bilecik, że odwiedzi nas o trzeciej i koniecznie musisz być w domu.

- Nie muszę! I prawdę mówiąc, wolę nie być przy tym, kiedy mnie będziesz sprzedawać.

- Ross oczekuje, że będziesz obecna!

- W takim razie równie dobrze może mnie nie być. Ross musi się przyzwyczaić, że nie mam zamiaru spełniać jego bezczelnych oczekiwań - powiedziała, przypominając sobie poprzedni wieczór i Rossa, którzy żądał od niej przeprosin, odpowiadania na jego pytania i w dodatku miłego pożegnania. Wkrótce nauczy się, że córki markiza nie można traktować w tak arogancki sposób.

- Wicehrabia Stratton poprosił cię o rękę? - Sophie wpatrywała się w Elizabeth szeroko otwartymi oczami.

Zaskoczenie przyjaciółki zirytowało Elizabeth, ale potwierdziła skinieniem głowy.

- Ale, czy to nie on jest tym... brutalem i okrutnikiem?

- Tak, to on - przyznała spokojnie Elizabeth. - Opowieści o zjedaniu wątroby wrogów są nieco przesadzone. Stratton był u mojej babci na obiedzie i podobno umie zachować się przy stole.

- Nie rozumiem, jak możesz sobie z tego żartować. Czy to prawda, że jest taki przystojny? Słyszałam, jak mama i pani Talbot mówiły, że jest pociągający i że wygląda na korsarza...

- Albo na cygana. Uważam, że można go nazwać przystojnym, jeśli komuś podoba się taka ziemista cera - dodała. Ocena była tak niesprawiedliwa, że zawstydzona Elizabeth zaczęła się wiercić na wyściełanej ławce powozu. Dobrze wiedziała, że Ross nie ma ziemistej cery, tylko jest ogorzały od słońca i przystojny... bardzo przystojny. Do tego nienagannie ubrany. Nie dalej jak wczoraj uznała go za mężczyznę idealnego.

Przypominała sobie wczorajsze sekretne odwiedziny u Rossa i oba pocałunki. Poczula, że rumieńce wypełzają jej na twarz i zapatrzyła się w okno. Po chwili zacisnęła jednak z uporem usta i zdecydowała, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zerwie te głupie zaręczyny. Wczoraj wieczorem była zmęczona, stąd ta bierność. Ale teraz, kiedy wypoczęła, odzyskała dumę i pewność siebie. Stratton mógł wygrać bitwę, ale nie wygrał jeszcze wojny.

- Przyjęłaś oświadczenia? - powtórzyła pytanie Sophie, spoglądając na zadumaną twarz przyjaciółki.

- Tak, ale mogę to odwołać. Babcia wdała się w jakieś finansowe machinacje ze Strattonem i mój posag ma być formą spłaty długu. Zaręczyny nie są jeszcze oficjalne, a ja mam nadzieję, że oboje rozumieją, jakim idiotyzmem jest próba wmanipulowania mnie w to małżeństwo.

- Rozumiem - powiedziała Sophie, choć było widać, że absolutnie nic nie rozumie, a ostatnie pogłoski o finansach pani Sampson, jakie do niej dotarły, dotyczyły jakiegoś jej zakładu z panią Alice Penney. - A Hugh? Powiedziałaś mu? Jestem pewna, że on też ma względem ciebie pewne nadzieje.

- Jeszcze się z nim nie widziałam - odparła zgodnie z prawdą Elizabeth. W jej uczucia do pastora wkraśl się ostatnio za- męt. Dziś rano napisała do niego krótki liścik, w którym przeprosiła za dwukrotną wizytę Pettifera ostatniej nocy, zrzucając wszystko na ekscentryczność babki i niczego dokładnie nie tłumacząc. Zdawała sobie sprawę, że było to niesprawiedliwe i wiedziała, że przy najbliższym spotkaniu będzie go musiała ułagodzić i wszystko wyjaśnić. Jednym z powodów, dla których tak chętnie wyszła z domu, była wizyta pastora, której była tak pewna, że mogłaby się o to założyć, oczywiście gdyby lubiła się zakładać.

Znając swoje szczęście, przewidywała, że wizyty pastora i Strattona zbiegną się w czasie i nawet nie chciała myśleć, jak to będzie wyglądało. Zaslugiwała na chwilę beztrudnej rozrywki, nim znowu dopadną ją kłopoty. Postanowiła więc miło spędzić czas na zakupach z przyjaciółką.

Wchodząc do magazynu Harding, Howell & Co's w Pall Mall, czuły się, jakby wkroczyły do sezamu Alladyna. Wzdłuż obu ścian, na sięgających sufitu półkach, piętrzyły się stosy tkanin wszelkich możliwych kolorów, splotów i grubości. A spod sufitu, z mahoniowych drążków zwisały jedwabie, atłasy, koronki i adamaszki, oszłamiając bogactwem wspaniałych barw.

Przyjaciółki spacerowały powoli wzdłuż półek, co chwila zatrzymując się, by dokładniej obejrzeć i wziąć w palce któryś z materiałów.

- Myślałam, że znajdę tu brzoskwiniową satynę, ale na razie nie widziałam nic, co by mnie zachwycało - stwierdziła Sophie.

Elizabeth wypatrzyła brzoskwiniowy woal i pociągnęła przyjaciółkę w jego kierunku. Przezroczysta tkanina była przetykana cieniutkimi złotymi i srebrnymi nićmi, co było wyraźnie widać na odwiniętym, gotowym do odcięcia kawałku.

- Wspaniały woal - zachwycała się Sophie. - Może trochę zbyt przezroczysty, ale to ma być suknia na wielki bal. - Westchnęła i zaczęła opowiadać o zaplanowanych uroczystościach związanych z obchodami dwudziestopięciolecia małżeństwa jej rodziców. - Chciałabym sobie sprawić coś śmielszego i bardziej przyciągającego wzrok.

- Tak samo jak ja. I muszę przyznać, że właśnie zauważyłem coś takiego - wyszeptał męski głos tuż za plecami Elizabeth. Oddech mężczyzny poruszył jej włosy i sprawił, że poczuła na szyi dreszcz. - Jak się masz, moja droga? Dostałaś mój liścik?

Poczuła męską dłoń na swoich pośladkach i szybko się odsunęła na bok, by uniknąć wstrętnego dotyku, a potem odwróciła się i pełnym odrazy spojrzeniem zmierzyła hrabiego Cadmore'a.

- Nadal piękna i dumna. To dobrze. - Uśmiechnął się, widząc jej pełną odrazy minę, i obojętnie zerknął na Sophie, która dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności. - Odeślij swoją przyjaciółkę razem z tą starszą damą, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać - powiedział cicho i oparł się o ladę, przekonany, że Elizabeth będzie mu posłuszna. I rzeczywiście spełniła jego polecenie, nie chcąc, by Evangeline i Sophie musiały być świadkami tej kompromitującej rozmowy. Szybko zamieniła z przyjaciółką kilka słów i niczego nieświadoma Evangeline została odprowadzona na bok.

Cadmore czekał, aż kobiety odejdą. Zniewieściałymi, cienkimi palcami otworzył tabakierkę z laki i zażył odrobinę, nie spuszczać wyblakłych błękitnych oczu z pełnych piersi Elizabeth, rysujących się pod peleryną.

- Odejdź i zostaw mnie w spokoju! - wycodziła oburzona jego skandalicznie obraźliwym zachowaniem. Cała aż trzęsła się ze złości, bo choć już wcześniej zdarzało się, że Cadmore pozwalał sobie w stosunku do niej na poufale gesty, to nigdy dotąd nie robił tego publicznie, jakby specjalnie chciał ją znieważyć. Szybko jednak zrozumiała, skąd wzięła się nagle pewność siebie hrabiego.

- Słyszałem, że pani Sampson nie miała ostatnio szczęścia w grze. Podobno jest winna Alice Penney nieprawdopodobną kwotę. W tej sytuacji dobra wnuczka powinna zatroszczyć się o fundusze rodziny, a ja chętnie służę pomocą.

- Bobry mąż także powinien się zatroszczyć o dobro rodziny, nie sądzisz? Lepiej wracaj do domu i przytul się do żony, zamiast publicznie narzucać się obcym kobietom. Bo jeśli chodzi o mnie, to nie mam zamiaru służyć pomocą - powiedziała z pogardą Elizabeth.

Hrabia Cadmore od pięciu lat nie mógł się doczekać potomstwa. więc ta uwaga wprawiła go we wściekłość. Zbliżył się do Elizabeth z takim wyrazem twarzy, jakby chciał ją uderzyć, ale najwidoczniej przypomniał sobie, gdzie jest, i zdołał się opanować. Zatrzymał się, rozejrzał w koło, sprawdzając, czy zwrócili na siebie uwagę, i uklonił się znajomej parze, która ich właśnie mijała.

- Ty cholerna babo - szepnął, ciągle uśmiechając się do znajomych - Zobaczysz, wkrótce nadejdzie dzień, kiedy cofniesz wszystkie impertynencje i będziesz żebrać, żebym przyjął twoje gorące przeprosiny.

Cadmore, z przyklepionym do twarzy uśmiechem, nie odrywał wzroku od Elizabeth, ale choć obrzucali się wyzwiskami, dla postronnego obserwatora wyglądali jak spokojnie rozmawiająca o czymś para znajomych.

- A co z impertynencjami pod moim adresem? - zapytała cicho drżącym z napięcia głosem. - Czy kiedykolwiek zdobędziesz się na to, by przeprosić mnie za obelgi i zniewagi, których doznałam przez te wszystkie lata?

- Ja miałbym przeproszać? Kogo? Diabelną damulkę, która zakpiła z moich uczuć i zrobiła ze mnie publiczne pośmiewisko? Ciekawe, dlaczego ostatnio tak często odwiedzasz slumsy i biedaków. Kiedyś spodobali ci się rabusie, kto wie, może teraz polubiłaś dokerów? Czyżbyś zaczęła gustować w brutalnym traktowaniu? No powiedz! Czy pastor patrzy, jak cię obracają? To ci się podoba? A może jemu też dałaś?

Podniecony własnymi słowami, nie mógł ukryć żądy. Kościste palce walczyły z kołnierzykiem, który nagle stał się za ciasny, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się nieruchomo w pobladłą twarz zszokowanej Elizabeth. Przez chwilę wyglądał na kogoś naprawdę cierpiącego.

- Klnę się na Boga, że jeszcze podniesiesz dla mnie spódnice. - Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. - Będę cię miał, choćby to była ostatnia rzecz, którą zrobię.

Z twarzy Cadmore'a biło niepokonane pożądanie i nienawiść. Chcąc jak najszybciej odejść, Elizabeth wpadła na przechodzącą obok osobę. Roztrzęsiona, kątem oka dostrzegła, że była to starannie ubrana i umalowana młoda i ładna ciemnowłosa kobieta. Owionął ją mocny zapach słodkich perfum, od którego zrobiło się jej niedobrze. Przeprosiła za swoją nieuwagę i szybkim krokiem odeszła w głąb sklepu, czując na sobie taksujące spojrzenie czarnych błyszczących oczu. Zanim zdążyła się oddalić, zobaczyła jeszcze, jak kobieta zaborczym gestem ujmuje pod ramię hrabiego Cadmore'a i ciągnie go w stronę beli szkarłatnej tkaniny.

- Chcesz wyjść? - zapytała ze współczuciem Sophie, patrząc, jak Elizabeth próbuje ukryć drżenie rąk.

- Nie - odparła urywanym szeptem Elizabeth. - Nie pozwolę się mu zastraszyć.

- Co za łajdak! - Sophie posłała hrabiemu nienawistne spojrzenie. - Kto by pomyślał, że po tylu latach ciągle jeszcze będzie pamiętał, że go odtrąciłaś. Mama mówiła, że hrabina wygląda na jeszcze bardziej zgorzkniałą niż zwykle. Zresztą trudno się jej dziwić. Nie ma dzieci, a na sam widok męża robi się jej niedobrze. Mam wrażenie, że ta kobieta to jego kochanka.

- Chyba jednak chcę wyjść - szepnęła Elizabeth, patrząc gdzieś ponad ramieniem Sophie. - Możemy pojechać do innego sklepu - dodała, uśmiechając się z przymusem i znów pobiegła wzrokiem w stronę drzwi. Nagle oburzenie i wściekłość na Cadmore'a przestały być najważniejsze. Poczowała, że robi się jej zimno. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Usiłowała sobie powiedzieć, że nic jej nie obchodzi to, co widzi, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że to nieprawda.

Czując bolesny skurcz żołądka, Elizabeth wpatrywała się w parę, która właśnie weszła do sklepu. Para zatrzymała się przy beli niebieskiego muślinu i oglądała go z dużym zainteresowaniem, przy czym Stratton mówił coś, co musiało być miłe, bo kobieta patrzyła na niego z błogim uśmiechem.

Elizabeth musiała przyznać, że towarzyszka wicehrabiego jest wyjątkowo piękną i elegancką kobietą, przy czym wyglądała na wytworną damę z dobrego towarzystwa i zdawała się roztaczać wokół siebie aurę łagodnego spokoju. Nie tak wyobrażała sobie kurtyzany z otoczenia Strattona. Nie mogąc oderwać od nich oczu, widziała gesty i uśmiechy świadczące o tym, jak bardzo tamtych dwoje jest sobie bliskich. A w dodatku stanowili tak uderzająco piękną parę, że ludzie odwracali się, by na nich popatrzeć. Oni jednak wydawali się zbyt zajęci sobą, by zwracać uwagę na otoczenie.

Elizabeth podziwiała elegancki profil i miodowozłote włosy towarzyszki swojego przyszłego męża, aż w końcu oderwała wzrok od nieznajomej i zerknęła na twarz Strattona.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Oblało ją gorąco, a poprzedni chłód znikł bez śladu. Wyprawa z Sophie okazała się farsą i kompletną katastrofą. Doprawdy tylko złośliwość losu mogła sprawić, by w sklepie z tkaninami natknęła się na obu prześladowających ją mężczyzn. Nigdzie już nie ma dla mnie wytchnienia, pomyślała. Do pełni koszmaru brakuje tylko tego, by pojawił się tu jeszcze Hugh Clemence.

- Chodź, Sophie, pojedziemy do Baldwina. Słyszałam, że ostatnio dostali brukselskie koronki - nalegała Elizabeth.

Jej duma nigdy jeszcze tak nie ucierpiała. Nawet zniewagi Cadmore'a nie zaboląły jej tak jak to, że na kilka godzin przed rozmową z jej babcią o ślubie, Stratton zabrał kochankę na zakupy. Zresztą, dlaczego miałoby ją to tak bardzo dotknąć? Czy nie wolno mu tu przychodzić? Wiedziała, że ona sama nie obchodzi wicehrabiego i że on żeni się z jej posagiem. Nie zamierzał zmieniać dla niej trybu życia. Tak samo ona. Wcale nie chciała męża, zależało jej jedynie na odzyskaniu rodzinnych klejnotów. Nie tęskniła za bliskością mężczyzny, więc jeśli ten ślub naprawdę dojdzie do skutku, bez przykrości zaakceptuje to, że mąż będzie szukał przyjemności poza domem. Czy on ją kocha? - zastanawiała się, patrząc w słodką twarz kobiety, która wyglądała jak ktoś, kto żyje w atmosferze uwielbienia.

Postanowiła więcej o tym nie myśleć. Skoro już ją zauważył, pokaże mu, że nie interesuje jej, na kogo Stratton wydaje pieniądze. Uniosła dumnie głowę, ale nie zamierzała uciekać jak spłoszona myszka. Postanowiła przejść obok nich, dając mu do zrozumienia, że nie obchodzi jej jego postępowanie i że to

niczego nie zmienia.

Razem z Evangeline i Sophie ruszyły w stronę drzwi. Widziała, że Stratton nadal rozmawia ze swoją towarzyszką, ale jednocześnie ani na chwilę nie spuszcza z niej wzroku. Mijając ich obojętnie, Elizabeth obrzuciła nieznajomą szybkim spojrzeniem. A kiedy dostrzegła jej cudowne zielononiebieskie oczy, zrozumiała, dlaczego tamtej tak bardzo spodobał się turkusowy materiał.

Były tuż obok! Elizabeth mocniej ujęła pod ramię Evangeline i Sophie, które wymieniały obojętne uwagi na temat zaopatrzenia sklepu. Mijając Strattona, odważnie spojrzała mu w oczy, a po chwili oddała jego uprzejmy ukłon.

- Lady Elizabeth... - pozdrowił ją grzecznie ciepłym tonem.

- Wicehrabio... - odparła, naśladując jego ton.

Nie zatrzymała się jednak, by z nim porozmawiać, choć odwrócił się w jej stronę, widocznie oczekując, że ona przystanie.

- Pan wybaczy, ale musimy się spieszyć. Tyle jeszcze sklepów do odwiedzenia, a tak mało czasu. Niedługo muszę wracać do domu, gdzie czekają mnie... dokuczliwe i nużące obowiązki.

- W takim razie nie wolno mi pani zatrzymywać - odparł, a ona z radością stwierdziła, że jej słowa sprawiły mu przykrość.

- I tak nie mógłby pan tego zrobić - odparła tak słodko, że towarzyszka wicehrabiego zaczęła się im przyglądać z pytającym uśmiechem.

Z bliska Elizabeth stwierdziła, że kobieta jest od niej starsza, a mimo to nadal uderzająco piękna. Szkoda, że to nie jakaś wymalowana lafirynda z wielkim biustem, pomyślała z żalem. Dlaczego musiał sobie znaleźć kogoś tak idealnego?

Chwyciła Sophie pod ramię i próbując przywołać na twarz niefrasobliwy uśmiech, ruszyła w stronę drzwi, zajęta rozmową o wstążkach. Trzymając mocno obie przyjaciółki, paplała i śmiała się wesoło, cały czas czując na sobie wzrok Strattona. W końcu dotarły do drzwi, a kiedy znikły za rogiem, gdzie nie mógł ich już widzieć, Elizabeth zamilkła i zamknęła oczy. Niech cię diabli porwą, Stratton! - powtarzała w myśli. Niech cię diabli!



Rozdział dziewiąty

- Niech cię diabli porwą, Stratton! Niech cię diabli! - szepnęła niemal niedosłyszalnie Cecily Booth, a mężczyzna u jej boku pomyślał dokładnie to samo, choć z zupełnie innych powodów.

Cecily była zła, że Ross nie zwrócił na nią uwagi, natomiast Cadmore, wprost przeciwnie, czując na sobie wilcze spojrzenie wicehrabiego, wyraźnie się zaniepokoił.

Jeszcze kilka dni temu Cadmore uważał, że Cecily jest poza jego zasięgiem, ponieważ była nie tylko bardzo kosztowna, ale także zadurzona w Trelawneyu. Będąc tchórzem i skąpcem, musiał gdzie indziej szukać towarzystwa.

Nie było tajemnicą, że Cecily od jakiegoś czasu walczyła o względy Strattona i że zdobyła je w chwili, gdy król obdarzył jej wybranka tytułem. Ten zbieg okoliczności musiał się jej wydać znaczący, bo nabrała pewności siebie i zaczęła rozpowiadać o ich wzajemnym oddaniu i przywiązaniu. Przekonana, że już wkrótce zostanie lady, źle oceniła sytuację i zbyt silnie naciskała. Jeśli wierzyć plotce, kilka dni temu Guy Markham naśmiewał się ze Strattona i z aspiracji jego „narzeczonej”, w konsekwencji czego panowie bili się na pięści w sali Dżentelmena Jacksona, a Cecily jeszcze tego samego wieczoru musiała sobie szukać nowego opiekuna.

Cadmore wykorzystał sytuację i kiedy Cecily była jeszcze wzburzona odtrąceniem i podatna na namowy, wykonał ruch. Do tej pory uważał, że to było świetne posunięcie, ale teraz nagle stracił pewność w tej kwestii.

Widząc nienawiść w oczach Trelawneya, zaczął się obawiać, że Cecily nadal nie jest mu obojętna, i pospiesznie, choć nonszalancko uwolnił ramię.

Cecily zacisnęła karminowe usta. Poczuli się zażenowana, że tak szybko została zastąpiona i w dodatku przez tak piękną kobietę. Przypomniała sobie jednak, jak szorstko i bezwzględnie Ross ją potraktował. Czy będzie za nim tęsknić i czy będzie go jej brakowało? Jego uroku? Hojności? Pełnego cudownej inwencji i zapału sposobu, w jaki się z nią kochał? Z rozpaczą pomyślała o tym, co straciła, i aby się pocieszyć, przypomniała sobie, że jest przynajmniej dziesięć lat młodsza od swojej następczyni. Pochyliła się w kierunku Cadmore'a, ale uśmiech zamarł jej na ustach. Trudno było nie zauważyć różnicy między przystojnym, silnym i pięknie zbudowanym Rossem a wymoczkowatym hrabią, któremu nawet watowane surduty nie były w stanie nadać pozorów muskulatury. Aż ją zatrzęsło, kiedy pomyślała, że w nocy poczuje na sobie ucisk jego chudych żeber.

W końcu obie pary zbliżyły się do siebie. Cadmore wykrztusił powitanie, a Ross odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy. Cecily dygnęła, posyłając byłemu kochankowi pełne pretensji spojrzenie, a zdawkowy i nieobecny uśmiech, który dostała w zamian dodatkowo wzmógł jej oburzenie.

- Stratton wyglądał jak chmura gradowa... i był jakiś zirytowany... - zauważył Cadmore, zerkając na szerokie plecy Rossa, a potem zadowolony, że spotkanie przebiegło bez żadnych incydentów, uszczypnął Cecily w pełną, jędrną pierś.

Dotyk chudych palców wzbudził w niej obrzydzenie, ale przypomniała sobie, że to jednak hrabia, i gratulując sobie zdobyczy, przysunęła się do niego, by inni nie mogli zauważyć jego śmiałego gestu. Gdyby ktoś na nich teraz spojrział, dostrzegłby tylko kobietę, szepczącą coś do ucha swojego kochanka. W rzeczywistości Cecily powiedziała: „Ten szkarłatny aksamit, który mi się podoba, jest tam”, a potem odsunęła się poza zasięg palców hrabiego.

- Ross, powiedz mi, co się tutaj dzieje? Najpierw dwie piękne kobiety, jedna blondynka, druga brunetka, mierzą cię nienawistnym spojrzeniem, a potem ten śmiertelnie przerażony mężczyzna... Jestem naprawdę zaintrygowana. Nie złamałeś chyba kolejnego serca i nie przyprawileś jakiegoś nieszczęśnikowi rogów? - zapytała ze śmiechem bratowa Trelawneya.

- Uważasz, że ta blondynka jest piękna?

- Byłaby nawet wyjątkowo piękna, gdyby nie wyraz jej błękitnych oczu.

- Jej oczy nie są błękitne. Są fiołkowe...

Rebecca zaśmiała się znacząco, a Ross od razu pożałował swoich słów.

- Oczywiście, że są fiołkowe. Od razu to zauważyłam. Ty zresztą też. Chcesz mi o niej jeszcze coś powiedzieć? - zapytała, teraz już poważnie. Kiedy nie doczekała się odpowiedzi, zapytała o brunetkę.

- Tak jak powiedziałaś, jest ładna. - Stratton wzruszył ramionami.

- Ross. Naprawdę jesteś bezdusznym draniem. To oczywiste, że z nich dwóch brunetka jest twoją kochanką.

- Już nie - odparł obojętnie i niecierpliwie spojrział w stronę drzwi. Po drodze jego wzrok napotkał niezwykle piękny jedwab w kolorze hiacyntów i od razu pomyślał o klejnotach ukrytych w jego sejfie. Zaprzagnął wrócić do domu, wziąć naszyjnik i pojechać do Elizabeth. Chciał jej powiedzieć, że gdyby dała mu szansę, przedstawiłby jej swoją bratową i zapewnił, że nie zrobił niczego, czym mogłaby się martwić. Nie dawał mu spokoju wyraz goryczy, który widział na jej twarzy, a który starannie ukryła pod maską wyniosłości natychmiast, gdy zorientowała się, że ją zauważył.

Domyślił się, że wzięła Rebeccę za jego kochankę, i zauważył, że zrobiło się jej przykro. Postanowiła to jednak przed nim ukryć, więc zachowywała się tak, jak gdyby nic się nie stało, i podeszła się przywitać. Przy okazji wspomniała czekające ją później dokuczliwe i nużące obowiązki, czym chciała mu dać do zrozumienia, że jej nie obchodzi teraz i nie będzie obchodził, gdy zostanie jej mężem. On jednak wiedział, że to nieprawda. Przez jedną krótką chwilę, zanim ukryła się pod maską wyniosłości, spostrzegł jej rozczarowanie i bezradność i wiedział, że ich powodem była obecność innej kobiety przy jego boku. Przekonał się, że jej na nim zależy, i choć to idiotyczne, zrobiło mu się przyjemnie. Nie rozumiał dlaczego. Najrozsądniej byłoby zostawić ją w tym stanie apatii, bo wcale nie był pewny, czy dojrzał do tego, by zrezygnować ze wszystkich pozostałych kobiet. Nadal doprowadzała go do szału i była najbardziej pyską małą...

Powoli i spokojnie wypuścił powietrze z płuc, bo nagle uświadomił sobie, że już nie potrafi o niej myśleć w ten sposób, a jednocześnie nie może myśleć o niczym innym. Zrozumiał, że pragnie nie tylko jej ciała, ale także obecności, nawet gdyby miała go znowu obrażać. Chciałby opowiedzieć o cudnym jedwabiu, który tak pięknie pasowałby do jej oczu i chciałby tu przyjść razem z nią i kupić go dla niej. Wystarczyło, by nie widział jej choć przez chwilę, a już bardzo za nią tęsknił.

Z całej siły zacisnął usta. Powinienem się chyba wybrać do psychiatry, pomyślał. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było uwieść Elizabeth i powinien był to zrobić wczoraj wieczorem w zaciszu własnego domu. Gdyby zaspokoił pożądanie, nie zachowywałby się teraz jak pomyłony i zamiast planować ślub, szykowałby lokum dla nowej kochanki. Nigdy nie starał się nikomu przypodobać, a teraz spełniał wszystkie zachcianki skompromitowanej skandalem, zadziornej panny, która nie pomijała żadnej okazji, by go obrazić.

Zawsze był lubiany przez kobiety. Przez młode i stare, bogate i biedne. A odkąd król obdarzył go tytułem, stał się bardzo pożądanym gościem.

Lady Elizabeth Rowe była piękną i godną podziwu kobietą, ale inne damy również go pociągały, a przy tym były dużo życzliwiej do niego nastawione. Dlaczego w takim razie myślał wyłącznie o niej i dlaczego przed chwilą o mało nie poprosił Cadmore'a na zewnątrz, żeby dać mu w twarz? Nie miał dowodu, że hrabia naprzykrzał się dziś Elizabeth. Znajdowali się w różnych częściach sklepu, a poza tym Cadmore był w towarzystwie Cecily, co zdawało się wykluczać możliwość poufalej rozmowy z inną kobietą. Mimo to czuł, że koniecznie musi ustalić, czy hrabia nie ośmielił się przypadkiem pogardliwie spojrzeć na Elizabeth.

- Możemy wracać? Luke na pewno już zakończył spotkanie - zniecierpliwił się Ross.

- Jeszcze się nie zdecydowałam. - Rebecca popatrzyła na niego spod długich rzęs i, udając urażoną, wydeła usta. - Kiedyś lubiłeś zabierać mnie na zakupy, kiedy Luke był zajęty na Lombard Street...

- Wiesz, że nadal lubię i nie próbuj ze mną flirtować. - Uśmiechnął się, jakby chciał ją przeprosić za swoje zniecierpliwienie.

- Dotąd nie miałaś nic przeciwko temu, a wręcz przeciwnie, zachęcałaś mnie, bym na tobie ćwiczyła. Dlaczego już ze mną nie flirtujesz, Ross?

- Miałbym ryzykować, że brat się na mnie obrazi?

- Nigdy dotąd się tym nie przejmowałaś, a poza tym Luke dobrze wie, że na tym, czego ty możesz mnie nauczyć, on może wyłącznie skorzystać.

- Przedtem byłem jedynie cieszącym się złą sławą łotrem - poinformował ją z kpiącym uśmiechem. - A teraz zostałem nowobogackim wicehrabią.

Rebecca powoli pokiwała głową.

- Blondynka z fiołkowymi oczami? - zapytała i nie oczekując odpowiedzi, wzięła go pod rękę i ruszyła w stronę wyjścia.

Ross patrzył z podziwem na wspaniały naszyjnik. Pieszczotliwym ruchem dotykał ułożonych naprzemiennie ametystów i brylantów. Wszystkie kamienie były najwyższej jakości. Ametysty miały głęboką barwę, idealną przejrzystość i niezwykle ośmiokątny szlif, a brylanty były kaboszonami bez najmniejszej inkluzji i skrzyły się w popołudniowym słońcu wszystkimi barwami tęczy. Doprawdy nie lada

mistrzem był jubiler, który wykonał to arcydzieło. Przypuszczał, że pozostałe części kompletu nie ustępowały jakością naszyjnikowi, a to znaczyło, że Elizabeth miała rację, wyceniając całość na dziesięć tysięcy funtów.

Odbierając łupy przemytnikom, często widywał wspaniałe klejnoty i piękne przedmioty. Bywało też, że płacono mu najróżniejszą walutą. Dostawał wyroby hiszpańskich złotników, wschodnie figurki z jadeitu, a trafiała się też kość słoniowa z Afryki lub zabytkowa egipska porcelana. Ostatnio dostał nawet eleganckie meble. Nigdy niczego nie odrzucił. Tym razem zapłacono mu ametystami i brylantami, a on zastanawiał się, jak je zwrócić... nie rezygnując przy tym z tego, co chciał dostać.

Nagle przypomniał sobie o swoim nowym majątku w Kent i o architekcie, który miał zająć się jego renowacją. Sukces, który osiągnął sam bez niczyjej pomocy, napawał go dumą i jeszcze kilka tygodni temu było to dla niego najważniejsze.

Pomyślał o pieniądzach, które nielegalnie zdobył jego ojciec, a z czasem, powoli wprowadził do wielu legalnych transakcji, i doprowadził do powstania międzynarodowego imperium handlowego. Jako najmłodszy syn, Ross był ostatni w kolejce do spadku. Ojciec, chcąc mu to wynagrodzić, rozpieszczał go, podobnie jak matka i starsi bracia, których dręczyło poczucie winy, że zagarnęli lwią część rodzinnej fortuny. Ross obojętnie podchodził do spraw finansów i nie ukrywał tego przed rodziną. Uważał, że Luke i Tristan więcej i ciężiej pracowali i zasłużyli na swoje udziały. On nie miał zamiaru aż tak się poświęcać pracy. Znalazł własny sposób na życie. Przyjemny, odrzucający wszelkie konwencje i powszechnie przyjęte normy moralne. Kierował się własnym kodeksem honorowym. Nigdy nie zalecał się do kobiet, w których kochali się jego bracia albo przyjaciele. Był lojalny i zawsze bronił tych, których kochał i szanował, nigdy jednak nie pozwalał, by uczucia bliskich mu ludzi go ograniczały. Tak było kiedyś, a teraz planował ślub z blond kusicielką, która go nawet nie lubiła. Nie rozumiał, co go do tego skłania, ale na pewno nie chodziło o pieniądze. Dla dobra sprawy musiał jednak udawać, że to one są powodem, bo tylko finanse mogły usprawiedliwić ślub po tak krótkiej i burzliwej znajomości. Elizabeth była przekonana, że Stratton, chcąc odzyskać swoje pieniądze, nie zawaha się położyć ręki na jej posagu albo że weźmie ją za kochankę, żeby odpracowała dług. Była wyniosła, niegrzeczna i bezczelna, a jednak było w niej coś, co go wzruszało, ponieważ nie dał się zwieść pozorom. Wiedział, że to, co wydarzyło się przed dziesięciu laty nadal sprawia jej ból i że cierpi z powodu pogardy, z jaką odtrącili ją dawni znajomi. Czując jej przejmujący smutek, chciał ją bronić przed męską żądzą i kobiecą złośliwością. Instynkt opiekuńczy wziął w nim górę nad pożądaniem, co skwitował ironicznym uśmiechem.

Przypomniał sobie, co Edwina mówiła o wizycie swojej wnuczki w slumsach i się zamyślił. Zrozumiał, że Elizabeth odwiedziła go wczoraj wieczorem z czysto altruistycznych pobudek. Przyjechała po naszyjnik, bo liczyła, że ten klejnot pozwoli jej uwolnić z rąk drania nieszczęsną przyjaciółkę. Kiedy pomyślał, że mogłaby pojechać nocą z naszyjnikiem w kieszeni prosto na Barrow Road, zrobiło mu się zimno. Nawet nie chciał myśleć, co mogłoby się wydarzyć.

Wątpliwe, by Elizabeth uwierzyła w to, że uratowana kobieta po tygodniu sama wróci do slumsów, odnajdzie swojego „opiekuna” i wróci do pracy, a naszyjnik jej matki zostanie sprzedany kamień po kamieniu.

Sposób, w jaki chciała ratować przyjaciółkę, był prosty i uroczo naiwny. Zbyt naiwny jak na kobietę z jej przeszłością, pomyślał. Jeśli jednak założyć, że to, co o niej mówiono, nie jest prawdą, i dodatkowo wziąć pod uwagę słowa wypowiedziane przez Edwinę tamtego wieczoru, gdy zdenerwowana dostrzegła swoją wnuczkę w jego objęciach... Ross zerknął na zegar. Zastanawiał się, co zrobić z naszyjnikiem. Obiecał Elizabeth, że dziś dostanie go z powrotem, ale wtedy nie wiedział jeszcze, dlaczego tak bardzo chciała go odzyskać. A teraz, gdy sprawa się wyjaśniła, nie był pewny, czy nie lepiej byłoby zatrzymać go jeszcze jakiś czas u siebie.

Zerwał się z krzesła i zamknął naszyjnik z powrotem w sejfie. Zdarzało się, że ulegał woli Elizabeth, ale nie był całkowicie pod jej urokiem. Zawsze uważał, że silni mężczyźni, którzy nie potrafią się oprzeć słabym kobietom, są godni najwyższego potępienia. Zresztą w przypadku utraty naszyjnika on zostałby najbardziej poszkodowany. Wczorajszej nocy postąpił jak dżentelmen i nie posunął się poza ustalony wspólnie jeden pocałunek. Babka i wnuczka wiele mu zawdzięczały. Wiedział, że pocałunek spodobał się Elizabeth. Jemu zresztą też, i to bardzo. Miał jej zademonstrować uwodzicielskie możliwości, a zamiast tego zatracił się w słodyczy jej ust. Zachował się jak libertyn nowicjusz i był na siebie zły. Postanowił nie oddawać jej dziś naszyjnika i udowodnić sobie w ten sposób, że panuje nad sytuacją.

Elizabeth wysadziła Evangeline pod domem, a potem odwiozła Sophie do domu jej rodziców przy Perman Street i przyjęła zaproszenie na herbatę.

Sophie rozpakowała kupon srebrnej koronki. Powiesiła delikatną tkaninę na oparciu krzesła i przyglądała się jej z różnych stron.

- Dobry wybór - zapewniła ją Elizabeth. - Jest naprawdę śliczna, delikatna jak pajęczyna. Będzie do ciebie doskonale pasować.

- Mam nadzieję, że nie będę przypominała pająka. - Sophie zachichotała, a potem popatrzyła badawczo na przyjaciółkę. - Powiedz, co cię bardziej zdenerwowało? Ten podlec Cadmore czy to, że wicehrabia był w towarzystwie przyjaciółki? - zapytała.

- Ani jedno, ani drugie. - Elizabeth próbowała się wymigać od odpowiedzi, ale uniesione wysoko brwi Sophie dawały do zrozumienia, że jej nie wierzy.

- No dobrze. Przyznaję, że wołałabym nie spotkać żadnego z nich. Nienawidzę Cadmore'a, bo to wstrętny i obmierzły rozpustnik. A tego drugiego nienawidzę za... Przypuszczam, że jest tak samo rozpustny, ale na razie nie mam na to dowodów. Nienawidzę go więc za... Och, po prostu go nienawidzę! Obraził mnie, groził mi i próbował zastraszyć, i zrobił jeszcze wiele innych rzeczy. - Elizabeth machnęła ręką.

- Trelawney jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Nie tak go sobie wyobrażałam. Wcale nie wydaje się szorstki, wręcz przeciwnie. Robi wrażenie dobrze wychowanego i umiejącego się zachować. W sklepie wyraźnie chciał, żebyś się zatrzymała i chwilę z nim porozmawiała.

- Wątpię, by jego towarzyszką także tego chciała. Jest piękna, prawda?

- Przyznaję, ale ty też jesteś piękna. Zawsze zazdrościłam ci wspaniałych oczu i włosów. Jesteś od niej młodsza i gdybyś tylko zechciała, bez trudu mogłabyś przyćmić ją urodą.

- Ale ja nie chcę - odparła Elizabeth. Rzut oka na zegar powiedział jej, że jest już kwadrans po piątej. Postanowiła, że wyjdzie o szóstej. Liczyła na to, że do tego czasu babcia i wicehrabia zakończą spotkanie. Miała też nadzieję, że jej nieobecność będzie odebrana jako manifestacja niechęci do planowanego ślubu.

Niewykluczone, że przyjaciółka Strattona wybije mu z głowy ślub, pomyślała. Nieznajoma nie wyglądała na kogoś, kto pozwoli się odsunąć, a prawdę mówiąc, robiła wrażenie osoby odrobinę zbyt dumnej, tak jak ona sama. Elizabeth wierzyła, że Stratton dotrzyma słowa i po powrocie do domu zostanie czekający na nią naszyjnik. Miała nadzieję, że wczorajsza paplanina babki nie wzbudziła w nim zbyt wielu podejrzeń, a nawet gdyby, to w końcu nie jego sprawa, co Elizabeth zrobi ze swoją biżuterią, skoro i tak położy rękę na jej posagu.

- Martwię się, kiedy cię widzę w takim stanie. Czym jeszcze tak się niepokoisz? - zapytała łagodnie Sophie, podchodząc do przyjaciółki.

- Wracając z niedzielnej szkółki, widziałam coś okropnego.

- Musisz przestać tam chodzić! Te wizyty fatalnie na ciebie wpływają.

- Nie chodzi o dzieci. Spotkałam tam kobietę, którą kiedyś dobrze znałam. Razem debiutowaliśmy w towarzystwie, a teraz jej życie zmieniło się w koszmar... Uważałam, że ja mam kłopoty, a teraz wstydzę się, że tak myślałam. Wiem, że muszę jej pomóc! Tylko nie jestem pewna jak.

Sophie posadziła Elizabeth na kanapie i poprosiła, by jej wszystko opowiedziała, a kiedy wysłuchiwała nieszczęsnej historii, była przerażona.

- To okropne, że mężczyzna, którego kochała i któremu ufała, tak ją oszukał. Szkoda też niewinnego dziecka!

- Nie wiem, ile lat ma jej synek. Nie widziałam go. Powiedz, co mam zrobić?

- Wydaje się, że ten odrażający typ nie pozwoli jej odejść, jeśli nie dostanie pieniędzy. Została mi jeszcze pewna kwota - zaoferowała natychmiast Sophie.

- Leach nie zadowolony się drobnymi. Z tego co mówi Hugh, Leach to złodziej, a jego matka prowadzi dom uciech i zajmuje się paserstwem. Jeśli się im dobrze zapłaci, wypuszczą Jane i jej dziecko. Ale co dalej, gdzie się wtedy podzieją? Jane twierdzi, że rodzice się jej wyparli, a Edwina nie pozwoli im nawet wejść do domu,

Sophie wybiegła z pokoju, a po chwili wróciła z woreczkiem kosztowności, żeby sprawdzić, co z tego może zastawić. Wysypała zawartość woreczka na kanapę i razem zaczęły oglądać srebrne grzebienie i kolczyki. Był tam też pierścionek z perłą, złamana złota bransoletka i medalion, który kiedyś należał do zmarłej siostry Sophie.

Elizabeth podziękowała przyjaciółce za dobre chęci, tłumacząc, że jedynie naprawdę duże pieniądze mogą skłonić Leacha do uwolnienia Jane. Hugh także nie mógł jej przyjść z pomocą. Nie dość, że zastraszonej przez Edwinę uważał, że nie powinna wracać do slumsów, to na dodatek twierdził, że na pomoc nieszczęsnej kobiecie jest już za późno. Przekonywał ją, że Jane nigdy nie odejdzie od „opiekuna” bo jest przez niego zniewolona.

- Ach ci mężczyźni! Co oni o tym wiedzą? - Westchnęła rozgoryczona. - Wszyscy są tak zarozumiali i Hugh też, choć kiedyś myślałam, że jest inny. Babcia poparła jego szowinistyczne poglądy tylko po to, żeby mnie odstraszyć od slumsów. Ale ja się tak łatwo nie dam zastraszyć. Sophie, to co ci powiedziałam, musi pozostać tajemnicą. Nie wolno ci wyjawiać, że chcę pomóc Jane i jej synkowi.

- Będę milczeć jak grób! Nadeszła pora, żebym ja też spełniła jakiś dobry uczynek. Pomogę ci, jak tylko będę mogła. - Urwała i dodała: - Planety nam sprzyjają.

- To dobrze, bo przyda się nam każde wsparcie - odparła z uśmiechem Elizabeth.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie? - zapytała Edwina. Elizabeth zdjęła czepek i potrząsnęła głową, przeczesując palcami jasne loki.

- Domyślałam się, że chodzi ci o wizytę wicehrabiego, czy tak? - zapytała kąpiąco.

- Tak!

- Przyniósł go?

- Co takiego? Kij, którym można zbić nieposłuszną przyszłą żonę? Czy ktoś miałby mu za złe, gdyby to zrobił?

- Przyniósł mój naszyjnik? - Elizabeth nie zwracała uwagi na wściekłą minę babci.

- Nawet jeśli go wziął, to zabrał ze sobą z powrotem. I słusznie. Gdybyś raczyła wrócić do domu pół godziny wcześniej, może by ci go oddał. Oczywiście jeśli naprawdę go miał.

- Powiedział, że dziś mi go odda! - krzyknęła Elizabeth, tupiąc nogą.

- W piątek jemy kolację w towarzystwie Rossa i jego rodziny. Dokumenty w sprawie twojego posagu zostały podpisane. Ślub odbędzie się za trzy tygodnie. - Edwina zupełnie nie przejęła się wybuchem wnuczki.

- Po moim trupie.

- Myślę, że to się da załatwić. Wicehrabia był wściekły, kiedy usłyszał, że nie ma cię w domu. Pettifer dwa razy podawał herbatę, zanim Stratton zrozumiał, że nie zamierzasz się pojawić. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Myślałam, że odjedzie, i znowu nic nie zostanie ustalone.

- Musiał skrócić zakupy ze swoją przyjaciółką i pewnie dlatego był zły. - Elizabeth była zadowolona, że udało jej się go rozdrażnić.

- Spotkałaś go w mieście? - zapytała Edwina.

- Zabrał swoją lalę na zakupy do Pall Mail.

- Nie musisz się przejmować tą wampowatą brunetką. - Edwina poklepała czule dłoń wnuczki. - Mężczyźni, tacy jak Stratton, szybko zapominają o kobietach pokroju Cecily Booth. Co z tego, że jest od ciebie młodsza? Jesteś od niej o niebo ładniejsza i zgrabniejsza. Kiedy zostaniesz jego żoną, nawet nie pomyśli o tamtej.

- Rzeczywiście! Wszystko o niej wiesz! - Elizabeth roześmiała się drwiąco. - Kobieta, którą z nim widziałam, jest blondynką. Jest ode mnie starsza i bardzo piękna. Nie jestem pewna, czy tak chętnie się z nią rozstanie. A poza tym, jak myślisz, ile on ich ma? - zapytała i, nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę schodów. Zadowolona z wrażenia, jakie jej rewelacje wywarły na babci, swobodnie zakreśliła trzymanym za wstążkę czepkiem.

Niech cię diabli porwą, Stratton! Niech cię diabli! Nic mnie to nie obchodzi! - pomyślała i nonszalanckim krokiem udała się na górę.

- Cieszę się, że wybrałaś właśnie tę suknię. Zawsze uważałam, że ślicznie w niej wyglądasz.

Elizabeth zdobyła się na uśmiech i poprawiła śliwkową wstążkę podtrzymującą wyszukaną fryzurę.

- Denerwujesz się? - zapytała Edwina.

Elegancki powóz podskakiwał na brukowanej kocimi łbami ulicy, prowadzącej na Grosvenor Square.

Elizabeth zaprzeczyła, ale widząc, że babcia się uśmiecha, westchnęła.

- Może odrobinę - przyznała. - Od dawna nie bywam w towarzystwie i trochę wyszłam z wprawy. Spotykam się jedynie z Sophie i jej rodzicami oraz z pastorem i paniami z Towarzystwa Pomocy - wyjaśniła swoje zdenerwowanie przed spotkaniem z gośćmi wicehrabiego.

Nerwowym gestem gładziła piękny śliwkowy aksamit eleganckiej sukni, zastanawiając się, czy ktoś z obecnych na kolacji gości wiedział o jej przygodzie sprzed lat.

Z tego co usłyszała od babci, wynikało, że matka Strattona sporadycznie opuszcza dom w Kornwalii i raczej nie interesuje się londyńskimi skandalami, a jego brat, bardzo zamożny arystokrata, mieszka z rodziną w Brighton i rzadko korzysta ze swojego domu w Mayfair. Edwina przypuszczała, że Stratton mógł zaprosić także Guya Markhama, ale nie wiedziała, kim będą pozostali goście, bo to, że Elizabeth nie pojawiła się na spotkaniu, zdenerwował ją do tego stopnia, że zapomniała wypytać Strattona o szczegóły kolacji.

Zresztą Elizabeth nie obchodziło, kogo Stratton zaprosi. Sam fakt, że przyjaźnili się z takim draniem, stawiał morale tych ludzi pod znakiem zapytania. Nie obchodziło jej też, czy wiedzieli o jej hańbie. Nie miała zamiaru odgrywać pariaski na użytek bandy parweniuszy i w ogóle nie chciała brać w tym wszystkim udziału. Zgodziła się pojechać na tę kolację nie po to, by poznać przyjaciół Strattona, ale żeby odzyskać naszyjnik.

Nie spodziewała się, że wicehrabia przez cały tydzień nie da znaku życia, bo przecież ostatecznie byli nieoficjalnie zaręczeni, a całkowity brak kontaktu uniemożliwił jej odebranie klejnotów. Na ryzykowanie skandalu i na osobistą wizytę w jego domu nie miała ochoty. Skończyło się więc na tym, że napisała list z żądaniem zwrotu naszyjnika, choć nie liczyła, by przyniosło to jakikolwiek rezultat. Pomyślała, że Stratton

nadal musi być zły, bo nie skontaktował się nawet z Edwiną, a wcześniej groził zerwaniem kontraktu i odwołaniem zaproszenia na kolację. Prawdę mówiąc, ucieszyła się, że tego nie zrobił, bo dziś wieczorem planowała odzyskać wreszcie swoją własność.

Stratton znikł z pola widzenia, natomiast pastor wręcz odwrotnie, bez przerwy składał im wizyty. Edwiną, która nie znosiła jego towarzystwa, na ogół uciekała, ale tym razem przyszła wnuczce z pomocą i sama wyjaśniła przyczyny, dla których Pettifer po nocy dwa razy szukał u niego Elizabeth.

- Proszę mi wybaczyć pastorze, ale całą winę za to nieporozumienie ponosi moja wnuczka i jej dziwny zwyczaj chowania się po kątach - powiedziała. - Czy można się dziwić, że kiedy nie znalazłam jej w łóżku, wpadłam w panikę? A ona tymczasem podlewała paprocie w salonie. Myślę, że to wizyty w slumsach przyprawiają ją o bezsenność - dodała, patrząc oskarżycielsko na pastora.

Nie dość, że dwa razy wyrwano mnie z łóżka to jeszcze zostałam za to skarcony, pomyślał Hugh, a zdumienie i uraza odbiły się na jego twarzy.

- Dziwaczka - powiedziała bezgłośnie Elizabeth i dla dobra sprawy zrobiła parę wymownych grymasów pod adresem babci.

Bez względu na zakazy babci Elizabeth zamierzała, jak zwykle, pojechać z pastorem do niedzielnej szkółki. Nie zrezygnowała też ze znalezienia i uratowania Jane. Ale by tego dokonać, musiała wziąć z sobą cenny naszyjnik.

Nagle powóz stanął, przerywając jej rozmyślenia. Wyjrzała przez okno i zobaczyła dwóch lokajów, ubranych w czar- no- złote liberie i mocno upudrowane peruki, zbliżających się z pochodniami w rękach. Wysiadając z powozu, zdążyła jeszcze pomyśleć, że ten zakłamaný drań, gospodarz dzisiejszego wieczoru, wciąż jeszcze jest w posiadaniu przedmiotu, od którego zależy wolność Jane. Ale to już nie potrwa długo. Naszyjnik jest jej. I zrobi wszystko, by go odzyskać!



Rozdział dziesiąty

- Zawsze trochę podkochiwałam się w Rossie - wyznała konspiracyjnym szeptem Rebecca i, wzdychając, zmarszczyła mały zgrabny nosek.

Przyjaciółki pobiegły za jej wzrokiem i teraz wszystkie zgodnie wpatrywały się w przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę, który stał po drugiej stronie przestronnego, bogato urządzonego salonu i rozmawiał z Lukiem, ukochanym mężem Rebecki.

- Myślę, że każda z nas może powiedzieć to samo - przyznała Emma Du Quesne, nie odrywając wzroku od wysokiego blondyna, dyskutującego z Rossem i jego bratem o interesach. Sir Richard Du Quesne w ferworze dyskusji oparł się łokciem o wspianały gzyms kominka i, nie zwracając uwagi na marmurowe arcydzieło, tłumaczył coś przyjaciołom, wymachując kryształowym kieliszkiem. Po chwili jego jasny wzrok pobiegł w kierunku żony i oboje uśmiechnęli się do siebie.

Rebecca i Emma siedziały na eleganckiej kanapie, a między nimi znajdowała się jeszcze trzecia dama, wicehrabina Victoria Courtenay. Milcząc, wodziła wypielęgnowanym palcem po malowanym w złote amorki wachlarzu.

- Nasi mężowie mają do nas pełne zaufanie - odezwała się niespodziewanie Victoria, przyglądając się z czułością, jak jej ukochany David, podaje pani Demelzie Trelawney kieliszek ratafii.

Wszystkich zgromadzonych w tym salonie ludzi łączyła głęboka przyjaźń lub więzy rodzinne. Czekając na pozostałych gości Rossa, rozmawiali na przeróżne tematy, od interesów, przez ploteczki po zwykłe, codzienne, domowe sprawy.

- Tak samo jak i do niego - odparła Emma. - Gdyby nie to, nigdy nie pozwoliliby nam flirtować z tak zabójczo przystojnym kawalerem. Znają się od lat, a Richard mówił, że Ross zawsze z dużym powodzeniem czarował płęć piękną. Nie znam go zbyt długo, ale i tak zdążyłam już zobaczyć, jak kobiety różnych stanów walczą o jego względy.

- Czasami Ross towarzyszył mi w zakupach i zawsze czułam się wtedy wyróżniona. Będzie mi tego brakowało. Muszę nakłonić Luke'a, żeby czasem tak ze mną poflirtował.

- Nie musiała pani długo czekać, lady Ramsden! - zauważyła Emma, widząc jak baron Ramsden patrzy na swoją jasnowłosą żonę.

- Jestem w Londynie od kilku dni i nie zauważyłam, żeby Ross się zmienił. Dlaczego uważasz, że nie będzie już z nami flirtował jak poprzednio? - zapytała Victoria.

- Nie umiem tego dokładnie wyjaśnić, ale wydaje mi się inny - odparła Rebecca, czując na sobie płomienny wzrok męża. - Mam wrażenie, że ciągle błędzi myślami gdzie indziej. Czasem się niecierpliwi i całkiem stracił swoje obojętne podejście do wszystkiego. Opowiadał mi o ruinie, jaką jest Stratton Hall i o ogromnej pracy, którą trzeba włożyć, żeby go doprowadzić do przyzwoitego stanu. Kto wie, może przejął się

odpowiedzialnością, jaka teraz na nim spoczywa. A poza tym... wydaje mi się, że jest zainteresowany pewną jasnowłosą damą, którą spotkaliśmy podczas zakupów. Być może... - Rebecca ściszyła głos do szeptu - ...namawia ją, by została jego nową przyjaciółką. W tym samym sklepie natknęliśmy się też na brunetkę, z którą właśnie się rozstał. Moim zdaniem, blondynka jest dużo ładniejsza i bardziej wyrafinowana. Wydaje mi się, że Ross zwrócił się do niej „lady jakaś tam”. Może to młoda wdowa, ale i tak tego nie pochwalam. Same wiecie, że wystarczy odrobina kokieterii i Ross zazwyczaj ustępuje.

Wszystkie trzy jak na komendę popatrzyły na Rossa.

W tej chwili mężczyźni skończyli rozmawiać, a gospodarz zerknął na zegar.

- Czyżby Guy się spóźnił? - zapytał Luke. - Czy Markham spóźnia się na kolację? - powtórzył głośniej, patrząc na brata. - Co się z tobą dzieje, Ross? W ciągu ostatnich trzech minut, trzy razy sprawdzałeś, która godzina. Na kogo tak czekasz? Na Markhama czy na tę panią Sampson?

- Raczej na panią Sampson - mruknął Dickie Du Quesne znad kieliszka.

- Pani Sampson jest moją starą, dobrą przyjaciółką i przekroczyła już sześćdziesiątkę. - Ross uśmiechnął się do Dickiego.

- O mój Boże! To ciut za dużo, nawet dla kogoś takiego jak ty, kto lubi wszystkie kobiety. A może boisz się, że przyjdzie z wnuczką? Czyżby dziewczyna była zezowata i uganiała się za tobą?

Ross się roześmiał, a potem przesunął dłonią po zmarszczonym czole.

- Och nie! Tylko nie mów, że to młodziutka panienka, która chichocze, kiedy ktoś się do niej odezwie - zgadywał dalej Dickie.

- Na kogokolwiek czekamy, niech się lepiej pospieszy, bo umieram z głodu - oznajmił Luke. - Mama daje ci znaki, już drugi raz. Czuję, że nie unikniesz matczynych rad, ale najpierw posłuchaj rady brata - ciągnął poważnym tonem. - Powiedz jej to, co chce usłyszeć, bo z jakichś powodów ostatnio wypytuje o ciebie więcej niż kiedykolwiek. Uparła się przyjechać do Londynu, żeby cię zobaczyć, a wiesz, że nienawidzi ruszać się z domu.

Ross podszedł do matki, a dotrzymujący jej do tej pory towarzystwa David dołączył do siedzących na kanapie pań i zajął miejsce obok swojej żony.

- Jesteś szczęśliwy, synku? - Demelza dotknęła dłonią szczupłej, opalonej twarzy najmłodszego syna.

Ross popatrzył matce w oczy i się uśmiechnął.

- Oczywiście. Jestem wicehrabią, cieszę się sympatią króla. Mam ten piękny dom i rezydencję w Kent. Co prawda, wymaga ona remontu, ale kiedy go skończę, będzie wspaniała. Jeśli zechcesz pojechać, chętnie ci ją pokażę.

- Powiedziałeś mi, co osiągnąłeś, a nie o to pytałam. To miłe, że zostałeś wicehrabią i masz piękny dom, a jeśli cię to cieszy, to wspaniale. Czuję jednak, że to ci nie wystarcza. Przez lata obserwowałam jakie niebezpieczne życie prowadzisz, i widziałam, jak bardzo ci to odpowiada. Mam wyrzuty sumienia, że nie próbowałam tego zmienić, kiedy byłeś młodszy. Naprawdę zbyt długo już tak żyjesz. Bez spokoju, bez stabilizacji... - Urwała, próbując zajrzeć synowi w oczy.

Wróciły wspomnienia i matka zobaczyła małego Rossa niepokornego i dzikiego jak skaliste wybrzeża Kornwalii. Był niezmordowany, nienasycony w pędzie poznawania świata i bardzo dzielny. Nigdy nie skarżył się na rozbite łokcie czy kolana i zawsze był roześmiany. A teraz był nieszczęśliwy i wiedziała, że żaden matczyzny pocałunek nie może zmniejszyć jego bólu. Ross był zakochany

- To dzięki tobie Luke odnalazł spokój. Wiem, że ty też byś tego chciał, ale nigdy dotąd nie martwiłeś się, że to się jeszcze nie stało - powiedziała, starannie dobierając słowa. - Zmieniłeś się... W twoich oczach widzę smutek i tęsknotę. Myślę, że JEŻ przeczuwasz, gdzie leży twoje szczęście, ale nie potrafisz sobie tego w pełni uświadomić.

Ross ujął dłoń matki i pocałował, a potem czule pogładził ją po policzku. Lata łaskawie się z nią obeszły i, mimo sześćdziesiątki, zmarszczek i siwych pasemek w kruczoczarnych włosach, nadal była wyjątkowo atrakcyjną kobietą. Już miał zaprzeczyć, klnąc w duchu jej matczyzny instynkt, kiedy uświadomił sobie nagłą ciszę, jaka zapanowała w salonie, i usłyszał swojego kamerdynera.

- Pani Sampson i lady Elizabeth Rowe - oznajmił głośno Dawkins.

Metr przed otwartymi drzwiami salonu Elizabeth zamarała bez ruchu, czując, że ogarnia ją panika.

Miała wrażenie, że czas cofnął się o dziesięć lat. Patrząc na elegancki salon i na równie eleganckie i dystyngowane towarzystwo w nim zgromadzone, pomyślała o ironii losu. To mieli być ci parweniusze? Wystarczył jeden rzut oka, aby się przekonała, że patrzy na czarujących i dobrze wychowanych, wpływowych i niezwykle zamożnych ludzi. Wszyscy patrzyli na nią, a ona nie mogła tego znieść.

Widząc kłaniającego się kamerdynera, który dopiero wychodził z salonu, uprzytomniła sobie, że od chwili, gdy oznajmiono ich przybycie musiały minąć zaledwie sekundy. Walcząc z sobą, by nie obrócić się na pięcie i nie uciec, czekała na szept i sarkania, które dadzą wyraz pogardy zgromadzonego w salonie towarzystwa.

Edwina musiała wyczuć, co się dzieje z wnuczką, bo ujęła ją mocno pod ramię i pociągnęła w głąb salonu. Nogi Elizabeth były jak z ołowiu i z trudem oddychała. Przenosiła spojrzenie od osoby do osoby, nie będąc w stanie zatrzymać na nikim wzroku wystarczająco długo, by cokolwiek wyraźnie zauważyć. Widziała tylko rozmazane błyski biżuterii kobiet i słyszała śliski szelest jedwabiu ich sukien. Zrozpaczona, niewidzącym wzrokiem szukała szerokich barów i ciemnej, cygańskiej twarzy. Tak bardzo go w tej chwili potrzebowała...

Wszyscy stali bez ruchu i nagle dostrzegła, że coś drgnęło. To Ross, który klęczał obok fotela, podniósł się powoli i ruszył w jej kierunku. Idąc, patrzył jej w oczy, a ona przyłgnęła do tego spojrzenia jak tonący do pnia drzewa unoszonego przez rwące fale.

- Pani Sampson, lady Elizabeth, cieszę się, że panie przyszły - przywitał je Ross.

Jak zwykle elegancki, najpierw zwrócił się do babci, ale szybko przeniósł uwagę na wnuczkę. Elizabeth poczuła delikatną pieczęć znajomych palców na swoim ramieniu i cichutko westchnęła. Zupełnie swobodnie podszedł bliżej i nie było nic bardziej naturalnego, jak przysunąć się do niego i schronić za osłoną potężnego, silnego ciała.

Edwina opowiadała o burzy, która zbiła płatki z jej ulubionych pąsowych róż, co pozwoliło Elizabeth wziąć się w garść. Nie chciała, by Ross uznał ją za osobę, która nie potrafi się zachować w towarzystwie i umie jedynie milczeć, drżąc przyklejona do jego boku.

Wkładając w to wszystkie swoje siły, Elizabeth zrobiła maleńki krok w tył.

Tymczasem podszedł do nich elegancko ubrany, przystojny mężczyzna, który okazał się starszym bratem Rossa. Baron Luke Ramsden był tak podobny do brata, że nie było wątpliwości co do łączącego ich pokrewieństwa.

Elizabeth była przekonana, że wszyscy patrzą na nią i na Rossa, a jej onieśmienie i to, że wciąż wisi u jego ramienia tylko pogłębia zaciekawienie obserwatorów. Gardziła sobą za tę bojaźliwość, ale na razie nie umiała jeszcze odsunąć się od mężczyzny którego bliskość sprawiała jej ulgę i dawała poczucie bezpieczeństwa.

- Nie denerwuj się, kochanie - rzekł z ogromną czułością w głosie, patrząc na nią ze zrozumieniem.

O nie! Tego już za wiele! Nikt nie będzie się nade mną litował! A już na pewno nie on! - pomyślała i natychmiast przybrała urażoną minę. Już miała go skarcić, ale słowa nagany zamarły jej na ustach. Dyskretna pieszczota jego palców znów dokonała cudu. Patrząc mu w twarz, zrozumiała, że spodziewał się kąśliwej uwagi z jej strony. Milczała głównie dlatego, że jego „kochanie” sprawiło jej przyjemność. Nawet jeśli było tylko zwykłym pochlebstwem.

- Widzę, że powoli dochodzisz do siebie. Wyglądasz już prawie tak, jak ta jędzowata damulka, którą kiedyś poznałem i pokochałem - powiedział z kpina, która wydała się jej nie do końca szczerą.

- Wybacz, że kiedy przedstawiałeś mnie swojemu bratu, zachowałam się jak idiotka - szepnęła, z trudem odrywając oczy od jego spojrzenia. Za wszelką cenę chciała wyglądać na pewną siebie i wyrobioną towarzysko. Potrząsnęła jasnymi lokami i szybko mówiła dalej: - Rzadko bywam w towarzystwie i trochę wyszłam z wprawy. Prawie nie wychodzę z domu. I nie lubię, kiedy mi się tak przyglądają - zakończyła, czując, że się rumieni.

- Nikt z tu obecnych nie ma wobec ciebie złych zamiarów, a dziś wyglądasz tak ślicznie, że po prostu nie można na ciebie nie patrzeć. Nawet mnie, choć jestem przyzwyczajony do twojej urody, na chwilę zaparło dech, kiedy weszłaś.

Czując na sobie jego taksujące spojrzenie, odruchowo uniosła rękę do dekoltu, jakby chciała zasłonić przed jego oczami gwałtownie falujące w oddechu piersi.

Ross położył sobie na ramieniu jej dłoń i odwrócił się w stronę salonu, a Elizabeth mogła stwierdzić, że nikt na nich nie patrzy i w ogóle nie zwracają niczyjej uwagi.

- Chodź, chcę cię szybko wszystkim przedstawić, a potem musimy chwilę porozmawiać na osobności. - W głosie Rossa nie było już poprzedniej czułości.

Poczuła, że ogarnia ją chłód. No cóż, najwyraźniej teraz, kiedy już była spokojna i można ją było bez wstydu przedstawić gościom, przyszła pora na interesy. Bo przecież bez względu na to, jak jej w tej chwili nadszkwiał i jaki był rycerski, nie łączyła ich miłość.

Kiedy Stratton zapraszał ją na kolację, była pewna, że jej obecność będzie zaszczytem dla niego i dla jego gości. Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest na odwrót. Wcale mu nie zależało, by ci dystyngowani i wpływowi ludzie zaakceptowali ją, nim on się oficjalnie zdeklaruje. Miała tylko odegrać rolę miłej i zgodnej przyszłej żony. Duma i oburzenie doszły do głosu, ale dziś musiała się z tym pogodzić. Liczyła na to, że Ross także zachowa się jak dżentelmen i zwróci jej naszyjnik.

Odetchnęła głęboko i uniosła głowę. Teraz była gotowa poznać siedzące na kanapie damy. Przeniosła wzrok i dostrzegła turkusowe oczy kobiety, z którą Ross robił zakupy.

Ross rzeczywiście szybko się uwinął i zaledwie w ciągu kwadransa zdążył ją wszystkim przedstawić. Elizabeth była przejęta i wzruszona życzliwym, ciepłym przyjęciem, z jakim się spotkała. Nikt jej nie obmawiał ani nie obrażał, choć zauważyła, że mężczyźni dyskretnie dali znać Rossowi, że w pełni akceptują jego wybór. Wszyscy byli tacy wytworni, elegancy i wyjątkowo urodziwi. Nawet jego sześćdziesięcioletnia matka była nadal atrakcyjną kobietą. Elizabeth pomyślała, że Jeszcze nigdy w życiu nie znajdowała się w towarzystwie aż tylu pięknych ludzi.

Stojąc przy drzwiach, które tak niedawno przekroczyła, usłyszała za sobą nosowy głos kamerdynera, który przerwał jej przyjemne rozważania.

- Pan Guy Markham.

Zdyszany Guy wbiegł do salonu i od razu dostrzegł przyjaciela, stojącego tuż przy drzwiach.

- Wybacz, że się spóźniłem. Prawie zламаłem oś w powozie - zaczął się usprawiedliwiać Guy, aż nagle dostrzegł, kto stoi obok Strattona.

- Lady Elizabeth Rowe! Wcale się pani nie zmieniła od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy! Jak się pani ma? - zawołał i uniósł do ust jej dłonie.

- Dobrze, dziękuję - odparła uprzejmie, skłaniając lekko głowę. Miała ochotę zapytać Guya o to samo, ale nie zdążyła, bo Ross wyciągnął ją na korytarz, nie zwracając uwagi na oburzone spojrzenie kamerdynera, który właśnie zamykał drzwi. W ostatniej chwili Ross odwrócił się jeszcze przez ramię i zawołał do przyjaciela:

- Weź sobie coś do picia i porozmawiaj z moją matką.

- Dobrze - odparł rozbawiony Guy, patrząc, jak przyjaciel znika za drzwiami.

Kiedy Dawkins zamknął drzwi, poinformował Rossa, że obiad jest gotowy i można podawać do stołu.

- Jeszcze nie teraz. Powiem ci, kiedy macie podawać. - Dawkins skłonił się i bez słowa odmaszerował korytarzem.

Czując, że Ross się jej przygląda, Elizabeth spojrzała na niego z ciekawością, ale szybko spuściła wzrok, widząc, z jakim trudem nad sobą panuje. Chciała wrócić do salonu, ale zagroził jej drogę, a potem ujął ją za rękę i poprowadził korytarzem do innych drzwi, które przed nią otworzył, i gestem poprosił, by weszła do pokoju.

Powściągliwość, z jaką ją traktował, obudziła w niej obawy, ale wiedziała, że jeśli ma dzisiaj odzyskać naszyjnik, musi z nim chwilę porozmawiać na osobności. Ściany pokoju pokrywały półki z książkami, a pod oknem stało ogromne biurko.

Odwróciła się do Rossa, czując, że serce wali jej jak oszałałe.

- Wiem, że moja reputacja i tak już jest zszargana, i że sama kiedyś zaaranżowałam takie spotkanie we dwoje, ale uważam, że mając towarzystwo, nie powinniśmy się tak wymykać...

Ross milczał i stał z założonymi na piersi rękami, opierając się plecami o drzwi.

- Jestem na ciebie bardzo zły - powiedział w końcu.

Ten wygłoszony spokojnie i bez złości komunikat sprawił, że odebrało jej mowę. Była pewna, że wybaczył jej początkowe zakłopotanie i panikę. Najwidoczniej jednak nie miała racji, a bezduszny sposób, w jaki jej to rzucił prosto w twarz... Przygryzła wargę, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

- Jesteś mi znowu winna przeprosiny, moja droga. Elizabeth chciała coś odpowiedzieć, ale upokorzenie odebrało jej głos. Była pewna, że Ross nie chciał, by jego przyjaciele dowiedzieli się, że został przechytrzony przez podstępną, starą kobietę, i przyprowadził Elizabeth tutaj, chcąc poprosić, aby nie wyjawiała obrzydliwych powodów ich zaręczyn.

- Już przeprosiłam - wykrztusiła. - Nie miałam zamiaru wprawiać cię w zakłopotanie swoim zachowaniem. Ale to sobie narobiłam wstydu, nie tobie. Jeśli jednak chcesz jeszcze raz usłyszeć moje przeprosiny, proszę. Przepraszam. Przepraszam, że w ogóle tu dzisiaj przyszłam.

- Ach, rozumiem - powiedział Ross. - Ale nie o to mi chodziło. Nie przeszkadza mi to, że czujesz się niepewna czy zagubiona. Wręcz przeciwnie, podobało mi się, kiedy szukałaś we mnie oparcia. To było takie urocze.

- A więc o co? - szepnęła, nie umiając ukryć zaskoczenia, jakie wzbudziły w niej jego słowa.

- O co? - Ross oderwał się od drzwi. - O pewne nieprzyjemne i nużące spotkanie, na które nie raczyłaś się stawić. Wiesz, o czym mówię? Miło mi też usłyszeć, że wstydzisz się za swoje dzisiejsze zachowanie, bo wstydzisz się, prawda?

Słyszac tak ostrą krytykę, Elizabeth cała aż się zjeżyła.

- Nie, nie wstydzę się - warknęła.

- Mieliliśmy omawiać sprawy związane ze ślubem, ale ty celowo się spóźniłaś, bo pomyślałaś, że kobieta, z którą mnie widziałas w sklepie, jest moją kochanką.

- Wcale tak nie pomyślałam! - zawołała, rumieniąc się jak rak, bo nie tylko kłamała, ale w dodatku okropnie się wstydziła, że wzięła bratową Rossa za kobietę lekkich obyczajów.

- W takim razie dlaczego cię nie było?

- Zdarzyło się coś, co mnie zdenerwowało. A poza tym miałam ważniejsze sprawy na głowie!

Tym razem w zasadzie mówiła prawdę. Spotkanie z Cadmore'em rzeczywiście wyprowadziło ją z równowagi, a potem razem z Sophie zastanawiały się, jak zdobyć pieniądze na ratowanie Jane. Uwolnienie nieszczęsnej kobiety z rąk Leacha było znacznie ważniejsze niż dyskusja z tym... mężczyzną nad ich małżeńskim kontraktem!

- Cóż to za wydarzenie tak cię zdenerwowało? - zapytał Ross, podchodząc bliżej.

- To sprawa prywatna.

- Możesz się nią podzielić ze swoim przyszłym mężem. Już ci mówiłem, że problemy mojej narzeczonej nie są mi obojętne.

- Nie nalegaj, proszę. Są sprawy, z którymi sama muszę sobie dać radę.

- Czy plątanie się po slumsach Wapping też do nich należy? - zapytał, przyglądając się jej badawczo.

- Jak najbardziej.

Wzrok Rossa błędził po jej biodrach i piersiach, ale nie spróbował jej dotknąć.

- Sam nie wiem, jakim cudem udaje mi się utrzymać ręce przy sobie. - Ross zacisnął pięści i schował ręce za plecami.

- Istnieje jednak ryzyko, że jeśli dalej będę się tak powstrzymywał, kiedyś nie wytrzymam i rzucę się na ciebie - powiedział i, wbijając ręce w kieszenie, przeszedł na drugi koniec pokoju. - Zaczniemy jeszcze raz. Czy to Cadmore cię wtedy zdenerwował?

Elizabeth milczała, ale zdradził ją głęboki rumieniec, który wypełził na jej twarz.

- Odezwał się do ciebie? Obraził cię? Widziałem go w sklepie i wyraźnie się mnie obawiał. Powiedziałaś mu o naszych zaręczynach?

- Nie. Dlaczego miałabym mu o tym mówić? - zapytała zaskoczona. - Umiem sobie radzić z Cadmore'em, robię to już niemal od dziesięciu lat - dodała szybko, widząc, że Ross wszystkiego się domyśla.

- Wiem, że Cadmore nie daje ci spokoju. Widziałem też, że jego zaczepki wyprowadzają cię z równowagi. Co takiego ci powiedział?

Odwróciła wzrok, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła. Nie chciała wracać do rozmowy z Cadmore'em. Na samą myśl o tym obrzydliwym człowieku robiło się jej niedobrze. - Chcę wiedzieć...

- Naprawdę nic takiego. - Zaśmiała się nerwowo. - Na pewno wiesz, co mężczyźni mówią kobietom w takich sytuacjach, a Cadmore nie jest zbyt oryginalny.

- Nie wiem. - Ross ujął jej twarz w swoje dłonie i zmusił, by na niego popatrzyła. - Chcę wiedzieć, co ci powiedział?

Nagle, nie wiedząc czemu, Elizabeth postanowiła odpowiedzieć.

- Nazwał mnie cholerną babą i powiedział, że wkrótce nadejdzie dzień, kiedy cofnę wszystkie impertynencje i będę zebrać, by przyjął moje gorące przeprosiny. Kłął się na Boga, że będzie mnie miał, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi. To właśnie powiedział. Między innymi... Mówiłam ci, że nie jest zbyt oryginalny. Sam zwracałeś się do mnie w podobny sposób. Zadowolony? - Elizabeth się odsunęła.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś. - Twarz Rossa zmieniła się w upiorną, nieruchomą maskę.

- Czy teraz już możemy wrócić do reszty gości? - Nie.

- Co osiągniemy, pozostając tutaj? Możemy się jedynie jeszcze bardziej pokłócić.

Ross oparł się o biurko i poprosił, by do niego podeszła, ale Elizabeth nawet nie drgnęła.

- Chodź - powtórzył, a tym razem było to już polecenie wymówione tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Podeszła, ale zatrzymała się poza zasięgiem jego rąk. Pochylił się, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie, zmuszając, by stanęła między jego szeroko rozstawionymi nogami. Będąc tak blisko niego, czuła nie tylko ciepło męskiego ciała, ale także bijący od niego delikatny zapach drewna sandałowego.

- Wybacz, że kiedykolwiek odezwałem się do ciebie w ten sposób. Bardzo mi przykro, że tak się zachowałem. Chcę cię przeprosić, dopóki nie zapomnę, bo przy tobie nie tylko zapominam o różnych sprawach, ale także mówię i robię dziwne rzeczy. Przez ciebie cały mój świat wywrócił się do góry nogami. Nie pojmuję, dlaczego za chwilę mam oświadczyć moim przyjaciółom i rodzinie, że się żenię, jeśli dobrze wiem, że moja narzeczona mnie nie lubi. Jedynym wytłumaczeniem tego szaleństwa może być tylko to, że w głębi duszy mam nadzieję... że liczę, iż ona kiedyś mnie polubi. Nie chodzi o pieniądze - dodał, widząc jej spojrzenie. - Naprawdę nie chodzi o pieniądze. Nie potrzebuję ich... a w każdym razie nie tak bardzo.

Elizabeth ani na chwilę nie zapomniała, że stoi przed nią Ross Trelawney, najprawdziwszy pogromca piratów i uwodziciel, a mimo to czuła, że jej wątpliwości słabną. Dziesięć lat temu była świadkiem niektórych jego dzikich hulanek, a o wielu innych słyszała. Nie dalej jak kilka dni temu babci wymknęło się coś o jego kochance, wampowatej brunetce. Ciekawe, ile tak naprawdę ich miał? Niedawno sam nazwał siebie zatwardziałym rozpustnikiem i łajdakiem bez serca, jak więc mógł teraz oczekiwać, by uwierzyła, że ją kocha? Dużo łatwiej było przyjąć, że ktoś taki, chcąc odzyskać pieniądze, ożeni się ze skompromitowaną skandalem starą panną. Dopiero co drwił z jej bezczelności, bo tak określił to, że oczekiwała od niego propozycji małżeństwa, a potem z całą bezwzględnością opisał jej, jakie ma inne możliwości.

- Jeżeli chodzi ci o mnie, a nie o zwrot długu, oddaj mi naszyjnik - zaryzykowała.

- I co z nim zrobisz, jeśli ci go oddam? Dasz go temu draniowi, mając nadzieję, że uwolni twoją przyjaciółkę? Życie nie jest aż takie proste, Elizabeth.

- To nieprawda! Wiem, że oszukujesz. Tak samo jak wtedy, gdy mówiłeś, że nie chodzi ci o mój posąg. Pamiętam, że groziłeś i mnie, i mojej babci, a teraz, kiedy już wiesz, że musisz się ożenić, aby dostać pieniądze, zacząłeś udawać, że ci na mnie zależy. Jesteś tak samo wyrachowany i cwany jak Edwina, ale tobie, w przeciwieństwie do niej, nic nie zawdzięczam. Wcale mnie nie lubisz! I nie kłam!

- Dobrze. Skoro chcesz w ten sposób... Kieruje mną żądza i chciwość i dlatego dziś wieczorem oddam ci naszyjnik tylko pod warunkiem, że mnie pocałujesz. To niewiele za taki piękny klejnot, ale ponieważ mam dom pełen gości i nie chcę gorszyć matki, resztę zapłaty odbiorę sobie kiedy indziej. Potem pójdziemy na kolację i będziemy udawać szczęśliwych, a ja ogłoszę nasze zaręczyny i zaproszę wszystkich na ślub, który odbędzie się za trzy tygodnie.

- Nie.

- Nie?

- To za szybko...

- Nie dla mnie. Będzie tak, jak powiedziałem.

- Przynieś naszyjnik.

- Najpierw mnie pocałuj - zażądał, stojąc z zamkniętymi oczami.

Z zachwytem wpatrywała się w jego długie i zakręcone, ciemne rzęsy i mocno zarysowane brwi. Patrzyła na szerokie czoło i błyszczące pukle brązowych włosów, na prosty duży nos i ładnie wykrojone, dość wąskie usta. Ogarnęła ją chęć, by dotknąć palcem dołka w jego brodzie i sprawdzić, jak szorstka jest jego wygolona twarz, ale się powstrzymała. Ross oddychał spokojnie, najwidoczniej w ogóle go nie

obchodziło, czy spełni jego polecenie, czy nie. Mogła uciec, ale wracając do salonu, straciłaby szansę na odzyskanie naszyjnika i na uratowanie Jane. A tego zrobić nie mogła. Naszyjnik był jedyną szansą na wolność dla Jane i jej synka. To było takie proste!

- Jaki to ma być pocałunek?

- Jak to jaki? - Ross spojrzał na nią zaskoczony.

- Dla mnie czy dla ciebie?

Ross zrozumiał. Uśmiechnął się cierpko i, wpadając w jej ton, odpowiedział.

- Dla nas... Elizabeth.

Powoli uniosła ramiona, jakby chciała go dotknąć, ale opuściła je niepewnie i zacisnęła usta.

- Stamtąd nie sięgniesz. Podejdź bliżej. - Ross patrzył jej w oczy.

Zbliżyła się i, stając między jego szeroko rozstawionymi nogami, niechcący musnęła dłońmi jego silne uda. Ten dotyk tak ją zakłopotał, że gwałtownie zrobiła krok do tyłu i straciła równowagę, a kiedy próbowała oprzeć się o biurko, niemal upadła na Rossa i chwyciła się jego ramienia, zamykając ze zgrozą oczy.

- Przepraszam, ale nie jestem w tym zbyt dobra - wyjąkała. - Minęło dużo czasu, od kiedy ktoś podobał mi się na tyle, żebym go chciała pocałować. To było... bardzo dawno temu.

- Masz na myśli Haveringa?

Bliskość Rossa i ciepło jego ciała podziałały na nią kojąco. Mogłaby tak zostać dłużej, ale wiedziała, że jemu nie chodzi przecież o to, żeby stała przytulona do jego ramienia. Nie przejmując się gośćmi w salonie, czekał, by uległa jego żądzy.

- Tak - odparła.

- Ożenił się - poinformował ją obojętnym tonem Ross.

- Wiem. - Odsunęła się od niego, chcąc zmienić temat. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli sam mnie pocałujesz. Będzie szybciej i tak jak lubisz. Goście na pewno nie mogą się już doczekać kolacji. Edwina liczy na jakieś piętnaście dań i ma nadzieję, że będzie między nimi łoś, bażant i jej ulubiony deser śmietankowy... - Nagle urwała i patrząc na śnieżnobiały krawat ostro kontrastujący z ciemną brodą Rossa, pochowała go w usta.

Pocałunek był nieśmiały, delikatny i bardzo krótki. Zakłopotana swoim brakiem doświadczenia, pomyślała, że dla Rossa musi to być strasznie nudne, wysunęła więc czubek języka, tak jak on to kiedyś zrobił i leciutko dotknęła jego ust. Poczowała, że rozsunął wargi i skamieniała, nie wiedząc, co dalej robić. Na pewno od dawna nie zapragnął kobiety, która okazała się tak niezdarna i niedoświadczona jak ja. A ta jego wampowata Cecily Booth na pewno całuje inaczej, pomyślała żałośnie i szybko odeszła kilka kroków.

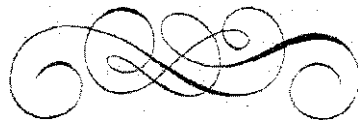
- Poproszę naszyjnik - zażądała chłodno, choć palił ją wstyd. Wiedziała, że jeśli Ross wyśmiej jej żalosalne wysiłki i powie, że nie zasłużyła na zwrot klejnotów, ucieknie nie tylko z tego pokoju, ale z jego domu.

Usłyszała wysuwanie szuflady i jego kroki za plecami. Niespodziewanie poczuła na szyi chłodne palce Rossa, a potem znajomy ciężar zimnego, złotego naszyjnika.

- Dziękuję - szepnęła, dotykając palcami ozdoby, którą ostatnio nosiła na balu debutantek.

Ross ujął ją za ramiona i odwrócił do siebie, a potem czule i delikatnie pocałował. Wiedziała, że to jest pocałunek dla niej, i z radością poddała się zmysłowej pieszczocie. Objęła go za szyję, wplotła palce w ciemne włosy i oddała pocałunek, pozwalając, by ogarnęła ją zmysłowa rozkosz. Kiedy Ross cofnął głowę, oparła policzek o jego ramię i z zamkniętymi oczami cieszyła się jego bliskością.

- Uwierz mi, naprawdę cię lubię - powiedział miękko, głaszcząc ją po głowie, a kiedy oszołomiona spojrzała na niego, wziął ją za rękę i wyprowadził z pokoju.



Rozdział jedenasty

Edwina była jedynym członkiem rodziny Elizabeth obecnym tego wieczoru. Elizabeth cieszyła się, widząc, że babcia jest szczęśliwa. Czuła, że dzisiejszy wieczór i radość, jaką sprawiła babci, jest w pewnym sensie zadośćuczynieniem za lata opieki i miłości, których Edwina, jako jedyna krewna, jej nie odmówiła. Matka ojca, wdowa po markizie, nigdy nie darowała Elizabeth hańby, jaką okryła wspaniałe nazwisko Thorneycroftów, i od czasu skandalu sprzed dziesięciu lat traktowała ją z pogardą, ki serce nie zmiękło nawet na widok rozpacz, z jaką Elizabeth opłakiwała ukochanego ojca.

Kolacja była niezwykle wystawna. A kiedy wszyscy zasiedli przy ogromnym stole, dało się wyczuć atmosferę oczekiwania. Elizabeth jadła niewiele i nie mogła sobie przypomnieć, co to było.

Słuchała, jak Ross płynnie i swobodnie przemawia, ale choć rozwodził się nad łączącym ich głębokim uczuciem, w rzeczywistości wcale nie użył tych słów. Wszystko, co mówił, było okrutnie dwuznaczne, ale mimo to Elizabeth nie mogła odmówić jego słowom subtelności i ukrytych znaczeń, które zrozumieć mogła tylko ona. Musiała przyznać, że był nie tylko elokwentny, ale posiadał także niezwykle talent oratorski. Wspominając o przyszłych dzieciach, które jasną karnacją będą zawdzięczać matce, sprawił, że zarumieniła się, a wszyscy się roześmiali. Po tej publicznej deklaracji, że chce mieć z nią dzieci, i po licznych zachwytach nad szczęśliwym losem, który ich zetknął, kobietom łzy wzruszenia zamglily oczy, a mężczyźni popatrywali na niego z pełnym zrozumieniem. Nawet w leciutkim skinieniu głowy jego matki Elizabeth dostrzegła szczerą radość i pełną aprobatę.

Tylko ona jedna wiedziała, że tak naprawdę chodzi wyłącznie o pieniądze, które zapisała jej babka. Ross dał jej jasno do zrozumienia, że gotów jest wziąć jej posag i jej ciało. Nie miał żadnych zastrzeżeń... ale może ona miała...

Ironia losu sprawiła, że Ross tylko wydawał się taki wspaniały, silny, przystojny, dowcipny i dobrze wychowany. Elizabeth wiedziała doskonale, że to jedynie pozór i fałsz.

Oddając jej naszyjnik, otwarcie powiedział, że oczekuje, iż wkrótce zaspokoi jego pożądanie, a potem pocałował ją czule i delikatnie, jakby specjalnie chciał z niej zadrwić. Uparcie twierdził, że ją lubi, nie przestawał jednak dokuczać jej i dręczyć słowem i spojrzeniem. Upierał się, że pieniądze nie są dla niego najważniejsze, choć ledwie przed kilkoma dniami spędził kilka godzin, targując się z Edwiną o warunki, na jakich miał otrzymać kwoty z jej posagu.

Była niedziela, ale Elizabeth nie czuła się na siłach stanąć twarzą w twarz z Hugh. Wiedziała, że jeśli się z nim spotka, powie mu o swoich zaręczynach, a nie była jeszcze gotowa na taką rozmowę. Poprosiła więc Edwinę, by przekazała pastorowi, że cierpi na migrenę i nie pomoże mu dzisiaj w niedzielnej szkółce. Czuła się jak tchórz, bo opuściła nie tylko biedne dzieci, ale także Jane i jej synka.

Przyglądała się zza firanek, jak nieduży powozik pastora znika za zakrętem. Jej własne zachowanie irytowało ją i napęniało niesmakiem. Nie złożyła jeszcze przysięgi małżeńskiej i dopiero od dwóch dni była zaręczona, a już zaczęła się podporządkowywać woli Rossa.

- Nie życzę sobie, żebyś się zajmowała ladacznicami z East Endu. I nie chciałbym się dowiedzieć, że mimo mojego wyraźnego sprzeciwu, znowu to robisz - szepnął jej na pożegnanie, gdy już wychodziły z Edwiną po kolacji.

- A ja życzyłabym sobie, żebyś się zajął swoimi własnymi ladacznicami - odparła nonszalanckim tonem, bo nie zamierzała zostawić Jane na łasce losu. Tym bardziej teraz, kiedy miała coś, czym mogła opłacić wolność przyjaciółki, nie będąc zmuszona do rozstania się z naszyjnikiem matki.

Zamyślona popatrzyła na oślepiająco błyszczący, ogromny brylant na swoim palcu. Kiedy go dostała, była zaskoczona. Podczas drogi powrotnej do salonu Ross trzymał ją za rękę, jakby nie dowierzał, że nie ucieknie i nie zrobi mu wstydu, a tuż przed drzwiami wsunął jej na palec ten pierścionek. Dopiero wtedy zrozumiała, do czego się zobowiązała i że ten dżentelmen rozbójnik zostanie jej mężem.

Pierścionek, który dostała od Rossa, został celowo zaprojektowany tak, by pasował do naszyjnika i do reszty kompletu. Był to kwiatek, którego środek stanowił ogromny, ośmiokątny brylant, a osiem wspaniałych ametystów umieszczonych wokół niego tworzyło płatki. Kształt i dobór kamieni stanowił najlepszy dowód na to, że wybór pierścionka nie był przypadkowy i że Ross poświęcił tej sprawie sporo uwagi.

Siedząc z pierścionkiem na palcu i słuchając komplementów, jakimi obsypywał ją narzeczony, z trudem powstrzymywała łzy. Nie miała już siły znosić jego hipokryzji. Dlaczego im wszystkiego nie powie? Czemu nie wyzna, że tym, co go najbardziej w niej pociąga, jest jej posag i dożywotnia pensja, wypłacana na początku każdego roku.

Zirytowana, obracała pierścionek na palcu i czekała na swojego złotoustego narzeczonego, który zapowiedział się z oficjalną wizytą na drugą po południu. Ich stosunki przybrały nagle niezwykle elegancką formę. Denerwowała ją jednak pewność, z jaką Ross zakładał, że zamiast jechać i pomagać w niedzielnej szkółce, będzie na niego czekała w domu.

Gwałtownym ruchem zerwała pierścionek z palca. Niech nie myśli, że już ją sobie podporządkował! A jutro... jutro pojedzie do slumsów i będzie się zajmowała tyloma ladacznicami, iloma się jej spodoba!

- Kiedy zamierzasz się przebrać? - Edwina popatrzyła na nią niezadowolona. - Nie możesz wyjść z wicehrabią ubrana w starą suknię, w której jeździsz do slumsów!

- Wiem...

- Nie stój tak. Ross będzie tu za parę minut. Wczoraj wieczorem wyglądałaś jak anioł. Dziś pierwszy raz oficjalnie wychodzicie razem i nie możesz wyglądać jak... jak...

- Jak kobieta, która wybiera się uczyć dzieci w niedzielnej szkółce? - odpowiedziała cierpkim tonem Elizabeth. - Jeśli tak wyglądam, to świetnie, bo w niedzielę zawsze jeżdżę uczyć biedne dzieci ze slumsów. Och, jak bardzo chciałabym, żeby Hugh wrócił pod jakimś pozorem i zabrał mnie z sobą do Wapping!

Edwina podbiegła do okna i zobaczyła powóz Strattona, zatrzymujący się przed ich domem.

- To on! I chyba zaczęło padać. Szybko załóż czarną, jedwabną pelerynę, ona wszystko zakryje. I wybierz jakiś ładny czepek...

Serce Elizabeth szybciej zabiło. Ross już przyjechał, a ona nie jest gotowa! Oczywiście nie chodziło jej o skromną suknię, tylko o stan ducha. Spojrzała na trzymany w rękę pierścionek. Przez chwilę miała ochotę ponownie włożyć go na palec, ale powstrzymała się i niedbałym gestem wsunęła do kieszeni sukni.

Po chwili Pettifer zaanonsował wicehrabiego.

- Ja go tu chwilę zatrzymam, a ty szybko biegnij się ubrać - szepnęła Edwina, ale Elizabeth jej nie słyszała, wpatrzona w postawną sylwetkę narzeczonego. Wbrew własnej woli poczuła, jak na jego widok się rumieni.

W czarnym surducie i obcisłych spodniach Ross wyglądał niezwykle elegancko. Szpilka z tygrysim okiem doskonale pasowała do jedwabnego, kremowego fularu, a śnieżnobiały, wykrochmalony kołnierzyk koszuli pięknie kontrastował z opaloną skórą. Wysokie buty z cholewami, które lśniły niczym lustro, dopełniały stroju. Przywitał się z Edwiną, a potem popatrzył na Elizabeth, na jej starą, burą suknię i cudowną jasną twarz otoczoną blond lokami. Nieprzeniknione spojrzenie jego czarnych jak agaty oczu i wyraz rozbawienia na twarzy sprawiły, że Elizabeth jeszcze bardziej się zarumieniła. Zaraz jednak dumnie uniosła głowę. Nie obchodziło jej, co sobie pomyślał na widok takiego stroju!

- Czuję się zaszczycony, lady Elizabeth - powiedział z powagą. - Widzę, że wybierając dzisiaj między mną a pastorem, stoczyłaś ze sobą zaciętą walkę. Cieszę się, że okazałaś rozsądek i wybrałaś narzeczonego.

- Wcale cię nie wybrałam! - zawołała. - I to nie ty jesteś powodem, dla którego zaniedbałam swoje prawdziwe powołanie!

- Oczywiście. Nigdy nie śmiałybym nawet tak pomyśleć... - mruknął z ironią w głosie.

Ze złości zacisnęła pięści, ale kiedy później, gdy już była gotowa do wyjścia podał jej ramię, posłusznie wzięła go pod rękę.

Postawiona buda powozu chroniła ich przed deszczem. Ross wygodnie rozparł się na miękkim siedzeniu i, trzymając lejce jedną ręką, wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Czy się mnie wstydzisz? - zapytała.

- Dlaczego miałbym się ciebie wstydzić? - Ross zmarszczył brwi.

- Myślałam, że zabierzesz mnie na przejażdżkę do Hyde Parku, albo do St James, ale jeździmy już od godziny i nawet nie zbliżyliśmy się do żadnego parku. Czyżbyś chciał jechać do Richmond?

Ross nadal milczał, więc Elizabeth zgadywała dalej.

- Domyślam się, że próbujesz unikać miejsc, gdzie ktoś ze znajomych mógłby nas dostrzec. Rozumiem twój niepokój, bo widząc nas razem, ludzie mogą się zastanawiać, co skłania tak atrakcyjnego dżentelmena, by dotrzymywał towarzystwa zhańbionej skandalem starej panie, i to takiej, która w dodatku nie potrafi się ubrać. - W głosie Elizabeth brzmiała fałszywa troska. - Nie daj Boże, jeszcze zaczną krążyć plotki, że wspomniany dżentelmen jest w rzeczywistości zwykłym parweniusem i dlatego musi się zadowolić odrzuconą przez innych starą panną.

Wicehrabia zjechał z drogi na szerokie, porośnięte trawą pobocze. Zrobił to tak gwałtownie, że Elizabeth zatoczyła się, i żeby odzyskać równowagę, musiała się o niego oprzeć. Poprawiając suknię, nerwowo rozejrzała się dookoła i dopiero teraz zauważyła, że znajdują się w pustej okolicy. Po obu stronach drogi rosły gęste, wysokie żywopłoty, a w dali majaczyła ciemna ściana lasu. To, co widziała, zupełnie nie przypominało sielankowych, pięknie utrzymanych londyńskich parków. Zrozumiała, że jest na jakimś pustkowiu, a wcześniej nie zwróciła na to uwagi, bo myślała o Jane i o tym, że ją zawiodła, i oczywiście o wszystko obwiniała Rossa.

Czując, jak mocno bije jej serce, posłała mu wrogie spojrzenie, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Rozparty na siedzeniu, patrzył na nią w sposób, który ani trochę nie uciszył ogarniających ją na przemian lęku i złości będących powodem jej wcześniejszych sarkastycznych i niemądrych uwag. Wiedziała, że zamiast czynić złośliwe przytyki temu niebezpiecznemu człowiekowi, którego duszy nie potrafiła zgłębić, powinna być teraz w slumsach i w towarzystwie pastora uczyć dzieci w niedzielnej szkółce. Nie umiała odgadnąć, czy Ross nadal rozpamiętywał ich kłótnię, do której doszło podczas wieczoru, kiedy to poinformował rodzinę o zaręczynach. A może nadal był zły, że specjalnie nie przyszła na spotkanie, w trakcie którego mieli omawiać sprawy związane ze ślubem? Z jego twarzy nie można było nic wyczytać. Doświadczenie nauczyło ją, że miły i czuły wicehrabia, w oka mgnieniu mógł się zmienić w złośliwego, groźnego przeciwnika.

- Dokąd mnie przywiozłeś?

- Za miasto...

- Za miasto? - powtórzyła przerażona. - Proszę natychmiast zawrócić! - zawołała, ale Ross tylko się roześmiał.

- A do miasta mogę cię odwieźć? Jeśli tak, gotów jestem natychmiast z powrotem przekroczyć granicę Londynu.

Elizabeth splonęła rumieńcem i oparła się plecami o siedzenie. Uświadomiła sobie, że nadal nie wypełniła jeszcze swojej części umowy, na podstawie której Ross zwrócił jej naszyjnik. Nie mogła jednak uwierzyć, żeby był aż tak nikczemny, by przywieźć ją tu i w środku lasu wygzekwować swoje prawa. Przecież nadal był jasny dzień!

Czując na sobie spojrzenie jego niezwykle oczu, ciaśniej otuliła się peleryną.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że się mnie nie boisz.

- Nadal nie widzę powodów, dla których miałabym się bać - odparła wyzywająco nieco schrypniętym głosem.

- No właśnie. Niedługo mamy zostać małżeństwem, a mimo to wciąż odnoszę wrażenie, że w moim towarzystwie na ogół jesteś spięta i zdenerwowana. Nie chcę żony, która nie czuje się swobodnie, przebywając ze mną.

- Skoro tak, to jestem przerażona - mruknęła pod nosem.

- Na Boga! Jesteś najbardziej irytującą, małą... - Ross przerwał i spróbował ją objąć.

- Co robisz? - Elizabeth uderzyła go po ręce i, starając się od niego odsunąć tak daleko, jak to tylko było możliwe.

- Jak to co? - zapytał miękko. - Chcę pocałować narzeczoną.

- Nawet nie próbuj! - krzyknęła, unosząc rękę, wyraźnie gotowa się bronić. Rozpaczliwie wypatrywała na drodze innych powozów. - Tak czy inaczej pora zawracać, zaraz zaczną się ściemniać.

- Nie zawrócę dopóty, dopóki nie osiągnę tego, co zaplanowałem - oznajmił.

- A co zaplanowałeś? - zapytała, sztywniejąc.

- Postanowiłem z tobą porozmawiać. Spokojnie i rozsądnie, jak dwoje dorosłych ludzi. Sama wiesz, że mamy wiele spraw do omówienia i chcę to zrobić bez świadków. To miejsce świetnie się do tego nadaje. Pozwolisz, że zacznę, odpowiadając na twoje pytanie. Otóż nie wstydzę się ciebie i nie interesuje mnie, co tak zwane towarzystwo myśli o tobie albo o mnie. To banda nudziarzy i nie obchodzi mnie, czy zostanę wykluczony z ich grona, bo i tak nie mam zamiaru spędzać z nimi czasu. Moja rodzina i przyjaciele w pełni mi wystarczają. Co do twojego stroju, to tak samo jak za pierwszym razem, kiedy cię ujrzałem, celowo starasz się wyglądać mało efektownie. Twoje starania nie przyniosły jednak zamierzonego rezultatu, bo nawet w skromnej szarej sukni wyglądasz pociągająco. Prawdę mówiąc, zawsze wyglądasz ślicznie, obojętne, co masz na sobie. Tym bardziej że mnie interesuje to, co pod spodem. Mam na myśli twój charakter i osobowość - dodał z powagą, widząc jej podejrzliwe spojrzenie. - Trafnie odgadłaś, że celowo unikałem centrum miasta. Powód jest taki, że nie jestem jeszcze gotów podać naszych zaręczyn do publicznej wiadomości - wyjaśnił i zapytał po dłuższej chwili milczenia: - Chciałabyś się dowiedzieć, dlaczego?

- Mogę się domyślić.

- Tak?

- Wstydzisz się mnie.

- Czy ty w ogóle słuchasz, kiedy do ciebie mówię?

- Słucham, ale rzadko wierzę w szczerłość tego, co słyszę. Próbowала umknąć wzrokiem przed jego spojrzeniem, ale tym razem jej na to nie pozwolił. Powoli wyciągnął rękę, a ona patrzyła na nią, nie mogąc zrobić ruchu, zupełnie jak zahipnotyzowany przez węża królik. Delikatnie i czule pogładził alabastrowy policzek

- Twoja kolej. Porozmawiaj ze mną. Opowiedz mi o swojej przeszłości, a ja ci opowiem o mojej, jeśli zechcesz. Mąż i żona nie powinni mieć przed sobą sekretów.

Spodziewała się, że do tego dojdzie, choć przez krótką chwilę miała nadzieję, że może Ross okaże się inny. Jednak nie. Wszystkie jego gładkie słówka o wzajemnej trosce i zaufaniu miały na celu wyciągnięcie z niej podniecających szczegółów skandalu sprzed dziesięciu lat. Był taki sam jak wszyscy... i tak jak wszyscy chciałby wysłuchać jej relacji z tamtych zdarzeń.

- Nie chcę, żeby między nami były tajemnice - powiedział łagodnie. - Muszę wiedzieć.

- Och, jesteś taki... taki przewidywalny! Obrzydliwy rozpustnik! Jesteś taki sam jak Linus Savage i cała reszta. Chcesz wiedzieć, ilu panów próbowało ze mnie wyciągać szczegóły? Ilu błagało i było gotowych za nie płacić? Chcesz posłuchać? Nie przypuszczałeś chyba, że jesteś pierwszy, który o to pyta. Zaskoczyłeś mnie! Z twoim doświadczeniem, możesz sobie chyba wyobrazić wszystkie wstrętne szczegóły... - Elizabeth urwała, niezdolna mówić dalej. Udało się jej jednak powstrzymać łzy. Macając ręką za plecami, próbowała znaleźć klamkę i uciec, gotowa schronić się nawet w oborze, którą mijali po drodze. Kątem oka dostrzegła, że Ross się do niej przysuwa i na oślep zaatakowała go obiema pięściami.

Bez trudu unieruchomił jej ręce, lecz mimo że nie mogła ruszyć nawet jednym palcem, czuła, że nie zrobi jej krzywdy.

- Jeśli nadal masz zamiar rzucać się na mnie z pięściami, powinnaś się nauczyć, jak to się robi, bo takie wymachiwanie piąstkami jest zdecydowanie zbyt prowokacyjne i zupełnie nieefektywne.

Cały czas trzymając jej ręce, Ross pokazywał, jak powinna uderzać i jak się zasłaniać, by nie zostać trafioną, a po zakończonej lekcji, rozluźnił uścisk. Wtedy zaatakowała go z taką złością, że aż się od niego odbiła. Upokorzona i wściekła, ponownie się na niego rzuciła, ale tym razem był już przygotowany. Chwytał ją za ręce, a potem bez trudu jedną ręką przytrzymał jej obie dłonie, podczas gdy drugą delikatnie wodził po jej twarzy.

- Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz? - zapytał, uśmiechając się z żalem.

- Zabiję cię - wykrztusiła, wykręcając głowę, by uniknąć jego pieszczot. - Przysięgam, że zabiję cię przy pierwszej nadarzącej się okazji. Jeśli się ze mną ożenisz, będziesz głupcem. Nic ci nie przyjdzie z tych pieniędzy... nie zdążysz ich wydać. Równie dobrze możesz mnie od razu udusić... zanim cię zastrzelę. Mam broń...

- Ciekawe jaką?

- Jaką? - Elizabeth zamrugnęła oczami i nagle zupełnie się uspokoiła.

- Co to jest? Pistolet do pojedynków? Garłacz? Strzelba myśliwska?

- Nie wiem! Co za różnicę ci to robi? Do tego, żeby cię za- bić wystarczy. Och... zabiję cię nożem. Mam galowy, srebrny sztylet ojca. To oryginalny Jackson i wiem, że jest ostry, bo skaleczyłam się nim, kiedy miałam czternaście lat.

- Gdzie się skaleczyłaś? - zapytał czule.

- Wpadł mi z ręki i trafił w kolano - wyszeptała.

- Widzę, że ojca też nie słuchałaś. Mogę się założyć, że zabraniał ci go wyjmować z pochwy.

- Myślisz, że wszystko wiesz? - zasyczała zawstydzona, że rozmowa zeszła na tematy osobiste, i znów zaczęła się szarpać.

- Nie, ale trochę wiem i trochę się domyślam. Chciałbym resztę usłyszeć od ciebie. Na przykład, co miały znaczyć słowa Edwiny wypowiedziane tamtej nocy, kiedy cię odwozłem do domu. Twoja babcia powiedziała: „Teraz już naprawdę jest zhańbiona”. Nie wydaje ci się, że w twoim przypadku to dosyć dziwne? Dlaczego Edwina to powiedziała?

- Nie mam pojęcia - odparła chłodno, kryjąc się za maską wyniosłości. - Proszę zapytać Edwinę - zaproponowała, a potem wściekle warknęła, by puścił jej rękę.

- Chciałbym wiedzieć, czy jeśli cię puszcze, będziesz spokojna, czy też spróbujesz wydrapać mi oczy? Bo *szczerze* mówiąc, jeśli nadal muszę cię poskramiać, wolę to robić w przyjemniejszy sposób - powiedział, przywierając spojrzeniem do jej rozchylonych warg.

Elizabeth znowu spróbowała wyszarpnąć rękę i aż zatoczyła się na Rossa, który, ku jej zaskoczeniu, tym razem wypuścił jej dłonie. Przestraszona, że mógł to potraktować jako celowe działanie, szybko cofnęła rękę i położyła je spokojnie na kolanach.

- Bardzo dobrze. - Uśmiechnął się. - Widzisz, jakie to proste?

- Nienawidzę cię - wycodziła.

- Nieprawda.

- Prawda!

- Nie, to niemożliwe. Moja matka powiedziała, że jesteś dla mnie wprost stworzona.

- Rozmawiałeś o mnie ze swoją matką?

- A nie powinienem? Niedługo staniemy się rodziną. Jej zdaniem jesteś urocza, słodka, doskonale wychowana i piękna. Dokładnie taka jaka powinna być moja żona.

Ross z niej kpił. Słyszała ironię w jego głosie i widziała drwiący uśmiech. Dobrze wiedziała, że tamtego wieczoru nie popisała się świetnymi manierami, kiedy więc usłyszała opinię jego matki na temat swojego dobrego wychowania, zarumieniła się.

- Podziękuj matce za miłe słowa - odparła zakłopotana. - Ona też mi się spodobała. Tak samo pozostali członkowie twojej rodziny i twoi przyjaciele. Masz szczęście, choć przyznaję, że jestem trochę zaskoczona - przyznała.

- Cieszę się, że ich polubiłaś. Wszystkim bardzo się spodobałaś i mam nadzieję, że niedługo będzie to także twoja rodzina. A gdzie pierścionek? - zapytał, ujmując jej lewą dłoń.

- Włożyłam go do kieszeni. Jest za luźny i bałam się, że mogę go zgubić. Poza tym uznałam, że nie byłoby rozsądnie świecić nim w Wapping.

- Słusznie. Tak samo jak nierozsądnie byłoby się tam udać wbrew moim zakazom. Wezmę go i każę zmniejszyć. - Ross wyciągnął rękę po pierścionek.

Błyskawicznie wyjęła go z kieszeni i położyła na jego otwartej dłoni.

- Nie podoba ci się ten pierścionek? - zapytał.

- Oczywiście, że mi się podoba. Jest wspaniały, ale...

- Ale to ja ci go dałem. Gdybyś dostała go od Haveringa, nie zdjęłabyś go za nic w świecie. Wciąż o nim marzysz? - zapytał, gdy Elizabeth uparcie milczała, a potem powoli wsunął jej pierścionek z powrotem na palec.

- Oczywiście, że nie - odparła, wpatrzona w błyszczący klejnot.

- Nie znam twoich uczuć, Elizabeth. Skąd mam wiedzieć, co do niego czujesz, skoro nigdy o tym nie mówisz. Widzę jedynie zranioną małą dziewczynkę, której bronią jest duma i wyniosłość. Porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co przeżywasz. Podziel się także ze mną swoimi myślami.

Desperacja brzmiąca w głosie Rossa wstrząsnęła nią do głębi. Wydawał się szczerze przejęty. Zupełnie jakby chciał ją pocieszyć, uciszyć jej ból. Jednak lata ukrywania cierpienia sprawiły, że odruchowo przybrała jeszcze bardziej wyniosły wyraz twarzy.

- Wolę słuchać, kiedy ty mówisz. Skąd mam wiedzieć, co czujesz do Cecily Booth, skoro nigdy o tym nie wspomniałeś? Dlaczego nie chcesz o niej ze mną porozmawiać?

- Co chciałabyś wiedzieć?

Nie przypuszczała, że Ross będzie miał z nią ochotę rozmawiać o swojej kochance, Młode damy, nawet te ze zrujnowaną reputacją, oficjalnie nie przyjmowały do wiadomości istnienia ladacznic, z którymi mężczyźni utrzymywali bliskie stosunki. Oczekiwała raczej, że Ross wpadnie w złość i odwiezie ją do domu. Skoro jednak chciał mówić, zdobyła się na beztroską minę i popatrzyła obojętnie w jego zmrużone oczy.

- A co powinnam według ciebie wiedzieć?

Zamyślił się, ale nie było po nim widać żadnych emocji.

- Cecily jest ładna, lecz daleko jej do twojej klasycznej urody. Jest od ciebie kilka lat młodsza i kilkadziesiąt lat bardziej dojrzała... i bardziej doświadczona...

Elizabeth poczuła ten sam dojmujący ból, który poznała, widząc Rossa w towarzystwie Rebecki, kiedy myślała, że są kochankami. Nie chciała już słyszeć ani słowa więcej, ale przecież sama zapytała, a Ross po prostu odpowiadał na jej pytanie. Musiała to przerwać.

- Wydaje się, że Cecily jest idealna! - krzyknęła wzburzona. - A skoro nie jesteś łowcą posagów, to uważam, że powinieneś się ożenić nie ze mną, ale z nią.

Ściągnęła pierścionek z palca i już miała nim rzucić w Rossa, ale dostrzegła w jego oczach ukryty tryumf. Rozwścieczyło ją to, bo rozumiała, że doskonale wiedział, jak bardzo przejmowała się innymi kobietami w jego życiu. Powoli wysunęła rękę w jego kierunku i upuściła pierścionek na skórzane siedzenie. Zdołała się nawet niefrasobliwie uśmiechnąć, a potem dumnie uniosła głowę i z dużym zainteresowaniem zaczęła oglądać wszystko, co tylko mogła dostrzec z powozu.

- Dlaczego uważasz, że Cecily jest idealna, i że to ją powinienem poślubić?

Czemu nie dawał jej spokoju? Czy nie widział, że nie jest partnerką do takich rozmów? Kolejny raz zachowała się głupio i zaczęła dyskusję, która przerastała jej możliwości. Nie mogła go pokonać ani w walce na pięści, ani na słowa, ale udawanie obojętności, podczas gdy on wyliczał zalety swojej kochanki, przekraczało jej możliwości. Ross jednak był bezwzględny i dalej opisywał Cecily, podkreślając, że Elizabeth jest bardziej wyrafinowana.

- Odwieź mnie do domu. Nie czuję się dobrze. Już wcześniej bolała mnie głowa - poprosiła cicho, zamykając oczy.

Zrozumiała, że zrobiła z siebie idiotkę.

- Boli cię?

Nie wiedząc, o co pytał, zwlekała z odpowiedzią. A potem uświadomiła sobie, że dwuznaczność jego pytania była celowa. W ten sposób pytał o wszystko. O Cecily i o dawnego niedojrzałego zalotnika, który ją opuścił, o wykluczenie z towarzystwa. Czy to bolało? Tak, bolało, chciała zawołać, ale tylko zmarszczyła brwi i kiwnęła głową. Niech sobie myśli, co chce.

Ross objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Tym razem nie protestowała i oparła mu głowę na ramieniu, pozwalając, by gładził ją po szyi.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinnaś wiedzieć o miss Booth... - Ross urwał i przytrzymał ją mocniej, jakby oczekiwał, że będzie próbowała się wyrwać. - Zrozum, że nie mówię tego wszystkiego, żeby wzbudzić twoją zazdrość. Choć przyznaję, że sprawia mi przyjemność, iż nie jestem ci aż tak obojętny, jak próbujesz to okazywać. Ciągłe o tobie myślę, chcę się o ciebie troszczyć i bronić cię, ale to wszystko spadło na mnie nagle i zupełnie zmieniło moje życie, że wciąż jestem oszołomiony. A jeśli chodzi o pannę Booth, to rozstałem się z nią już jakiś czas temu. Twój informator miał przestarzałe wiadomości.

- Nie musisz mi o tym mówić... nic mnie to nie obchodzi...

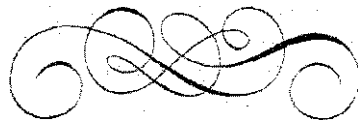
- Wiem, że nie muszę - odparł sucho. - Każdy wie, że nie jest to temat, na który mężczyzna chętnie rozmawia ze swoją przyszłą żoną, ale sama o nią zapytałaś, a ja nie chciałem, żebyś się dodatkowo martwiła taką błażostką.

I dla podkreślenia, że jest jego narzeczoną, jeszcze raz wsunął jej pierścionek na palec, a potem zamknął jej dłoń, jakby próbował go w ten sposób zabezpieczyć przed zdejmowaniem.

Elizabeth chwyciła go za ramiona i popchnęła na oparcie siedzenia. Patrząc mu w oczy, czuła, że wzruszenie ściska ją za gardło. Czuła, co chciał jej powiedzieć, i wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jego słowa... Patrzyła na jego usta, widziała, jak się rozchylają i powoli zbliżają do jej warg.

A potem Ross pocałował ją tak czule, że nie mogła się powstrzymać, by nie oddać pocałunku. Dała się ponieść fali słodkiej namiętności, na pocieszenie powtarzając sobie w myśli słowa, których nikt jej nie mówił od dziesięciu lat, a które teraz od niego spodziewała się usłyszeć.

Kocham cię Elizabeth... kocham cię...



Rozdział dwunasty

W zachowaniu Rossa było coś, co niepokoiło Luke'a.

Usiadł na ławce, rzucił na ziemię swój floret i zdjął z twarzy maskę. Szybko wytarł spoconą twarz i włosy i z powrotem zaczął obserwować brata. Ross miał wyraźną przewagę nad przeciwnikiem i najwyraźniej zmierzał do zakończenia turnieju. Pewne, silne pchnięcia, oszczędne, ale zabójczo skuteczne spychały drugiego szermierza z areny. Jeszcze ostatnia riposta i czubek klingi Rossa dotknął muskularnej szyi pokonanego. Henry Bateman, który był doskonałym szermierzem, uniósł ręce i z uśmiechem wzruszył ramionami. Zawodnicy oddali sobie honory i uścisnęli dłonie, a potem Ross podszedł do brata.

- Dobry atak - stwierdził Luke swobodnym tonem. - Kilka razy przedarłeś się przez jego obronę. Cieszę się, że zapięcie wytrzymało, bo nacierałeś jak szalony. Mam nadzieję, że nie trenujesz w żadnym konkretnym celu?

Ross w milczeniu zdjął maskę i ruchem głowy odrzucił włosy z twarzy. Potem odetchnął głęboko, zsunął rękawice i wytarł pot zalewający mu oczy.

- Nie trenujesz w konkretnym celu, mam nadzieję? - powtórzył Luke, próbując zwrócić na siebie uwagę pograżonego w rozmyślaniach brata.

Ross obrzucił Luke'a nieobecny spojrzeniem i uśmiechając się, usiadł na ławce. Po chwili podszedł do nich z kubkiem w dłoni Guy Markham, który właśnie zakończył walkę i czekał na rozstrzygające turniej starcie tytanów: Dickiego Du Quesne i Davida Hardinge'a.

Czując na sobie zaniepokojone spojrzenie brata, Ross uśmiechnął się do niego i błysnął oczami.

- O co chodzi, Ross? - Luke czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Nie martw się. To nic ważnego.

Luke patrzył na mokre od potu, skręcone włosy brata i na jego doskonały profil. Zmysłowe, pięknie wykrojone wargi, długie rzęsy, wysokie kości policzkowe - ktoś, kto go nie znał, mógłby pomyśleć, że to istny cherubin... - Luke uśmiechnął się do siebie. On jednak znał swojego brata wystarczająco dobrze, by nie pozwolić się zwieść jego wyglądowi. Znał go lepiej niż ktokolwiek inny.

Dziewiętnaście lat temu, podczas utarczki ze swoim śmiertelnym wrogiem, ich ojciec Jago Trelawney został ranny i zginął. Wtedy właśnie Luke, który został głową rodziny, uznał, że najwyższy czas zakończyć nielegalny proceder, który z dużym powodzeniem uprawiał jego ojciec. Jeżeli chodziło o kupiectwo i wolny handel, klan Trelawneyów nie miał sobie równych w całej Kornwalii. Luke postanowił, że śmierć ojca zakończy okryte tajemnicą i niezgodne z prawem interesy rodziny. Tristan, ich trzeci brat, popierał tę ideę. Zresztą był już wtedy zaręczony i wyraźnie skłaniał się ku spokojnemu życiu w Melrose, gdzie mieściła się rodzinna rezydencja i rozległy ziemski majątek.

Matka z ulgą przyjęła tę decyzję, bo już dawno uważała, że nie warto ryzykować tego, co zarabiała ich flota na legalnych rejsach z Bristolu, a także zysków z kopalń, które w dodatku znajdowały się bliżej domu. Tylko Ross się sprzeciwił. Jako jedyny chciał dalej kontynuować dzieło ojca i przeprowadzać się przez kanał własnym statkiem. Rodzina była już wtedy tak zamożna, że mogła mu kupić wszystko, czego by tylko zapragnął. On jednak chciał tego, czego nie można mieć za pieniądze: przygody. Miał wtedy zaledwie czternaście lat,

Pierwszy raz wypłynął z ojcem nocą na morze, kiedy skończył dziesięć lat, gdy dobił do trzynastu, był już wysoki i tak silny, że bez trudu dawał sobie radę w walce na pięści i na szpady. Kończąc piętnaście, był doskonałym strzelcem, dwa lata później matka zaczęła się o niego martwić, a i Luke był zaniepokojony, co będzie dalej. Jedyne przemyt zaspokajał jego dziką i nieskrępowaną naturę i ani legalny handel, ani kopalnie, czy gospodarowanie gruntami nie były go w stanie zająć. Był niewątpliwie inteligentniejszy niż jego bracia i siostry, ale nie chciało mu się uczyć i nie ukończył nauki.

Dochody z przemytu były duże. Ross rozsądnie inwestował w legalne rodzinne interesy, ale też trwonił pieniądze na hazard i na kobiety, za którymi w rzeczywistości ani specjalnie nie tęsknił, ani zbytnio nie wykorzystywał ich przychylności. Ross pragnął pościgu. Musiał być zdobywcą. I na tym właśnie polega problem, pomyślał ponuro Luke. Jego brat przechodzi trudny okres zmian i stąd jego niepokojący stan ducha. Powodem była kobieta, której pragnął, a która nie zamierzała mu się poddać. Jej miłość była dla niego jedynym ratunkiem.

Lady Elizabeth Rowe jest piękną kobietą, a to, co ją łączy z jego bratem, było niewątpliwie bardzo skomplikowane. Luke przypominał sobie kolację, podczas której Ross ogłosił swoje zaręczyny. Pierwszy raz w życiu widział Rossa tak bez reszty zapatrzonego w kobietę.

Trudno było też nie zauważyć, że mieli problemy. Nie wiedział, czy dotyczyły one dawnego skandalu, i nie wyglądało na to, by Ross miał o tym ochotę rozmawiać. W czasie tamtego wieczoru nie powiedział ani słowa na temat historii sprzed dziesięciu lat, choć wiedział, że wszyscy dżentelmeni obecni na kolacji znali sprawę. Sir Richard Du Quesne i lord Courtenay byli wówczas kawalerami i wiele czasu spędzali w Londynie, a on sam był wtedy z Rossem i z Guyem w klubie, gdzie od razu zaczęto komentować tak pikantne wydarzenie. Miał wrażenie, że Ross poddawał ich wszystkich testowi i czekał, czy osądzą Elizabeth na podstawie pogłosek, czy też zaakceptują ją jako jego narzeczoną. Luke nie miał żadnych wątpliwości, że gdyby jego brat musiał w tej chwili wybierać między nimi wszystkimi a Elizabeth, bez wahania by ją wybrał.

- Kiedy poznałem Rebecę, przestraszyłem się i przez jakiś czas tchórzliwie żałowałem, że w ogóle ją spotkałem - powiedział cicho Luke. - Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że już po mnie. Nie mogłem bez niej żyć, nie potrafiłem jej zostawić. To wszystko spadło na mnie nie wiadomo skąd i przewróciło do góry nogami moje życie. Tak właśnie jest z miłością. Zakochujesz się nagle, bez ostrzeżenia, i nigdy nie wiesz, czy to będzie miłość szczęśliwa, czy nie. Czasem myślałem, że tracę rozum - ciągnął Luke, nie zważając na spojrzenie Rossa.

- Pamiętam...

Ton Rossa nie zniechęcił Luke'a.

- Nagle czujesz, że rozpadasz się na kawałki, i tylko ona jedna może je z powrotem poskładać w całość. To takie dziwne... Czy tak samo czujesz się przy Elizabeth?

- Tak Tylko ona się dla mnie liczy.

- Jeśli chciałbyś pogadać... wiesz, że tu jestem.

- Wiem, dzięki. - Ross się uśmiechnął, widząc, jak bardzo przejęty jest jego brat.

Mając już za sobą tę trudną rozmowę, Luke z przyjemnością zaczął obserwować walczących szermierzy. Nagle Ross ukradkiem podniósł leżący na ziemi floret, a kiedy Luke zerknął na jego twarz, zobaczył, że stężała, zmieniając się w maskę. Z ciężkim sercem spojrzął na grupkę nowo przybyłych panów, wszyscy przyglądali się walce z dużym zainteresowaniem.

Ross wstał i bez słowa ruszył w ich stronę.

Linus Savage, hrabia Cadmore spoglądał na zbliżającego się Rossa. Prawdę mówiąc, spodziewał się, że go tu dzisiaj zastanie, nie wiedział, że Ross i inni członkowie dawnej bandy Koryntian często przyjeżdżali do Akademii Fechtunku Harry'ego Angela, by oddawać się ukochanemu sportowi. Dziś jednak Cadmore był w towarzystwie swoich znakomitych kolegów, a poza tym liczył, że Ross przebywający tu wraz z przyjaciółmi, którzy zaliczali się do szanowanych obywateli, będzie przyzwoicie się zachowywał i dlatego wydawał mu się niegroźny.

Od czasu przypadkowego spotkania w składzie materiałów Cadmore nie widział Rossa ani o nim nie słyszał. Uznał, że wrogość w stosunku do jego osoby musiała być spowodowana zazdrością o byłą kochankę, a teraz był pewien, że Trelawney zapomniał już o Cecily, bo gdyby nadal jej pragnął, dawno już by ją sobie zabrał. Linus wiedział, że Cecily nie może przeboleć utraty Rossa i dlatego wytyka mu braki w sztuce miłości. Nie mając ochoty wysłuchiwać przykrych uwag, załatwił sprawę przy pomocy kilku błyskotek. Prawdę mówiąc, panna Boom zaczynała go już nudzić i gdyby nie kilka trików, którymi umiała podtrzymać zainteresowanie mężczyzny, dawno by się jej pozbył. Niewykluczone, że to wicehrabia ją tego nauczył i że to jemu powinienem dziękować za swoje przyjemności, pomyślał, głośno witając Rossa.

- Stratton! Jak tam sprawy?

- Świetnie... od kiedy cię zobaczyłem. - Ross zasalutował mu floretem.

Cadmore roześmiał się, niepewny, jak powinien potraktować słowa tamtego. Czy Ross mu groził, czy raczej go komplementował? Nigdy dotąd nie szukał jego towarzystwa, wręcz przeciwnie, hrabia miał wrażenie, że Trelawney nim pogardzał. Na wszelki wypadek postanowił być jednak uprzejmy.

- Słyszeliśmy, że będzie tu można obejrzyć prawdziwą walkę. Przyszliśmy popatrzeć. - Cadmore wskazał swoich kolegów omdlewającym ruchem ręki.

Towarzysze Cadmore a nie zrobili na Rossie żadnego wrażenia. Położył trzymającą floret rękę na chudych ramionach hrabiego i odciągnął go od kolegów.

- Liczyłem, że usłyszysz o naszym turnieju i przyjdiesz popatrzeć - powiedział wprost w wielkie ucho.

Cadmore próbował się wywinąć z silnego uścisku. Czuł, że żołądek zamienia mu się w kamień, i z niepokojem zerkał na drugiego Trelawneya, który patrzył na niego spod zmrużonych powiek

- W jakiej sprawie chciałeś się ze mną widzieć?

- Chodzi o kobietę.
- O Cecily?
- Nie, nie o nią. Chcę z tobą porozmawiać o lady Elizabeth Rowe.

Cadmore nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Ale powoli zaczęło do niego docierać, o co chodzi. Oczywiście! Jak mógł na to nie wpaść? Ross Trelawney kochał wyzwania i nic dziwnego, że ta wyniosła baba wpadła mu w oko. Zdobyć kobiety szlachetnie urodzonej niewątpliwie było próbą, nawet dla takiego kobieciarza jak Ross.

Od lat mężczyźni zakładali się, kto pierwszy ją zdobędzie i zmusi, by przestała na nich patrzeć z pogardą. Ktoś tak arogancki jak Stratton, któremu ciągle dopisywało szczęście, mógł pomyśleć, że to jemu przypadnie ten honor. Najwidoczniej świeżo upieczony wicehrabia oprócz królewskiej przychylności i tytułu chciał mieć jeszcze w swoim łóżku tę zimną starą pannę. Cadmore był gotów się założyć, że słynący z opanowania Kornwalijszyk postanowił zdobyć Elizabeth.

Zrozumiał, że w składzie z materiałami Strattonowi nie chodziło o Cecily, tylko o Elizabeth. Musiał wiedzieć, że rozmawiali, i to go tak rozdrażniło. Ale przecież wszyscy wiedzieli, że hrabia od lat próbował ją zdobyć. Było tajemnicą poliszynela, jak kiedyś zrobiła z niego pośmiewisko, używając go jako parawanu, za którym kryła swoje zainteresowanie młodym żołnierzkiem. Ross obserwował twarz Cadmore'a i bez trudu odczytał z niej jego myśli. Hrabia słyszał, że Trelawney szybko nudzi się swoimi podbojami, zaczął więc rozważać, czy nie zachęcić go, by zdobył Elizabeth. Duma nie przeszkadzała mu po nim ją przejąć. W końcu od dziesięciu lat polował na tę upartą damulkę.

Ciekawe, czego Trelawney ode mnie chce? Może próbuje mnie ostrzec, żebym mu nie wchodził w parady? A może chce poznać pikantne szczegóły dotyczące wydarzeń na drodze? Jeśli tak, zwrócił się do właściwej osoby, uznał Cadmore, bo nikt baczniej ode mnie nie śledził tego skandalu. Z przyjemnością spełnię taką prośbę, a jednocześnie zyskam jego wdzięczność.

- Co takiego chciałbyś wiedzieć o tej... damie?

Ostatnie słowo Cadmore wymówił z lekceważeniem i pogardą, a jego koledzy, podsłuchujący rozmowę, wymienili między sobą znaczące uśmiechy.

- A co chciałbyś mi powiedzieć? - zapytał spokojnie Ross, patrząc w przestrzeń ponad głową Cadmore'a.

- Niech pomyślę... Jeśli chcesz jej zaproponować swoją opiekę, a zakładam, że takie są twoje intencje, to muszę cię ostrzec, że piekielnie trudno się do niej zbliżyć.

- Rzeczywiście, takie mam intencje - przyznał Ross.

- Na pewno słyszałeś, że ja też próbowałem jej składać tego typu propozycje. Niestety, bezskutecznie. Trudno z nią rozmawiać, bo nadal ma o sobie przesadnie wysokie mniemanie. Kto mógł przypuszczać, że taka piękna kobieta o arystokratycznym pochodzeniu i nienagannych manierach, pozna życie za sprawą kilku zbójów na leśnym trakcie. Może tamtej nocy zapragnęli dosiąść innej klaczy... - Cadmore zarechotał oblesnie.

Zadowolony, że znajduje się w centrum uwagi, nie zauważył, że człowiek, na którym chciał zrobić wrażenie, wcale się nie uśmiecha. Cadmore klepnął Rossa po ramieniu.

- Jeśli ta klaczka w ogóle pozwoli się osiodłać, to chyba tylko tobie. A jak już to zrobisz, daj mi znać, jak się na niej jeździ, dobrze? - Cadmore nadal był z siebie bardzo zadowolony. - Jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć? - zapytał poufale.

- Powiedz mi, jak chcesz umrzeć? Sam wybierz broń. Spotkamy się w Wimbledon Common, jutro o piątej rano.

Dzientelmeni zajęci omawianiem szermierczych umiejętności sir Richarda Du Quesne i lorda Courtenaya, walczących właśnie na arenie, przerwali dyskusję. Wszyscy patrzyli na osłupiałego hrabiego Cadmore'a i na Rossa Trelawneya, który go wyzwał. Po chwili ucichł szcęk broni i już nic nie zakłócało martwej ciszy.

Cadmore poszarzał na twarzy i widać było, że wciąż nie wierzy w to, co się stało. Tymczasem Ross ruszył w stronę kolegów hrabiego. Mężczyźni rozstąpili się przed nim, nerwowo spoglądając na błyszczący w jego dłoni floret, którym tak sprawnie się posługiwał.

- Czy ktoś jeszcze chciałby powiedzieć coś ciekawego o mojej narzeczonej? - zapytał spokojnie Ross. - Może o jakichś wydarzeniach z jej przeszłości, albo o swoim w nich udziale? - obrócił się na pięcie, przyglądając się po kolei twarzom zaskoczonych mężczyzn. - No, dalej. Nie wstyďte się. Może były jeszcze jakieś obraźliwe odzywki albo obmacywania, albo propozycje, o których chciałbym od was usłyszeć? Nie było? - Popatrzył pytająco na spocone twarze i na dłonie nerwowo poprawiające za ciasne nagle kołnierzyki białych koszul. Twarze kolegów hrabiego wyrażały przeróżne uczucia, od śmiertelnego przerażenia aż po złośliwe rozbawienie, wszyscy jednak zdawali się zgodni w przekonaniu, że Cadmore'a widzą po raz ostatni.

Luke, Dickie, David i Guy podeszli bliżej i z ponurymi minami otoczyli mężczyzn przybyłych w towarzystwie Cadmore'a. Żaden z nich nie przypuszczał, by Rossowi mogło coś grozić, wręcz przeciwnie, to on jako jedyny miał mordercze zamiary i broń w ręku. W tej sytuacji uznali, że najważniejsze to nie dopuścić do tego, by Ross od razu dokonał swojej zemsty.

- Narzeczonej? - zaskrzeczał Linus Savage, próbując się uśmiechnąć. - Dlaczego wcześniej o tym nie powiedziałaś, drogi wicehrabio? Oczywiście, natychmiast przeproszę za swój błąd. Niewłaściwie zrozumiałem twoje zainteresowanie tą damą. Przepraszam, jeśli mimowolnie ją obraziłem, i przyrzekam, że nigdy więcej się do niej nie zbliżę. W tej sytuacji nie przyjmuję twojego wyzwania.

Cadmore odwrócił się i popatrzył na drzwi. Nie obchodziło go, że postępuje niehonorowo i że jego koledzy wydają się wstrząśnięci i pełni odrazy na widok takiego zachowania. Mimo że w grę wchodziło jego życie, oczekiwano, że postąpi z godnością i do końca będzie walczył o zachowanie dobrego imienia. Lepiej umrzeć, niż okryć się hańbą, głosił kodeks, ale on nie chciał umierać.

- Człowieku, zastanów się, co robisz! - szepnął lord Grey, długoletni przyjaciel nieżyjącego już ojca hrabiego, pochylając się do jego ucha. - Jak możesz mu odmawiać satysfakcji? Wszyscy słyszeliśmy, jak wyrażałeś się o tej damie. To było niepodważalne zniesławienie. Jeśli teraz próbujesz się wykręcić... Pomyśl o hańbie! Ja i Beecher będziemy ci sekundować.

Cadmore nie wymyślił nic pocieszającego. Widział przed sobą trzy możliwości: śmierć, okaleczenie, wykluczenie z towarzystwa. Pozostało mu tylko wybrać jedną z nich. Wszystko wydało mu się koszmarnym snem.

- Ta cholerna baba to uknuła - wyszczał ociekającym jadem głosem. Nie zdołał nad sobą zapanować, nawet gdy Ross roześmiał mu się w twarz. - Pewnie nawet nie jesteś zaręczony z tą ladacznicą. Wynajęła cię, żebyś mnie zabił, a może tylko zrujnował?

Resztką rozsądku mówiła mu, że jeśli nie zamilknie, pożegna się z życiem tu i teraz, ale nie umiał nad sobą zapanować.

- Ile ci zapłaciła? A może pozwoli, żebyś ją przeleciał? Ona lubi ostrą jazdę: złodzieje, robotnicy portowi... Ty też jej będziesz pasował.

Błyskawicznym, płynnym ruchem Ross przygwoździł płaszcz hrabiego do ściany, odcinając mu drogę ucieczki i przerywając potok bredni. Hrabia zaczął się trząść i wyglądał jakby miał zaraz zwymiotować.

Ross wziął do ręki szermierczą rękawicę i powoli, uwłaczająco lekko, uderzył hrabiego w zapadnięty, drżący policzek.

- Żeby formalnościom stało się zadość - powiedział miękko. - Wimbledon Common jutro o piątej rano. Twoimi sekundantami będą Grey i Beecher, a moimi Ramsden i Markham, Pozostawiam ci wybór broni. A teraz możesz odejść. - Ross skończył i wyrwał ostrze ze ściany, uwalniając hrabiego..

Mężczyźni szybko się rozeszli, niewątpliwie spiesząc do klubów i salonów, gdzie będą mogli bez końca opowiadać o sensacyjnym wydarzeniu. Niektórzy wyrażali oburzenie zachowaniem Cadmore'a, inni zaś tylko smutno kiwali głowami, dając do zrozumienia, że pojmują powagę sytuacji. W sali zostali już tylko Trelawneyowie i ich przyjaciele.

- Zobaczysz, że hrabia wybierze pistolety i strzeli przed czasem - ostrzegął Luke.

- Wiem - odparł Ross.

- Jesteś tu stroną pokrzywdzoną, trzeba było spróbować, może pozwoliliby, żebyś sam wybrał broń.

- Cadmore nigdy nie zgodziłby się na florety. Dobrze wie, że posiekałbym go na kawałki.

- Obojętne, czy stanie do pojedynku i jaką broń wybierze, i tak jest skończony. Wie o tym tak samo jak wszyscy inni - dodał Dickie, a w jego oczach widać było podziw dla przebiegłości Rossa. - Ty cwany draniu! Wszystko dokładnie zaplanowałeś. Zorganizowałeś turniej i wszystkich nas tutaj ściągnąłeś tylko po to, żeby i on się pojawił, prawda?

- Czy ja mógłbym coś takiego zrobić? - zapytał spokojnie Ross i gwizdząc, poszedł do szatni, zupełnie nie przejmując się tym, że Cadmore będzie jutro oszukiwał.

Elizabeth i Rebecca przypadły sobie do serca i często spędzały razem czas. Właśnie przechadzały się po Bond Street, od czasu do czasu zatrzymując się przy jakiejś wystawie. Dwie śliczne blondynki przyciągały pełne podziwu męskie spojrzenia i budziły zazdrość kobiet.

- Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, ale ponieważ wkrótce i tak będziemy rodziną, powiem - zaczęła Rebecca. - Zresztą jeśli nie ode mnie i tak pewno dowiedziałybyś się od Emmy, albo od Vicky, bo im też o tym opowiedziałam. - Rebecca zerknęła przez ramię, sprawdzając, czy towarzyszące im panie nie

znajdują się zbyt blisko. - Gdybyś to usłyszała od nich, znalazłabym się w okropnym położeniu, musisz bowiem wiedzieć, że kiedyś pomyślałam, że to ty...

Elizabeth poczuła, że robi się jej zimno. Czyżby Rebecca dawała jej do zrozumienia, że słyszała o skandalu sprzed dziesięciu lat, i zaraz powie, że nie wierzy, by jej przyszła szwagierka mogła być tamtą kobietą?

- Wtedy w sklepie z materiałami Ross odnosił się do ciebie w taki szczególny sposób. Pomyślałam, że musisz być jego... kochanką... - Rebecca zrobiła przepraszającą minę, ale jej oczy błyszczały figlarnie.

Elizabeth roześmiała się z ogromną ulgą i przyznała, że pomyślała dokładnie to samo, widząc Rebecę i Rossa razem.

- Kiedy później przedstawiono mi ciebie jako żonę jego brata, myślałam, że spalę się ze wstydu.

- Wzięłaś mnie za jego kochankę? - Rebecca się roześmiała. - To dobre! Ross jest taki czarujący... Och, wybacz! Nie miałam absolutnie na myśli nic złego! Luke wie, że uwielbiam robić zakupy z Rossem, i oczywiście nie ma nic przeciwko temu. Znam Rossa od lat i przyzwyczałam się, że zawsze niewinnie flirtujemy. To najlepszy szwagier na świecie. Obaj nasi synowie go uwielbiają. Zna się świetnie na koniach i potrafi robić ziołowe okłady, które leczą opuchnięte pęciny. Nasi stajenni są pod wrażeniem jego wiedzy o ziołach i Miles też. Och, Miles to nasz stary, dobry kamerdyner. - Rebecca uświadomiła sobie, że Elizabeth od dawna milczy. - Musisz mieć już dosyć tych wszystkich kobiet bez przerwy mówiących o twoim narzeczonym - powiedziała. - Uprzedzę Vicky i Emmę, żeby nie powtórzyły mojego nietaktu i omijały ten temat.

- Nie rób tego, proszę. Nie przeszkadza mi to, że Ross jest taki popularny. Poza tym dzięki tobie dowiedziałam się, że lubi dzieci i zwierzęta - odparła Elizabeth.

Rebecca uśmiechnęła się, bo nie dalej jak wczoraj rozmawiała o Rossie i jego narzeczonej ze swoim ukochanym mężem. „O wszystko, co ma w życiu jakąś wartość, trzeba walczyć” - powiedział Luke, przypominając jej w ten sposób, że i między nimi nie obyło się na początku bez nieporozumień.

- Ross umie być czuły - oświadczyła Rebecca. - Widzę to za każdym razem, kiedy na ciebie patrzy.

Elizabeth przywołała na twarz uśmiech i pociągnęła przyjaciółkę w stronę wystawy, która ją zaintrygowała. Po chwili dołączyły do nich Emma, Victoria i Sophie i wszystkie zgodnie wpatrywały się z zachwytem w przywiezione wprost z Paryża tkaniny udrapowane wokół rysunków, przedstawiających najnowsze fasony sukien.

- Myślisz, że nasi mężowie zdążyli już zmęczyć się fechtunkiem i wrócili do domów? - zapytała Victoria. - Lucy byłaby niepokieszona, gdyby jej papa był zbyt zmęczony, aby odegrać rolę wierzchowca.

- Mam nadzieję, że nie całkiem opadną z sił - przejęła się Emma, a ponieważ była młodą mężatką, jej niepokój wywołał uśmiechy na twarzach Rebecki i Victorii.

- Macie kosmate myśli - powiedziała Emma i się zarumieniła. - Chcę odwiedzić rodziców w Cheapside i chodzi mi wyłącznie o to, żeby mój mąż był w stanie oprzeć się ich nagabywaniom, kiedy ojciec będzie chciał od niego pożyczyć pieniądze, a matka zacznie nudzić o zaproszenie do Silverdale.

Towarzystwo tych skromnych i bezpretensjonalnych kobiet działało na Elizabeth uspokajająco. Wyobraziła sobie lorda Courtenaya, biegającego na czworakach, z córeczką na plecach, i roześmiała się wesoło. Nagle kątem oka dostrzegła w oknie odbicie znajomej sylwetki. To niemożliwe, pomyślała. Jestem w West End, a tę kobietę ostatnio widziałam w slumsach East Side. Odwróciła się dyskretnie, chcąc sprawdzić, czy się nie myli.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyła Jane Selby ubraną w porządną, czystą suknię. Trzymając za rękę pięć, a może sześciolatniego chłopca, szła ulicą, nie wyróżniając się niczym spośród innych spacerujących osób. Elizabeth dostrzegła jednak podejrzane spojrzenia, jakimi Jane obrzucała robiących zakupy ludzi. Jej uwagi nie umknęły też pełne cierpienia oczy, którymi chłopiec wpatrywał się w matkę.

Obserwując Jane, dostrzegła, że daje ona znaki kilkunastoletniej dziewczynie, która w odpowiedzi poklepała się po kieszeni, a potem wskazała placem na samotnie idącą ulicą kobietę.

Jane puściła rękę chłopca i szepnęła mu coś do ucha. Mały początkowo się sprzeciwiał, ale w końcu posłuchał i na oczach Elizabeth wyciągnął wskazanej kobiecie z kieszeni skrawek koronki, a potem szybko ukrył go w dłoni i oddał matce. Rebecca, Victoria i Emma postanowiły wejść do sklepu z tkaninami. Elizabeth skorzystała z okazji i wymawiając się bólem głowy, została na ulicy w towarzystwie Sophie. Chwyliła ją za rękę i pociągnęła w kierunku wąskiego przesmyku pomiędzy budynkami. Dopiero kiedy były dobrze ukryte, pokazała jej Jane i powiedziała, że na własne oczy widziała, jak matka uczy dziecko kraść, nie zważając na jego opór i rozpacz.

- Jak ona może być taka głupia i okrutna! To cud, że nikt inny tego nie zauważył i nie podniósł alarmu! Cała trójka mogłaby jutro stanąć przed sądem!

- O mój Boże! Podejdź do niej, szybko. Jestem pewna, że za chwilę znowu każe mu coś ukraść - pisnęła Sophie, która przez cały czas nie spuszczała wzroku z Jane i jej syna.

Elizabeth ruszyła szybkim krokiem. Machając do Jane, niemal biegła, wymijając innych spacerowiczów, i po chwili udało się jej z nią zrównać.

Jane trwożnie popatrzyła na elegancką damę, która nieoczekiwanie pojawiła się u jej boku, a Elizabeth chwyciła chłopca za ramiona i zatrzymała go w miejscu.

- Domyślam się, że to twój Jack. Wydaje się przestraszony...

Początkowe zaskoczenie minęło i Jane z niepokojem zaczęła się rozglądać po ulicy. Nagle dostrzegła coś, co nappełniło ją przerażeniem. Elizabeth pobiegła za jej wzorkiem i zobaczyła Nathaniela Leacha, który przyglądał się im spod zmrużonych powiek. Nie spuszczać z nich wzroku, dotknął kapelusza w beczelnym powitaniu, a potem skrzyżował ręce na piersiach i zastygł w tej groźnej pozie, nadal je obserwując.

Jane się go boi, ale mnie nie tak łatwo zastraszyć, pomyślała Elizabeth. Wzięła głęboki oddech i wyniośle uniosła głowę.

- Widziałam, do czego zmuszasz swojego syna. Jak możesz? Przecież to małe dziecko - powiedziała, nie kryjąc oburzenia.

- Odejdź stąd i zostaw nas! - Jane uwolniła synka z uścisku Elizabeth i przytuliła do siebie. - Wszystko tylko pogarszasz.

- Nie widzisz, w jakim on jest niebezpieczeństwie?

- Nic nie wiesz i niczego nie rozumiesz! - W głosie Jane zabrzmiała gorycz. - Masz kochającą, bogatą babcię, pastora, który jest gotów spełnić każdą twoją zachciankę. Masz piękne ubrania i pełny brzuch! Nie zdajesz sobie sprawy, jak wygląda moje życie! - zawołała zrozpaczona. - Jeśli mój syn ma przeżyć, musi pracować, a właśnie widziałas, w jaki sposób zarabia na życie. W przeciwnym razie Leach sprzeda go na kominiarza, a wtedy nie przeżyje najbliższej zimy. Jeśli dzięki temu, że będzie kradł, mogę go zatrzymać przy sobie i dbać, by nie był głodny, to trudno. Odejdź i zabierz swoją przyjaciółkę. - Jane wskazała ruchem głowy Sophie.

- To niemożliwe, żeby chciał sprzedać twoje dziecko!

- Ależ możliwe! Ciągłe powtarza, że nie potrzebne mu takie chuchro.

- Ile pieniędzy jesteś winna temu potworowi?

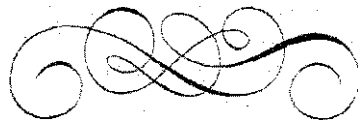
- Skąd mogę wiedzieć? - Jane roześmiała się ponuro. - **Kiedy** mój mąż bigamista odszedł, Leach zapłacił wszystkie moje długi. Czasami jest dla mnie dobry... załatwia za mnie różne sprawy - powiedziała z powagą. - Straciłam rachubę przy czterystu funtach, ale jeśli się doliczy koszty laudanum dla Jacka i procenty, na pewno będzie więcej. Leach wie, że jeśli chodzi o laudanum, płacę każdą cenę. Jeśli interesuje cię dokładna kwota, zapytaj go, on wszystko zapisuje.

Kobiety patrzyły na siebie bez słowa, aż wreszcie Jane przerwała ciszę.

- Miałam nadzieję, że odwiedzisz mnie w Wapping. Myślałam, że naprawdę zechcesz mi pomóc - szepnęła ze smutkiem.

Elizabeth chciała, by Jane uwierzyła, że od tamtego przypadkowego spotkania ani na chwilę o niej nie zapomniała. Ale co z tego, że o niej pamiętała, skoro sama także była zabawką w ręku mężczyzny? Groźby Strattona były nieco mniej drastyczne i bardziej wyrafinowane, ale tak samo skutecznie wymuszały posłuszeństwo. Babcia już dawno zabroniła jej jeździć do slumsów, ale Elizabeth posłuchała dopiero, kiedy zakaz wyszedł od Strattona. Jemu bała się przeciwstawić. Cała jej dotychczasowa działalność dobroczynna została zepchnięta na bok, a ona, zgodnie z jego życzeniem, zaczęła wieść życie słodkie i puste.

Poczuła ogromny wstyd i popatrzyła w zrozpaczone oczy Jane. To, że nie podzieliła losu tej nieszczęsnej kobiety, zawdzięczała tylko Bogu i kochającej babci. Jak mogła o tym zapomnieć? Odwróciła się i bez słowa odeszła.



Rozdział trzynasty

Widząc, że Elizabeth idzie w jego kierunku, Leach nie wierzył własnym oczom. Ona zresztą także nie wiedziała, skąd wzięła śmiałość, żeby podejść do tego drania w miejscu publicznym. Szumiało jej w uszach, serce tłukło się o żebra, lecz mimo to zmusiła się, by podejść do tego odrażającego typu.

- Czy pan wie, kim jestem, panie Leach? - zapytała lodowatym tonem.

- Wiem, lady Elizabeth - przyznał drwiąco, patrząc na nią spod zmrużonych powiek. - Jest pani córką markiza. Jane opowiedziała mi o pani interesujące rzeczy. Wszyscy popełniamy błędy, a ja nikogo nie oceniam.

- To prawda, jestem córką markiza - przyznała chłodno, nie zważając na jego insynuacje. - Dlatego jeśli nie spełni pan mojego żądania, dopilnuję, żeby pana życie przestało być łatwe i przyjemne.

- A jakie jest to żądanie, moja pani? - Z tonu głosu Leacha i ze sposobu, w jaki na nią patrzył, domyśliła się, że najchętniej zrobiłby z niej swoją niewolnicę, tak jak z Jane. Nie przestraszyła się go jednak.

- Albo natychmiast odda pan Jane i jej synka pod moją opiekę, albo będzie pan gorzko żałował, że tego nie uczynił.

- Wszystko zależy od Jane. - Leach podrapał się po nieogolonej brodzie. - Jest tak samo wolna jak pani czy ja. Pod warunkiem, że najpierw zwróci mi pieniądze.

- Ile jest panu winna?

- Dużo. - Leach roześmiał się szczerze ubawiony. - Dużo nawet dla kogoś takiego jak pani. Wszystko jest uczciwie zapisane, ale Jane to chciwa dziewczyna. Z biednymi, ale dumnymi zawsze są kłopoty. Chcą luksusów i muszą za nie płacić. Wszyscy muszą płacić. A teraz niech pani posłucha, co ja mam do powiedzenia.

Leach przysunął się tak blisko, że jego kapelusz musnął twarz Elizabeth, i obrzucił ją pożądlivym spojrzeniem.

- Od razu wiedziałem, co z ciebie za ziółko. Powinnaś była wrócić i porozmawiać... dogadalibyśmy się. Przedstawiłbym cię kilku prawdziwym dżentelmenom, ustawiłbym cię. Zanim te śliczne włosy posiwieją... - tłuste paluchy Leacha dotknęły jasnego loczka - ...miałabyś przytulne gniazdko... i mnie, i wszystko.

Elizabeth posłała Leachowi tak jadowite spojrzenie, że uśmiech zamarł mu na twarzy, i się cofnął. Słońce padło na pierścionek zaręczynowy Elizabeth i wielki brylant zamigotał wszystkimi barwami tęczy. Mężczyzna zauważył błysk i chciwie popatrzył na pierścionek.

- To mogłoby wystarczyć, jest warty ponad tysiąc funtów - mruknął ochryłym głosem.

Elizabeth zacisnęła palce i szybko ukryła dłoń w fałdach sukni, jakby w ten sposób chciała ochronić pierścionek.

- Nie. Tego nie dostaniesz, ale mam naszyjnik... tej samej wartości.

Kiedy dotarło do niej, że broni zaręczynowego pierścionka, a zamiast niego gotowa jest oddać naszyjnik, nie mogła w to uwierzyć. Była tak przejęta swoim odkryciem, że prawie nie zwróciła uwagi, jakie emocje jej słowa wzbudziły w Leachu. Nerwowo przełykał ślinę i przestępował z nogi na nogę, czekając, by dodała coś więcej.

- Dziś nie mam czasu - powiedziała wreszcie, kiedy otrząsnęła się ze zdziwienia. - Mogę spotkać się z panem jutro o świcie w St Mary. Niech pan przyprowadzi Jane i jej synka, a dostanie pan naszyjnik.

Leach wyraźnie jej nie dowierzał. Widziała jednak, że chciwość bierze górę. Chcąc mu ułatwić podjęcie decyzji, błysnęła znów pierścionkiem.

- Chcę dostać zaświadczenie, że wszystkie długi Jane zostały spłacone.

- Zupełnie zrozumiałe - mruknął.

Elizabeth dostrzegła idącą powoli w ich kierunku Sophie i nie chcąc dopuścić, by podeszła bliżej, szybko odsunęła się od Leacha.

- Piąta rano. Będę w towarzystwie pastora Clemance'a, więc próba oszustwa albo zastraszenia mnie tylko pogorszy pana sytuację - powiedziała i szybko ruszyła w stronę Sophie.

Teraz, kiedy odbyły się już oficjalne zaręczyny, Edwina uważała, że Elizabeth powinna lepiej poznać narzeczonego. Dlatego za każdym razem, kiedy Stratton przekraczał próg ich domu, znikwała, zostawiając młodych samych.

Ross opowiadał Elizabeth o swoim rodzeństwie, Tristanie i Katherine, których jeszcze nie poznała, i o ich dzieciach, które wyraźnie lubił. Był bardzo dumny, że Katherine poprosiła go, by został ojcem chrzestnym jej maleńkiego synka.

Opowiadał o siedzibie rodu Trelawneyów, położonej w Melrose, na klifach Pendrake z takim uczuciem, że niemal słyszała szum oceanu i grzmot fal, rozbijających się o skaliste wybrzeże, i widziała migoczący na wodzie blask słońca oraz czuła zapach ryb i słonej bryzy.

Powiedział, że Stratton Hall, który będzie ich nowym domem, także stoi na wybrzeżu. To, że użył liczby mnogiej, sprawiło Elizabeth przyjemność i ku własnemu zaskoczeniu wyznała, że za każdym razem, kiedy odwiedzali z ojcem Brighton albo Lyme Regis ona także ulegała urokowi morza.

W tej sytuacji też musiała mu o sobie coś powiedzieć. Wspomniała więc o matce, która młodo umarła po nieszczęśliwym upadku na lodzie, i o ukochanym ojcu, z którego śmiercią przed kilku laty nadal nie umiała się pogodzić. Poinformowała go, że tego samego dnia, kiedy odbył się pogrzeb ojca, opuściła Thorneycroft i wyjechała do Londynu do Edwiny. Ze smutkiem wyznała, że rodzina ojca nie utrzymuje z nią stosunków i że obawia się, czy jej przyrodni braciszek, mający w tej chwili siedem lat, całkiem o niej nie zapomni. Czując, że rozmowa staje się zbyt osobista, postanowiła szybko zmienić temat i zapytała, czy to prawda, że jadał na śniadanie smażoną wątrobę zabitych przez siebie wrogów.

Jej impertynencje jak zwykle nie zrobiły na nim wrażenia. Wyjaśnił spokojnie, że w jego fachu czasami trzeba zabijać, żeby samemu nie zostać zabitym, a poza tym ludzka wątroba nie jest jego ulubioną potrawą.

Elizabeth poczuła się pokonana, ale od tej pory rozmowy z Rossem przebiegały w dużo swobodniejszej i spokojnej atmosferze. Czasami prawie wcale nie rozmawiali. Nawet wtedy, gdy ona zastanawiała się, co tak naprawdę skłania Rossa do zawarcia ślubu, milczenie jakie między nimi panowało wcale jej nie ciążyło. Ross nigdy więcej nie próbował jej przekonać, że żeni się z nią nie dla pieniędzy. Jej małomówność zupełnie mu nie przeszkadzała. Dostosowywał się do nastrojów, a ona zamiast docenić, że przyznawał jej prawo do milczenia, czuła się urażona, że z nią nie flirtuje. Skoro mógł to robić z żonami przyjaciół i z obiema bratowymi, dlaczego nie z nią?!

- Słyszałem, że dziś podczas zakupów gdzieś się zagubiłaś... - Cichy głos Rossa wyrwał ją z zamyślenia.

- Razem z Sophie spotkałyśmy znajomą. Pospacerowałyśmy chwilę, a później, kiedy wróciłyśmy do sklepu, do którego weszła Rebecca i pozostałe panie, okazało się, że już ich tam nie było. Nie czułam się najlepiej i pewnie pomyślały, że Sophie odwiozła mnie do domu. Muszę je przeprosić, nie powinnam była oddalać się na tak długo.

- Nic się nie stało. Dotarłaś do domu cała i zdrowa. Lepiej się już czujesz?

Z uśmiechem skinęła głową i wróciła do przeglądania żurnala. Spieszyło się jej do spotkania z pastorem i dlatego chciała, żeby Ross jak najszybciej sobie poszedł. Zastanawiała się, o której może dać mu znać, że pora zakończyć wizytę. Na ogół zostawał do dziesiątej, a i tak po jego wyjściu zaczynała za nim tęsknić. Przekonała się, że zgodnie z opinią Rebecki, Ross okazał się ciekawym i wesołym towarzyszem, i skwaszona pomyślała, że wszystkie jego wielbicielki opisałyby go na pewno tak samo. Och, czemu nie skorzystała z okazji i nie powiedziała, że boli ją głowa?

- Widziałaś się dziś z panią Vallois w sprawie sukni?

- Tak - odparła Elizabeth.

Pomyślała o sukni, w której miała iść do ślubu, i o tym, że zupełnie zapomniała porozmawiać z pastorem o planowanej wizycie w slumsach. Przypomniała sobie wspaniałe tkaniny, cudne koronki i śliczne, drobniotkie perełki do naszywania na materiał. Wszystkie te cudneńka cieszyły oczy, a entuzjazm Edwiny i modystki był tak zaraźliwy, że nie mogła się mu oprzeć. Bardzo szybko Elizabeth poddała się urokowi radosnych i podniecających przygotowań i zapomniała o całym świecie.

- Jaki materiał wybrałaś? - zapytał, przerzucając strony gazety.

- Czy w dzisiejszej gazecie jest ogłoszenie o naszych zaręczynach?

- Nie, ale przygotuj się na liczne objawy zainteresowania w dniu jutrzejszym - odparł z cierpkim uśmiechem.

Mógł sobie wyobrazić, że w licznych klubach dla dżentelmenów aż huczy od komentarzy na temat dzisiejszych wydarzeń. Ross wielokrotnie pojedynkował się i to z przeciwnikami groźniejszymi niż Linus Savage i z każdego wychodził cało. Hrabia jest jednak nie najgorszym strzelcem, a do tego najprawdopodobniej strzeli, zanim odliczanie zostanie zakończone, pomyślał i zaskoczony stwierdził, że się denerwuje. Już wcześniej zdarzało mu się walczyć z oszustami, ale dotąd zawsze wierzył w siebie i w swoje zwycięstwo. To wszystko przez te zaręczyny.

Elizabeth nie miała ochoty wybrać się na spotkanie z Leachem sama. Obawiała się jednak, że Hugh może odmówić udziału w porannej eskapadzie. Wiedziała, że w razie czego umie go sobie okręcić wokół palca, ale wolałaby, żeby... Och, gdyby ten mężczyzna był...

- Jaki materiał wybrałaś na suknię? - powtórzył pytanie Ross.

- Pan młody nie powinien znać takich szczegółów. Czekać na mnie przy ołtarzu i patrząc, jak idę do ciebie przez cały kościół, powinnam ci się wydawać najcudowniejszą i najpiękniejszą kobietą na świecie. Bez względu na to, w co będę ubrana.

- Możesz być pewna, kochana, że będę całkowicie oczarowany i zaskoczony, jeśli się okaże, że wybrałaś coś innego niż biały jedwab.

- Nie próbuj. I tak ci nie powiem.

- Nie musisz mówić. Niektóre rzeczy po prostu wiem.

- Jak się udał wasz szermierczy turniej? - przerwała mu Elizabeth. - Wygrałeś?

- Doskonale, jestem zadowolony. I rzeczywiście wygrałem - przyznał wyraźnie rozbawiony, aż zerknęła na niego spod rzęs.

Widząc jej nieśmiałe spojrzenie, uśmiechnął się tak czule, że zaczęła się zastanawiać, czy nie zwierzyć mu się ze swoich planów. Może niedola Jane wzbudziłaby jego współczucie i pojechałby z nią na spotkanie? Widząc ją w towarzystwie takiego mężczyzny, Leach na pewno chętniej wywiązałby się z obietnic. Opanowała jednak pokusę. Ross był nieprzewidywalny, kto wie, czy na wiadomość o planowanej eskapadzie nie wpadnie w złość i nie zabroni jej tam jechać. Nie bała się go już i od dawna nim nie gardziła, ale pełnego zaufania do niego jeszcze nie miała.

W pewnym sensie żałowała, że nie potrafi go już tak bardzo nie lubić jak kiedyś, bo wtedy wszystko było łatwiejsze. Teraz jej uczucia do niego były skomplikowane, czuła się sfrustrowana i na zmianę przepełniała ją gorycz albo słodycz. Nie umiała o nim nie myśleć i liczyła, że byłoby łatwiej, gdyby poznała jego opinię o sobie. Szczególnie ważne wydawało się to, czy w jego oczach jest dobrym człowiekiem.

Przyznał, że ją lubi i chce się nią opiekować, ale to już jej nie wystarczało. Czuła, że to nie wszystko, że tu musi być coś jeszcze... I nagle z przerażeniem pomyślała, że głównym powodem, dla którego Ross się z nią żeni może być współczucie. Może zrobiło mu się żal, że od dziesięciu lat płaciła za błąd młodości? Wiedziała, że kiedy usłyszał, jak po chamsku Cadmore się w stosunku do niej zachowywał, wpadł we wściekłość.

Nie życzyła sobie jednak, żeby ktoś dla niej tak się poświęcał. A już na pewno nie taki parweniusz jak Ross! - pomyślała, choć odkąd poznała jego rodzinę i przyjaciół, doskonale wiedziała, że takie określenie jest w stosunku do niego krzywdzące, złośliwe i zupełnie nie na miejscu.

Przyglądając się szlachetnemu profilowi narzeczonego, nie wierzyła, by mógł być łowcą posagów. Miał w sobie zbyt dużo wrodzonej godności, aby coś tak wulgarnego jak pieniądze czy zemsta mogły decydować o wyborze kobiety, która ma zostać jego żoną. A może tylko jej się tak wydaje? Chciała, żeby uniósł głowę znad gazety, by w jego oczach poszukać odpowiedzi na swoje pytania. Niespodziewanie przestał czytać i uśmiechnął się do niej, ale jego czułość nie była w stanie zamaskować pożądania. Elizabeth zrozumiała, że

cokolwiek Ross do niej czuje, nie zmienia to faktu, że jej pragnie. Zdała sobie sprawę, że przestało jej to przeszkadzać, a nawet pierwszy raz od lat sprawia przyjemność.

Zarumieniona spuściła wzrok i oglądając żurnal, myślała o tym, jak długą drogę przeszli od chwili, gdy w tym właśnie saloniku spotkali się po raz pierwszy.

Pomyślała o wieczorze sprzed kilku dni, kiedy ukryci przed ludzkim wzrokiem, wśród śpiewu ptaków i pachnącego ziemią deszczu oddawali się gorącym pieszczotom. Rozpalona namiętnością pozwoliła mu wtedy na bardzo dużo, zdając się na jego łaskę. Tym razem to ona zachowywała się jak rozpustnica, pod czas gdy Ross doskonale nad sobą panował i traktował ją z całym należnym narzeczonej szacunkiem. To on się od niej odsunął, drżącymi rękami pomógł jej usiąść i wygładzić suknię, a potem odwiózł ją do domu. Na samą myśl o tym poczuła rozkoszne drżenie i nawet niezłomne zasady nie mogły jej obronić przed tak podstępą, słodką zmysłowością.

Ani razu nie powiedział, że ją kocha, a mimo to, wracając z nim wtedy do Londynu, nie mogła się od niego oderwać i całą drogę tuliła się do jego ramienia.

Kilka godzin później, leżąc w pachnącej kąpieli, uznała, że zachowała się jak idiotka. Pomyślała o Randolphie Haveringu, który nigdy nie dotykał jej tak intymnie, a mimo to deklarował dożgonną miłość co najmniej kilka razy każdego dnia. Tymczasem ten owiany złą sławą kobieciarz nie wysiłał się w stosunku do niej na galanterię, a ona i tak chciała wierzyć, że jest w niej zakochany. Po tym doświadczeniu nabrała wątpliwości, czy umie sobie radzić z uwodzicielami. Przy kimś takim jak Ross nie miała szans.

Mógł zdobyć to, czego tak wielu pragnęło, ale tego nie zrobił. Wystarczyła mu świadomość, że gdyby chciał, mógł ją mieć, i że ona zdaje sobie z tego sprawę. Ross wyglądał na mężczyznę, który będzie umiał wyegzekwować od żony uprzejme i grzeczne zachowanie i zrobi co trzeba, by pożycie małżeńskie i płodzenie potomstwa przebiegało miło i harmonijnie. Wierzyła, że jeśli będzie trzeba, nie zawaha się użyć uwodzicielskich talentów i sprawi, że resztki goryczy czy agresji, jakie mogą jeszcze między nimi istnieć, znikną. Diabeł wcielony, jakim był dawny kornwalijski pirat, zmienił się w kogoś całkiem innego, bardzo praworządneho, godnego szacunku i rozsądnego, kto cieszył się sympatią samego króla i był zapraszany do najlepszych domów w mieście. Ironia losu sprawiła, że jej życie ułożyło się dokładnie na odwrót.

- Dlaczego tak wzdychasz? O czym myślisz? - zapytał. Elizabeth uniosła wzrok znad żurnala i zobaczyła, że Ross złożył gazetę i przygląda się jej uważnie.

- O niczym! - odparła szorstko i zaczęła szybko przerzucać kolorowe strony. - A ty, o czym myślisz?

- Sądząc z twojego rumieńca, zgaduję, że oboje myślimy o tym samym - odparł lekko rozbawiony. - To było szaleństwo, wiem...

- Co było szaleństwem? - zapytała ostrym tonem.

- To, że zachowałem się jak dżentelmen.

- Przyznaję, że to raczej nie w twoim stylu.

- Rzeczywiście, ale mówiłem ci już, że przy tobie dziwnie się zachowuję.

- Przykro mi - odparła uszczypliwie, sama nie rozumiejąc, dlaczego jest taka złośliwa.

- Jestem pewien, że nie tak jak mnie.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz sobie wieczorem poszukać pocieszenia.
- Nie. - Roześmiał się. - Prawdę mówiąc, dziś wieczorem zamierzam coś naprawić.

Elizabeth przywarła wzrokiem do jego warg.

- Chcę się z tobą ożenić.
- Myślałam, że to już ustalone.
- Nie zrozumiałaś. Chcę się z tobą ożenić teraz. Mam wszystkie potrzebne dokumenty.

Ross wydawał się mówić poważnie i Elizabeth nic z tego nie rozumiała.

- Co... co masz na myśli? Chcesz mnie teraz porwać? Dlaczego?

- Chcę się z tobą ożenić dziś, bo kto wie, co może przynieść jutro. Chcę, żebyś już była moją żoną.

Weźmy ślub jeszcze dzisiaj wieczorem, dobrze?

Zbyt późno zrozumiał, że popełnił błąd. Zapomniał, że ona już raz słyszała takie słowa. Pomyślał, że Havering musiał używać podobnych argumentów, kiedy namawiał ją do ucieczki. Nie mógł jej wyjaśnić powodów, dla których tak mu zależy na pośpiechu. A prawda była taka, że bał się o nią i to, co może się z nią stać, gdyby jutro coś poszło nie tak. Na samą myśl, że Cadmore znów mógłby się jej narzucać, ogarnęła go groza. Zrozumiał, że musi porozmawiać z bratem i uzyskać jego obietnicę, że w razie jego śmierci zajmie się Elizabeth. Myślał o tym, jak jej zapewnić bezpieczeństwo, ale najbardziej pragnął się z nią kochać. Gdyby mu dopisało szczęście, mógłby jej dać pochodzące z prawego łóża dziecko. Czuł bowiem, że właśnie dziecka najbardziej jej w tej chwili potrzeba.

Elizabeth była wstrząśnięta, a dobra opinia, jaką wicehrabia zyskał sobie ostatnio w jej oczach, przepadła. Zrozumiała, że propozycja małżeństwa nie była prawdziwa, i że jej los nie będzie lepszy od tego, co spotkało Jane.

- Proponujesz mi układ, który dla ciebie ma wyłącznie plusy. Dostaniesz swoje pieniądze, żonę i noc poślubną, a potem okaże się, że ślubu udzielił jakiś szarlatan bez odpowiednich dokumentów i będziesz mógł wszystko unieważnić. Dlaczego nie poprosisz mnie wprost, żebym się z tobą przespała... tak jak to robią inni mężczyźni? - Zerwała się z fotela, a na jej bladych policzkach wystąpiły ciemne czerwone plamy. - Jest już późno. Chcę się położyć.

- Elizabeth, chcę się z tobą kochać.

- Dobranoc!

- Kocham cię, Elizabeth. - Cicho wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z wściekłością. Nie mogła się zdecydować, czy wyśmiać to żalosne i wypowiedziane nie w porę kłamstwo, czy też dać mu w twarz za to, że upadł na tyle nisko, by się nim posłużyć. Ostatecznie nie zrobiła niczego, tylko stała, wpatrując się w niego wielkimi oczami, a on schylił głowę i zaklął, a potem zaśmiał się z rozpaczą.

- To prawda, ale nie chcę cię dłużej zatrzymywać. - Teraz dla odmiany on popatrzył w sufit. - Idź do łóżka. Wybacz, że mówiąc ci, co czuję, wywołałem to całe zamieszanie. Zachowuję się jak idiota.

Trzymając rękę na klamce, wiedziała, że zdąży uciec, gdyby chciał się do niej zbliżyć, ale mimo że szedł w jej kierunku, nie była zdolna wykonać żadnego ruchu.

Ross dotknął ręką jej policzka, nie pozwalając, by ją strząsnęła.

- Nie wierz, jeśli będą ci mówić, że jestem wytrawnym kobieciarzem, dobrze? Przy tobie zachowuję się jak niedoświadczony młodzieniec.

Pochylił się, próbując ją pocałować, ale odwróciła głowę.

- Elizabeth, proszę... - szepnął, a w jego głosie oprócz ironii było szczere pragnienie. - Tylko jeden pocałunek... dla ciebie - przymilał się.

Zacisnęła usta i już miała powiedzieć coś obraźliwego, ale gniew minął i jego miejsce zajęło niedowierzanie, a wtedy Ross zaczął ją całować. Przez chwilę próbowała się bronić, lecz szybko przestała i objęła go za szyję. Nie przerywając pocałunku, uniósł ją w powietrze jak piórko, a ona pomyślała, że gdyby przed laty uciekła z młodzieńcem podobnym do niego, wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej.

- Idź do łóżka... a rano wszystko będzie dobrze - powiedział ochryplym z podniecenia głosem, a potem ostrożnie postawił ją na podłodze i wyszedł.

Ostatnim razem, kiedy Ross był tak niesłychanie spokojny, doszło do dramatycznych wydarzeń i gdyby Luke znał wtedy przyszłość, przywiązałby brata do schodów.

Niestety, Ross nie był już dzieckiem i nie można go było powstrzymać.

Luke przypomniał sobie rano sprzed lat. Były to dziewiętnaste urodziny Rossa. Szukał go po całym majątku, bo w stajni cierpiała klacz, która nie mogła się ożrebić, i tylko Ross mógł jej pomóc. Dostrzegł go stojącego sztywno na samej krawędzi przepastnego klifu. Krzyk zamarł mu w gardle, bo nie wiedział, czy brat w pogoni za nowymi doznaniem nie posunie się za daleko.

Luke zauważył, że Ross stoi bez butów, ubrany wyłącznie w koszulę i spodnie i wpadł w panikę. Patrzył, jak brat skinął głową i roześmiał się, tak jak to zawsze robił, kiedy się na coś zdecydował i za późno już było na jakiegokolwiek zmiany.

Pamiętał, że stał jak wrośnięty w ziemię i patrzył na brata, który wyskoczył w górę niczym jaskółka, a po chwili z wdziękiem zapikował w dół i zaczął spadać jak kamień.

Luke jak oszalały dobiegł do klifu, ale kiedy spojrział w dół, nie dostrzegł brata. Zbiegł na dół, potykając się i przewracając, i zobaczył, że Ross cały i zdrowy leży na piasku z rękami skrzyżowanymi pod głową.

- Mówiłem, że to możliwe - powiedział, a wtedy Luke rzucił się na niego i, czując ogromną ulgę, zaczął go bić, odreagowując w ten sposób swoje zdenerwowanie. Po chwili Ross uznał, że Luke powinien się uspokoić i strząsnął go z siebie jednym uderzeniem. - Tylko nie mów mamie - mruknął i odszedł. Kiedy był już daleko, odwrócił się i zawołał:

- Nic nie może się z tym równać. Spróbuj. Musisz stanąć tam gdzie ja i tylko wtedy, gdy jest przyływ.

Luke spróbował. Skoczył i to było wspaniałe. Rzeczywiście nic nie mogło równać się z tym niezwykłym uczuciem, kiedy człowiek leci, przesywając powietrze niczym strzała, a potem przebija taflę lodowatej wody i nurkuje kilkadziesiąt metrów

Po kolejnym skoku, kiedy Luke leżał na plaży i sechł, zrozumiał że tamten dzień, gdy jego brat skoczył po raz pierwszy, musiał być ukoronowaniem wielomiesięcznych obserwacji przyływów i skrupulatnych wyliczeń trajektorii lotu.

Ross był awanturnikiem z wyboru i musiał umieć ocenić szanse na przeżycie i wyjście cało z różnych opresji. Był w tym najlepszy. I teraz w mglisty, wrześniey poranek Luke widział, że jego brat znowu intensywnie myśli.

- Przypieszacze w karabinkach skałkowych są nieobliczalne - powiedział Guy.

Luke kiwnął głową, nie odrywając wzroku od nieruchomych, milczących postaci. Widział medyka, Davida i Dickiego, a także sekundantów Cadmore'a i jego kolegów. Patrzył, jak pojedynkujący się mężczyźni dochodzą do oznaczonych miejsc i zaczynają się odwracać. Nie spuszczać oczu z hrabiego, zobaczył, że tamten od razu wyciągnął rękę z bronią i usłyszał strzał.

Ross potknął się, ale nie upadł. Medyk rzucił się ku rannemu, a obaj sekundanci hrabiego popatrzyli na Cadmore'a z obrzydzeniem. Wystrzelił, zanim dano sygnał. W bezsilnym gniewie Luke patrzył, jak na białej koszuli jego brata rośnie ciemnoczerwona plama. Słyszał, jak Guy klnie, i widział, że Dickie i David wściekłym krokiem chodzą wzdłuż żywopłotu.

Ross nadal trzymał się na nogach. Ruchem głowy odprawił medyka i skupił uwagę na hrabim, który stojąc z dymiącym pistoletem w ręce, trząsł się ze strachu.

Powoli i ostrożnie Ross przełożył pistolet z prawej, bezużytecznej w tej chwili ręki, do lewej, a potem dokładnie wycelował w głowę Cadmore'a i strzelił.

- Nie jest ci zimno? Może przykryjesz się jeszcze tym kocem? - zapytał Hugh.

- Nie trzeba - odparła z uśmiechem Elizabeth, ale chętnie okryła się starym, podróżnym kocem. Była zdenerwowana.

- Która godzina?

- Piąta trzydzieści.

- Jestem ci wdzięczna, że tu ze mną przyjechałeś. Zmarszczyła brwi, wpatrując się w poranną mgłę. Po raz setny sprawdziła, czy ma w kieszeni klejnot.

- Wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko. Nawet to, czego nie powinienem. - Zaśmiał się niewesoło. - Twoja babka przeklnie mnie za to, że ci pomogłem... jeśli wcześniej nie zrobi tego twój narzeczony. - Hugh umknął wzrokiem w bok.

- Dlaczego sama mi o tym nie powiedziałaś? Dlaczego to od Sophie musiałem się dowiedzieć, że wychodzisz za męża? I w dodatku za kogoś takiego?

- On... wicehrabia nie jest złym człowiekiem. Chciałam ci powiedzieć, ale wszystko się tak skomplikowało. Początkowo myślałam, że za niego nie wyjdę. Potem zmieniałam zdanie, teraz... teraz myślę, że powinnam... Och, proszę, nie każ mi tego tłumaczyć, bo sama nic nie rozumiem.

Nie wiedziała, co sądzić o wczorajszym wieczorze. Ross proponował jej ucieczkę, a przecież nie było ku temu żadnych powodów. Potem wyznał jej swoje uczucia, ale zrobił to niezdarnie i nieelegancko, jak młody chłopak. Czego oczekiwał? Że go pokocha i ulegnie jego prośbom? I nagle zrozumiała, że kocha Trelawneya i że jeśli on ją jeszcze raz poprosi, zgodzi się na wszystko. Niech diabli biorą fałszywego księdza i całą resztę.

Teraz już wiedziała, że go pragnie. Nie przeszkadzało jej, że inne kobiety też chciały go mieć dla siebie, ani to, że być może zdobył ją, podobnie jak inne, zaskakującą bezradnością. Nie wiedziała, czy udawanie żółtodzioba było subtelną formą uwodzenia, ale jeśli tak, w jej przypadku okazało się skuteczne.

Siedząc zmarznięta i zdenerwowana w powoziku pastora, zastanawiała się, czy jest szalona, chcąc za wszelką cenę ratować nieszczęsną przyjaciółkę. Myśląc o oszuście, który zostawił Jane i jej synka na łasce losu, nie mogła się nie zastanawiać, dlaczego Ross tak nagle zaczął się spieszyć ze ślubem. Nie potrafiła jednak wymyślić nic innego niż pieniądze i seks. Nie pora teraz nad tym się zastanawiać, uznała i pomyślała, że najpierw musi uratować Jane. I nagle dotarło do niej, że problemy innych, którymi tak intensywnie zajmowała się w ciągu ostatnich lat, miały ją zająć, by nie starczyło czasu na rozmyślania o własnym, jałowym życiu.

- Gdybym wierzył, że Stratton może dać ci szczęście, sam bym udzielił wam ślubu. Ale to, co o nim słyszę, nie pozwala uwierzyć, by mógł być dobrym, lub choćby dyskretnym mężem. Słyszałem, że kobiety nie potrafią mu się oprzeć... - Hugh przerwał, bo usłyszał hałas.

Leach wyskoczył, zanim powóz zdążył się zatrzymać, i podszedł do Elizabeth z rękami w kieszeniach. Patrząc ponad jego głowę, dostrzegła w głębi powozu Jane i jej synka.

Za chwilę miało tu dojść do handlu żywym towarem, a Leach witał się z nimi tak przyjaźnie, jakby spotkali się pod kościołem po niedzielnej mszy.

- Przyrowadź panią Selby i jej syna bliżej - polecił sucho pastor.

- Wierzę, że ma pani dla mnie to coś, o czym rozmawialiśmy. - Leach spojrzał na Elizabeth.

Wyjęła naszyjnik i, trzymając go mocno w ręce, pokazała klejnot, który błyszczał nawet w mglistym świetle poranka. Leach skinął ręką i Jane razem z synkiem podeszła bliżej, a Elizabeth dostała mały, zniszczony zeszytek.

- Tu są jej rachunki. Wszystko jasno i porządnie zapisane.

Skinęła głowę, odwlekając chwilę, kiedy będzie musiała rozstać się z naszyjnikiem. Ale widok przygnębionych i ponurych twarzy Jane i jej synka szybko zmiękczył jej serce.

Czujnym oczom Leacha nie umknął żaden szczegół. Wziął chłopca na ręce i posadził go obok pastora.

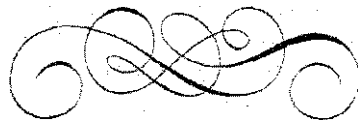
- Bądź grzeczny dla tej pani... - powiedział pieszczotliwym tonem i spokojnie wyciągnął rękę.

Kiedy tylko poczuł naszyjnik na swojej dłoni, zacisnął palce i błyskawicznie schował klejnot do kieszeni. A więc stało się, brylanty matki są teraz własnością tego obmierzłego typu, pomyślała Elizabeth, posuwając się, by zrobić na siedzeniu miejsce dla Jane.

- Skoro wszystko załatwione, wracajcie do domu. - Leach uśmiechnął się tryumfalnie.

- Jane jedzie z nami - szepnęła Elizabeth. - Powiedział, że uwolni ich oboje - dodała, patrząc z rozpaczą na pastora.

- Zgodziłem się, żeby pani spłaciła jej długi, ale tego nie mówiłem. Oddałem chłopca i zeszyt z rachunkami, ale żony nie oddam. Zresztą prawo zabrania rozdzielać męża i żonę, prawda, pastorze? - Leach roześmiał się, patrząc, jak pokonany Hugh w bezsilnej złości zaciska pięści.



Rozdział czternasty

Harry Pettifer umiał zachować kamienny spokój w każdych okolicznościach. Tym razem jednak pojawił się w salonie wyraźnie podniecony i przerwał Edwinie śniadanie.

- Przynoszę niezwykle wieści, pani Sampson - oznajmił zdyszany.

Edwina domyśliła się, że Harry musiał biec i natychmiast się zdenerwowała.

- Co się stało? Mów, na Boga, zanim umrę na serce. Pamiętaj, że jestem już stara.

- Całe miasto aż huczy od plotek o pojedynku między wicehrabią Strattonem i hrabią Cadmore'em. Stratton wyzwał Cadmore'a wczoraj, a pojedynek odbył się dziś o świcie w Wimbledon Common. Pierwsze doniesienia z miejsca pojedynku mówią, że hrabia wystrzelił przed czasem i że ktoś został ranny. Do razu wróciłem, żeby to pani powiedzieć, a teraz spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

- Ależ mnie wystraszyłeś. - Edwina energicznie zabrała się za smarowanie masłem tostu. - Musiało do tego dojść.

- Wiedziała pani, że będą się pojedynkować? - Harry był wyraźnie zaskoczony.

- Nie słyszałam o pojedynku, ale miałam nadzieję, że Stratton wyzwie tego łajdaka. I jak widzę, nie zawiódł moich oczekiwań. - Edwina roześmiała się zadowolona.

Harry wpatrywał się w nią bez słowa, aż w końcu przemówił.

- Wiadomo, że ktoś został ranny, ale nie znam żadnych szczegółów. Nie wiem kto ani jak poważnie. Nie obawia się pani, że to hrabia mógł śmiertelnie ranić Strattona?

- Wierzę w Rossa. Poza tym na pewno już wcześniej pojedynkował się z oszustami. Słyszałam, że Stratton nigdy nie chybia, a rusznikarze proszą go, by wziął za darmo ich pistolety, bo to dla nich świetna reklama. Jestem pewna, że nie pozwoli, by ta gnida coś mu zrobiła! A jeśli chodzi o Cadmore'a to niedługo kwiatki na nim wyrosną! No, Harry, uśmiechnij się. Nie dość, że uwolnimy się do Cadmore'a, to jeszcze coś na tym zarobię. Byłam pewna, że Stratton wykończy hrabiego, więc założyłam się o to... z twoją nową panią. Jak myślisz, o co się z nią założyłam?

- Domyślam się, choć od razu oświadczam, że u pani Penney nie mam zamiaru zostać dłużej niż sześć miesięcy, na które się zgodziłem.

- I tak byś pewno nie wytrzymał - mruknęła pod nosem Edwina, a głośno powiedziała: - Teraz nie musisz już wcale do niej iść. Znów jesteś mój.

- Zawsze tak było, pani Sampson. Taki już mój los - odparł cicho Harry.

Edwina przestała jeść i, patrząc na swojego kamerdynera, zarumieniła się.

- Czy moja wnuczka jeszcze śpi? - zapytała, żeby coś powiedzieć.

- Przypuszczam, że tak. Nie widziałem jej jeszcze dziś rano. Przyglądając się Harry'emu spod oka, Edwina poczuła, że wraca jej ochota na to, o czym nie myślała od śmierci męża. Zarumieniła się jeszcze mocniej. Na Boga! Jestem tak samo rozpustna jak ta Penney! - stwierdziła i szybko zaczęła rozmowę.

- Kiedy Lizzie o tym usłyszy, może łaskawiej spojrzy na Rossa i doceni jego dobre strony. Zobacz, jak to sobie zaplanował, że pojedynek odbył się rankiem w dniu, w którym w gazetach ukaże się informacja o ich ślubie. Jako oficjalna narzeczona, Elizabeth odzyskała swoją pozycję i dobre imię. Założę się, że do wieczora liściki z zaproszeniami nie zmieszczą się na półce nad kominkiem. - Szelmowski uśmiech pojawił się na twarzy Edwiny. - Stawiam gwineę, że do południa dostaniemy... pierwszych sześć.

Po kwadransie przyszło pierwsze zaproszenie, dając jej nadzieję na wygranie zakładu. Idąc schodami na górę, z zadowoleniem czytała jego treść. „Lady Regan ma nadzieję, że pani Sampson i lady Elizabeth Rowe, przyjmą zaproszenie i zaszczycą ją swoją obecnością dziś po południu w domu przy Brook Street”.

Na piętrze dostrzegła pokojówkę Elizabeth z tacą zastawioną sutym śniadaniem i zaniepokoiła się, dlaczego wnuczka postanowiła zjeść w łóżku. Po zastanowieniu doszła jednak do wniosku, że skoro dopisuje jej taki apetyt, nie może być bardzo chorą.

- Daj mi tacę, sama ją zaniosę. Chcę porozmawiać z wnuczką - powiedziała, ale pokojówka nie chciała puścić tacy. Kobiety wrywały ją sobie przez chwilę, aż wreszcie zdenerwowana Edwina uderzyła Josie po rękę. - Co ty wyprawiasz, głupia dziewczyno? Chcesz wylądować na ulicy bez żadnego świadectwa w rękę?

Josie zaprzeczyła ruchem głowy, a potem wybuchnęła płaczem i puściła tacę.

Elizabeth usłyszała zamieszanie na korytarzu i wyszła sprawdzić, co się dzieje. Była w błękitnej haftowanej koszuli nocnej, a rozpuszczone włosy sięgały jej niemal do pasa.

- Ta głupia dziewczyna nie słucha, co do niej mówię - mruknęła Edwina, podczas gdy Elizabeth wyjęła tacę z jej rąk, dziękując za śniadanie.

Ale Edwina nie miała zamiaru odejść. Chciała porozmawiać z wnuczką.

- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdziła, widząc cienie pod oczami Elizabeth. - Żle spałaś?

- Tak, dokuczały mi mdłości. Teraz chcę jeszcze trochę poleżeć, a za godzinkę zejść na dół i chętnie wysłucham twoich wieści.

Elizabeth uśmiechnęła się do babci, a potem skinęła na Josie, która błyskawicznie otworzyła jej drzwi do pokoju. Kiedy zostały same, Josie zaczęła się usprawiedliwiać, ale Elizabeth położyła palce na ustach, każąc jej zamilknąć.

Edwina została na korytarzu sama. Przyłożyła ucho do drzwi sypialni wnuczki, ale ponieważ nic nie usłyszała, wzruszyła ramionami i patrząc z uśmiechem na trzymane w rękę zaproszenie, poszła do garderoby, żeby pomyśleć, w co się ubierze na wizytę przy Brook Street.

- Jesteś głodny? - zapytała Elizabeth, ale mały chłopiec nie odpowiedział, tylko patrzył na nią poważnym wzrokiem.

- Chodź, Jack. Zjedz coś. Od razu poczujesz się lepiej - poprosiła, ujmując w swoje dłonie jego małą rączkę. Chłopczyk wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać, więc delikatnie zakryła mu usta ręką i przypomniała, że bawią się w chowanego i wygrywa ten, kto jest najciszej. - Pamiętaj, jeśli chcesz wygrać

ciastko, musisz być cicho jak myszka.

- Nie chcę ciastka. Chcę do mamy - wykrztusił żałośnie mały.

- Wiem, kochanie. Obiecuję, że zrobię wszystko, co możliwe, żeby mama do ciebie wróciła.

Jack zerkał na tacę ze śniadaniem, aż w końcu głód przemógł obawy i zjadł najpierw tost, a potem jajecznice.

- Musimy go wykapać - oznajmiła Elizabeth, podczas gdy Josie stała nieruchomo, wpatrując się w małego, jakby był duchem. - Przygotuj kąpiel, babcia powinna być w swoim pokoju, więc cię nie zobaczy.

Po paru minutach balia z wodą była gotowa, ale zadanie okazało się trudniejsze, niż przypuszczały, bo mały wyraźnie bał się wody i mydła. Och, gdyby Hugh zgodził się wziąć chłopca do siebie, póki nie wymyślą, co z nim zrobić. Niestety, choć pastor deklarował, że zrobi dla niej wszystko, w jego domu rządziła matka, a ta nie wpuściła dziecka za próg. Powiedziała, że Elizabeth może odwieźć małego albo do przytułku dla podrzutek, albo zabrać go do siebie. Nie po to go wyrwałam z łap Leacha, żeby teraz trafił w równie podłe miejsce, pomyślała i zdecydowała się zabrać go do domu.

Przypomniała sobie, jak błagała Leacha, by pozwolił odejść Jane, jak apelowała do jego honoru i przypominała dane wcześniej obietnice. Podstępny łajdak okazał się niewzruszony. W końcu Jane pogodziła się z myślą, że zostaje i poświęci swoje życie, by ratować syna. Prosiła ich tylko, by zadbali o jej synka i nie pozwolili, aby wyrósł na złodzieja i drania. Elizabeth wiedziała, że Leach nie zwróci jej naszyjnika, i musiała przyznać, że całe przedsięwzięcie okazało się porażką. W drodze powrotnej Hugh mamrotał, że na pewno oni nie są małżeństwem i Jane znowu wróci do pracy, a mały przez cały czas płakał za matką.

Kiedy Elizabeth wróciła rano do domu, wszyscy jeszcze spali, tylko Josie i Peter, najmłodszy stajenny, tulili się do siebie przy bocznych drzwiach. Przyłapaną parą chętnie obiecała zachować milczenie na temat małego gościa.

Widząc, że chłopiec nie ma ochoty na kąpiel, Elizabeth próbowała go zachęcić.

- Twoja mama chciałaby, żebyś był czystutki i pachnący, kiedy cię znowu zobaczy - powiedziała i, jak się okazało, argument był trafiony. Jack spojrzał na nią z powagą w oczach i zaczął się rozbierać. Patrząc na mizerne, blade i bardzo brudne ciało, pomyślała o razach, które mały zbierał od Leacha za brak postępów w złodziejskim rzemiośle.

Rozumiała, że długo nie zdoła tu ukrywać chłopca i że jedynym człowiekiem, który może ją uratować jest Ross. Deklarował, że zawsze chętnie jej pomoże, ale wtedy odrzuciła propozycję. Teraz żałowała, że nie powiedziała mu o swoich planach, bo ktoś taki jak on, na pewno wiedziałby, co zrobić. Wiedziała, że będzie zły, ponieważ postąpiła wbrew jego zakazowi, ale potrzebowała go. Nie miała innego wyjścia, musiała się upokorzyć i prosić go o pomoc, bo nie dość, że jej plany zakończyły się fiaskiem, to jeszcze miała u siebie żywy kłopot.

- To cud, że żyje - stwierdził przejęty Pettifer.

- Ma dobry refleks. Gdyby nie to, nie przetrwałby tak długo w swoim fachu - odparła Edwina.

- Mówią, że Cadmore strzelił tak dużo przed czasem, że mógł go trafić w plecy!

Elizabeth weszła do salonu i zaskoczona zobaczyła kamerdynera, stojącego w dziwnej pozycji i wykonującego jakieś niezrozumiałe ruchy.

- Pettifer, co robisz? - zapytała.

Kamerdyner wyprostował się i poprawił uniform.

- Demonstruję jedną z metod obrony w czasie pojedynku. To nie lada wyczyn ustawić się tak, by kula, zanim trafi w ważny organ, najpierw musiała przejść wzdłuż całego ramienia.

- Czyżbyś zamierzał się pojedynkować? Pokłóciłeś się o coś z babcią?

- Skądże znowu, stosunki między pani babcią i mną układają się... coraz bardziej harmonijnie - odparł Harry. Po tych słowach Edwina zarumieniła się, a Harry, patrząc na jej policzki, lekko się uśmiechnął. - Poza tym obawiam się, że pani Sampson mogła pobierać lekcje u swojego przyjaciela, więc techniką nie dorastam jej do pięt.

- Pojedynki są głupie, a poza tym to przestępstwo. Mogliby was oboje aresztować.

- Może masz rację, ale przyznaj, że nie sposób im odmówić heroizmu. Szczególnie gdy w grę wchodzi zemsta za zło wyrządzone damie.

- Myślę, że żadna kobieta nie chciałaby mieć na sumieniu takiego barbarzyństwa - odparła Elizabeth i nagle zaczęła się niepokoić.

Harry sprzątnął ze stołu dzbanek z kawą i pustą miseczkę po marcepanie i bez słowa zniknął za drzwiami. Podejrzenia Elizabeth przybrały na sile.

- O kim rozmawialiście? Kto z twoich przyjaciół mógł cię uczyć pojedynkowania się? - zapytała, ale zanim babka zdążyła odpowiedzieć, wpadła w panikę. - Co chciałaś mi powiedzieć, kiedy przysłałaś na górę?

- Mam wrażenie, że ostatnio przekonałaś się trochę do Rossa. W pełni zasłużył na to, byś miała o nim dobrą opinię, choć może zbyt późno to zrozumiałaś. Zaryzykował życie i zdrowie, by przywrócić ci dobre imię i szacunek. Dzisiejsza gazeta drukuje informację o waszych zaręczynach i przypadkowo także dziś rano miało miejsce jego spotkanie z Cadmore'em w Wimbledon Common...

Elizabeth przestała słyszeć, co mówi Edwina. Zrobiło się jej słabo i sztywno usiadła na najbliższym krześle, patrząc, jak babcia pokazuje z zadowoleniem zaproszenia leżące na stoliku obok kanapy. Wydawało się jej, że jest ich osiem.

- Najpierw pójdziemy do lady Regan, a potem do Braithwaitów. A może sama chcesz wybrać, kogo odwiedzimy?

- Zabili go?

- Kogo? Rossa? Oczywiście, że nie! W innych okolicznościach nie zostałby nawet ranny, ale ten podstępny łajdak strzelił przed czasem i...

- Czy to poważna rana? Był przy nim lekarz? - Elizabeth zbladła i zerwała się z krzesła.

- Pettifer mówił, że kula nie uszkodziła kości. Demonstrował, nawet całkiem wdzięcznie, jak można użyć ramienia jako tarczy. Myślę, że Ross nauczył się tego dawno temu...

- A Cadmore? Zabity? - zapytała cicho.

- Powinien był zginać. Ross zestrzelił mu kapelusz, choć naoczni świadkowie oczekiwali, że trafi prosto między oczy.

- Bogu dzięki, że spudłował...

- Ross nie pudłuje! - Edwina zmarszczyła brwi. - Darował mu życie. I zrobił skunksowi bliznę wzdłuż łysiny. Napiętnował go, jak podłego tchórza, którym zresztą hrabia naprawdę jest. Myślę, że nigdy więcej nie pokaże się publicznie. Ross to prawdziwy mistrz... nawet jeśli strzela lewą ręką.

- Muszę go zobaczyć... Gdzie on jest? - Elizabeth chodziła w kółko, okropnie przejęta.

- Luke zabrał go już do swojego domu i na pewno zadbał o najlepszego medyka. Musieli mu wyjąć kulę. Nie powinnaś go oglądać pokrwawionego.

To było ponad jej siły. Elizabeth poczuła okropne mdłości i wybiegła z salonu, wbijając zęby w zaciśniętą pięść.

- Lizzie, natychmiast otwórz drzwi, słyszysz!

- Jestem zmęczona i zostaję w domu.

- Zmęczona? Od kilku dni prawie nie wychodzisz z łóżka. Dostałyśmy zaproszenie od lady Conyngham. To faworyta króla, musisz iść. - Edwina wsunęła pod drzwi niedużą wizytówkę.

Elizabeth podniosła kartonik z podłogi i przeczytała, że lady Conyngham zaprasza je do swojego domu w Mayfair na wieczorny występ słynnej włoskiej śpiewaczki operowej. Bez słowa odłożyła zaproszenie na stos innych, z których nie skorzystała.

- Czy wicehrabia wrócił już do miasta? - zapytała.

- Nic o tym nie wiem, ale po takim skandalu panowie na ogół znikają na jakiś czas - odparła po dłuższej chwili babcia. - Ross jest dżentelmenem. Domyślam się, że chce dać hrabiemu czas, by mógł wyjechać na wieś do żony, nim sam wróci do Londynu i zacznie zbierać liczne hołdy i pochlebstwa. Jako narzeczona Strattona, odzyskałaś pozycję w towarzystwie i nawet największe damy zapraszają cię do swoich domów. Słyszałam, że robią już zakłady, kogo pierwszego zaszczycisz swoją wizytą. Mogłybyśmy postawić dyskretnie jakąś sumkę...

- Wiesz coś o stanie jego zdrowia? Czy rana dobrze się goi?

- Nie wiem, ale to nie jest jego pierwsza rana w życiu. Ten człowiek walczył z żołnierzami, piratami i z pijanymi kompanami i zawsze wychodził z tego cało. Jest silny jak byk i ma na ciele więcej szwów niż twoja suknia ślubna! Poza tym, o ile pamiętam, niedawno sama też chętnie naszpikowałaś go ołowiem. Och, skoro nie chcesz iść, pójdę z Evangeline - zdecydowała Edwina, dając za wygraną.

Elizabeth oparła się o drzwi, dręczona obrazem zainfekowanej rany i majaczącego w gorączce Rossa. A jeśli już nigdy go nie zobaczy, nie usłyszy jego głosu i nie poczuje na sobie dotyku jego palców? Co zrobi, jeśli nie dostanie szansy, żeby go za wszystko przeprosić i wyznać, że go kocha.

Schodząc po schodach, Edwina zastanawiała się, czy w drodze do lady Conyngham nie złożyć krótkiej wizyty w domu Sassa i nie zapytać o zdrowie jego właściciela. Kiedy jednak dotarła na dół, zobaczyła, że kamerdyner pomaga zdjąć płaszcz narzeczonemu jej wnuczki.

- Co się z tobą działo? - spytała ostrym tonem, bo zirytowała ją ogromna ulga, jaką poczuła na jego widok. - Dobrze, że jesteś. Elizabeth dziwnie się ostatnio zachowuje, jeszcze zanim usłyszała o pojedynku, czuła się jakoś słabo, a kiedy się dowiedziała, że zostałeś ranny, w ogóle przestała wychodzić z pokoju.

Nagle Edwina zamarła i popatrzyła na Rossa. Przypomniała, sobie wieczór, kiedy wnuczka znikła z domu i dopiero około północy została odwieziona z powrotem przez tego czarującego Romea.

- Poranne mdłości. Niech to diabli! - mruknęła do siebie. - Czemu wcześniej na to nie wpadłam? Nic dziwnego, że Lizzie tak się martwi. Przecież jeszcze nie wyszła za męża.

- O co chodzi? - zapytał Ross, patrząc na mamroczącą pod sosem Edwinę.

- Żeń się z nią, i to jak najszybciej, albo sama nafaszeruję cię ołowiem. Przekonasz się! W tej sytuacji możemy sobie darować te wszystkie ceremonie, więc sam idź na górę. Trzecie drzwi po lewej stronie. Ja wychodzę posłuchać, jak śpiewa signora Favetti - dodała, ale Ross już biegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Elizabeth usłyszała podwójne puknięcie w drzwi, ale nie zwróciła uwagi, że Josie stuka zwykle dużo lżej. Leżała na łóżku i z czułością przyglądała się śpiącemu chłopczykowi. Mieszkał u niej dopiero kilka dni, a już zaróżowiły mu się policzki i chyba nawet odrobinę przybrał na wadze. Pomyślała, że jest podobny do Toma, jej przyrodniego braciszka, i chyba był nawet w podobnym wieku.

- Czyżbym był dla ciebie za stary?

Słyszając głos Rossa, Elizabeth zamarła, a potem szybko przewróciła się na brzuch. Chcąc jak najszybciej wstać z łóżka, oparła się na łokciach i kolanach, wypinając przy tym prowokacyjnie pośladki osłonięte tylko cienką, satynową nocną koszulką. Patrząc na Rossa jak na ducha, wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła jego ramienia. Przekonała się, że to naprawdę on i delikatny, stęskniony dotyk zmienił się we wściekłego klapsa.

- Ty... ty diable! - Odskoczyła od niego ze złością. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Dlaczego co zrobiłem? - zapytał ochrypłym głosem, nie odrywając oczu od jej stwardniałych sutków, widocznych pod cienką koszulką. Chciał wziąć ją w objęcia, ale uciekła. - Co takiego zrobiłem? Przestraszyłem cię? Przepraszam...

Elizabeth wyprostowała się na całą swoją wysokość stu pięćdziesięciu siedmiu centymetrów i przyjrzała się Rossowi. Widząc, że jest zdrowy, wpadła w złość, że niepotrzebnie się zamartwiała, wyobrażając go sobie w gorączce z amputowanymi kończynami. Podbiegła do stolika zaszypanego licznymi zaproszeniami i wskazując na nie, powiedziała:

- To wszystko przez ciebie!

Zgarnęła wizytówki ze stolika i rzuciła nimi w Rossa.

- Dla tego ryzykowałeś swoje życie? Myślałeś, że zrobisz na mnie wrażenie, dając się zabić, bym na plecach twoich grabarzy mogła tryumfalnie wrócić do salonów socjety? Nie chcę tych zaproszeń!

- To czego chcesz? - zapytał miękko, a pożądanie, jakie wypełniło niewielką przestrzeń dzielącą ich od siebie, zdawały się prawie namacalne. - Powiedz, Elizabeth... Jesteś bardzo odważną kobietą, możesz mi powiedzieć, czego pragniesz...

- Ciebie.

- Jestem twój - powiedział z radością. - A to, co zrobiłem... po prostu musiałem to zrobić i tyle.

- Bałam się, że umierasz od ran albo od infekcji.

- Nic mi nie jest. Zawsze kiedy byłem ranny, uciekałem nad morze, słona woda leczy. Pojechałem do Stratton Hall na kilka dni.

Ulga znalazła ujście we łzach, które popłynęły po twarzy Elizabeth.

- Gdzie jesteś ranny?

- Wszędzie...

- Wszędzie... - powtórzyła jak echo.

- To dobrze. Więcej miejsc, które trzeba pocałować, żeby się szybciej zagoiło.

Elizabeth dłużej już nie mogła wytrzymać. Chwyciła Rossa za szyję i zaczęła obsypywać jego twarz pocałunkami.

- Masz mi może coś do powiedzenia, Elizabeth? Coś co sprawi mi przyjemność?

- Obiecuj, że nie będziesz się złościć. To grzeczny, mały chłopczyk.

- Ten mały mi nie przeszkadza. Ale skoro sama poruszyłeś ten temat... To twój przyrodni brat?

Chciała się uwolnić z uścisku Rossa, zanim mu odpowie. Ale kiedy odpychała od siebie jego rękę, uraziła ranne ramię i Ross skrzywił się z bólu.

- Przepraszam, Ross, przepraszam za wszystko. Obiecuj, że nie będziesz na mnie zły - błagała, bo tak bardzo chciała, żeby to, co zrobiła, nie zniszczyło harmonii i czułości, które zapanowały między nimi.

Ross usiadł w fotelu i pociągnął ją za sobą, ustawiając nogi tak, by musiała na nim usiąść okrakiem. Taka pozycja wydawała się Elizabeth wyjątkowo nieskromna, ale po namiętym pocałunku Rossa przestała o tym myśleć.

- Kim jest ten chłopiec? - zapytał po chwili.

- Nazywa się Jack. - Elizabeth mocno objęła Rossa za szyję, jakby to mogło powstrzymać jego złość. - To syn mojej dawnej przyjaciółki... tej, która... znalazła się w trudnym...

- Porwałś syna tej ladacznicy? - Niedowierzanie odmalowało się na twarzy Rossa.

- Ten potwór miał pozwolić odejść i Jane, i jej synowi, ale potem zmienił zdanie i oddał tylko małego. Jane błagała, żebym go zabrała. Edwina o niczym nie wie i nie ma pojęcia, że to dziecko tu jest.

- Przekonałaś się, że życie nie jest takie proste? - zapytał, z przerażeniem przeczuwając, co za chwilę usłyszy. - Byłaś w dokach, żeby ją wykupić? Sama?

- Hugh ze mną pojechał. To dobry przyjaciel... Nie złość się! - Fiołkowe oczy wpatrywały się w niego z przejęciem.

- Czy taki parweniusz jak wicehrabia, może być pobłażliwy? - zapytał, ale znał odpowiedź, zanim Elizabeth zdążyła otworzyć usta.

- Nie wiem - odparła, kryjąc zarumienioną twarz na jego ramieniu.

Bliskość Rossa wprawiła ją w zakłopotanie, Jej piersi zrobiły się nagle ciężkie i pełne, a miejsce u zbiegu ud, którym ciasno przywierała do ciała mężczyzny stało się gorące i wilgotne. Wszystko to było takie nowe i podniecające, i jednocześnie przerażało Elizabeth.

- Mój wicehrabia jest prawdziwym dżentelmenem, odważnym i honorowym mężczyzną, który nigdy nie nadużyłby swojej przewagi, nawet gdyby go bardzo kusiło.

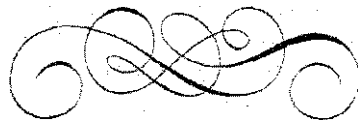
- Bardzo go kusi, kochanie.

- Wiem - szepnęła i, nie mogąc dłużej zapanować nad podnieceniem, zaczęła go całować w usta, instynktownie przyciskając biodra do jego ciała.

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi, a potem Josie weszła do sypialni, zanim Elizabeth zdążyła choćby pomyśleć, że nie powinna siedzieć narzeczonemu na kolanach. Pokojówka stanęła jak wryta, ale po chwili opanowała zaskoczenie.

- Pettifer kazał powiedzieć, że ma pani gości, panienko Elizabeth - powiedziała cicho i błyskawicznie wycofała się za drzwi.

Starając się nie wpaść w histerię, Elizabeth zrozumiała, że nie jest już w stanie zgorszyć swojej pokojówki.



Rozdział piętnasty

- To przez ciebie! - krzyknęła rozgniewana Elizabeth, odwracając się plecami do pastora, który zaczerwienił się i przestał się tłumaczyć.

Josie umknęła tak szybko, że Elizabeth nie zdążyła nawet zapytać, kto przyszedł, ale pomyślała, że to Sophie i Hugh, którzy wiedząc o obecności chłopca w jej domu, odwiedzali go, kiedy Edwina wychodziła z domu na dłużej. Okazało się, że miała rajcę, ale tylko połowicznie. W salonie czekał na nią Hugh i Leach! Wstrętny łajdak wyglądał dziś jak przyzwoity człowiek. Porządnie i czysto ubrany, umyty i starannie ogolony, a do tego w towarzystwie pastora nie wzbudził podejrzeń Pettifera i został wpuszczony do domu. Nawet jego spojrzenie było pokorne i łagodne.

Po wyjściu pokojówki Ross zostawił Elizabeth samą, by mogła się ubrać, i na pewno czekał w którymś z pokoi, żeby się z nią pożegnać, kiedy goście wreszcie sobie pójdą. W każdym razie miała nadzieję, że czekał.

- Jak mogłeś go tu sprowadzić?

- Pan Leach zjawił się u mnie, mówiąc, że ma informacje na temat zdrowia Jane. Nalegał, że to pilne i że przekaże je wyłącznie osobiście i tylko tobie. Pomyślałem, że jeśli go odprawię, będziesz zła. Ale być może niewłaściwie oceniłem twoje zainteresowanie zdrowiem pani Selby. Zanim przyjechaliśmy, upewniłem się, że pani Sampson nie ma w domu.

Wprost nie mieściło się jej w głowie, że pastor mógł być aż tak naiwny. A zresztą może po kilku spotkaniach z Leachem to ona stała się cyniczna. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że pozbędzie się tego łajdaka z domu, zanim wróci Edwina.

- Nie mam nic więcej, co mogłabym panu dać, jeśli po to pan przyszedł, panie Leach - oświadczyła, mierzając gościa lodowatym spojrzeniem.

- Proszę mi wybaczyć to najście. Miałem jednak nadzieję, że mnie pani wysłucha. Jane tak bardzo tęskniła za tym swoim małym, że dziś w nocy chciała się zabić i wypła laudanum. Nie wiem, co robić, bo kobieta marnieje w oczach. Ciągle tylko powtarza, że pragnie być razem z dzieckiem.

- A więc przywiózł ją pan tutaj, żeby mogła się połączyć z synem, tak? - zapytała, choć była pewna, że całą tę chorobę Jane Leach wymyślił z chciwości.

- Nie przywiozłem jej, bo człowiekowi należy się jakaś rekompensata za utratę żony, czyż nie?

- Taka z niej pana żona jak i ja! - krzyknęła rozzłoszczona Elizabeth.

- Co za ulga - usłyszała słowa dobiegające od drzwi. Ross wkroczył do salonu z kieliszkiem koniaku w dłoni.

Odstawił go na stolik, a potem spokojnie przyjrzał się obu mężczyznom.

Zarówno Leach, jak i pastor zamarli, patrząc z obawą na postawnego dżentelmena, który najwyraźniej czuł się tutaj jak u siebie w domu. Widząc, że pod nieobecność Edwiny Ross zachowujecie zbyt swobodnie, pastor rzucił Elizabeth surowe spojrzenie. Leach także na nią popatrzył, ale z uznaniem. Umiał docenić doskonały wybór, jakiego dokonała bez jego pomocy.

- Nie przedstawiś nas, kochanie? - zapytał Ross, widząc, że pod jego czujnym wzrokiem goście czują się nieswojo.

- Wicehrabia Stratton - powiedziała, z satysfakcją obserwując minę Leacha, który najwyraźniej słyszał o Strattonie i o jego wyczynach. - A to czcigodny Clemence, mój przyjaciel i pastor parafii St George- in- the- East i pan Leach. Pan Leach nie jest moim przyjacielem i to z jego winy Jane Selby cierpi rozłąkę z synem.

- Właśnie w tej sprawie tu przyszedłem - wyjaśnił Leach, nie spuszczać wzroku z wicehrabiego. Czuł się okropnie nieswojo pod uważnym i przenikliwym spojrzeniem Strattona. - Moje serce nie jest z kamienia. Musiała mnie pani źle zrozumieć.

- W takim razie proszę być tak dobrym i natychmiast oddać chłopca matce.

- Nie! - Elizabeth podbiegła do narzeczonego. - Jeśli Jack wróci do Wapping, znów będzie musiał kraść albo sprzedadzą go na kominiarczyka...

Słyszając, że może z powrotem dostać dzieciaka, którego udało mu się pozbyć za taką dobrą cenę, Leach się zaniepokoił. Jane wprawdzie nadal coś tam zarabiała, ale nie mogło się to równać z wartością brylantu, który widział na palcu tej damy. Prawdę mówiąc, Leach przyszedł tu właśnie po ten pierścionek. Teraz jednak zaczął się denerwować, że zarówno pierścionek, jak i naszyjnik mogły być prezentami od tego piekielnego pirata... Przeklinał się w duchu, że w ogóle się tu zjawił. Gdyby wiedział... Myślał, że pastor jest jej kochaniem. Jane powiedziała mu, że Elizabeth jest skompromitowana, ale wielu utytułowanych dżentelmenów nadal chciałoby mieć ją jako swoją kochankę. Gdyby wiedział, że znajduje się pod skrzydłami Rossa Trelawneya.

Leach zrozumiał, że pora do domu.

- Ile? - zapytał spokojnie Ross, podnosząc kieliszek do ust.

- Już mu zapłaciłam! - krzyknęła bez zastanowienia Elizabeth.

- Naszyjnikiem? - zapytał, odstawiając z powrotem kieliszek.

Rumieniąc się jak rak, kiwnęła głową. Czowała się jak idiotka. Zrozumiała, że Leach to wszystko zaplanował. Nie zależało mu na Jane i na jej synu, chciał jak najwięcej wyciągnąć z Elizabeth zanim ich oboje uwolni. Za pierwszym razem poszło mu tak łatwo, że ośmielił się wrócić po więcej.

- Chcę dostać z powrotem mój naszyjnik - oświadczył Ross głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Pani dała mi go w zamian za dzieciaka i za spłatę długów przyjaciółki. - Leach nerwowo oblizał usta.

- Naszyjnik nie jest własnością mojej narzeczonej. Jest mój. Jestem skłonny negocjować cenę, za jaką go zwrócisz. Zakładam, że nadal go masz? - zapytał Stratton, uśmiechając się, gdy zobaczył, że Leach pojął, kim jest dla niego Elizabeth.

Naręczona? Sytuacja stawała się coraz bardziej interesująca i wymagała coraz większej uwagi. Naszyjnik był tak piękny, że Leach nie odważył się go zniszczyć i postanowił sprzedać go w całości.

- Mam nadzieję, że jest nadal w jednym kawałku. - Ross jakby czytał w myślach Leacha.

- Tak.

- To dobrze. Załatwimy tę sprawę dziś wieczorem. Wiesz, gdzie jest Cynamonowe Nabrzeże?

- To mój rewir.

- W takim razie spotkamy się tam o dziesiątej. A teraz cię odprowadzę.

Słyszacząc zwodniczą łagodność w głosie narzeczonego, Elizabeth pomyślała o początkach ich znajomości. Nagle zdała sobie sprawę, że spotkanie z Leachem może być niebezpieczne, a Ross jest ranny...

Stratton z trudem powstrzymał się, tak wielką miał ochotę zrzucić Leacha ze schodów. Opanował się jednak i spokojnym głosem przypomniał mu o spotkaniu w dokach.

- Pamiętaj, dziesiąta. Jeśli się spóźnisz, będę cię musiał poszukać.

- Nie ma obawy, będę punktualnie. A mogę zapytać, jaką kwotę szanowny pan ma na myśli?

- Nie możesz - odparł Ross i zamknął drzwi.

- Zna pan drogę, pastorze, czy pana też muszę odprowadzić? - zapytał spokojnie po powrocie do salonu.

Pastor wymamrotał słowa pożegnania, skłonił się wicehrabiemu i pośpiesznie opuścił salon.

- Musiałeś być tak niegrzeczny? - zapytała Elizabeth, kiedy Hugh wyszedł.

- Tak. Musiałem. Twój pastor przyprowadził ci do domu złodzieja i sutenera. Co z niego za mężczyzna?

Gdyby mnie tu nie było, Leach mógłby zabrać kilka cennych rzeczy i kto wie co jeszcze... Pastor nie umiałby cię obronić. Jedno uderzenie pozbawiłoby go przytomności. - Ross zagroził jej drogę do drzwi, nie pozwalając, by pobięła przeproszać pastora.

Elizabeth dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jak fatalnie mogła się zakończyć wizyta Leacha. W domu było przecież kilka atrakcyjnych młodych służących, a jej samej wysłuchiwanie jego brutalnych złośliwości sprawiało wielką przykrość.

Ross zobaczył, jak bardzo przestraszyły ją jego słowa, zaklął w duchu i przytulił ją do siebie.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić.

- Nie przepraszaj. Miałaś rację. Leach jest niebezpieczny i nie chcę, żebyś się z nim spotykał. Będzie cię próbował oszukać. Nie przyjdzie sam. Pobią cię i okradną, a przecież i tak już jesteś ranny.

- Uspokój się, to będzie zwykła wymiana.

- A co z Jane?

- Zrobię, co się da, żeby mały odzyskał matkę. Wolę sam postarać się o własne dzieci. - Ross pocałował narzeczoną w policzek i z żalem wypuścił ją z objęć. - A taką miałem nadzieję na cichy, romantyczny wieczór... - Westchnął i to było całe jego pożegnanie.

Ukryta w cieniu, Cecily Booth widziała mały powozik odjeżdżający w pośpiechu spod numeru siódmego na Connaught Street. Chciała spróbować odzyskać Rossa i zostać wicehrabiną, a jeśli to się nie uda, wrócić do Cadmore'a i nadal być jego kochanką. Niestety, ostatnie wydarzenia pokrzyżowały jej plany.

Już wcześniej śledziła Rossa i wiedziała, że bywał w tym domu. Cały czas była jednak przekonana, że odwiedzał swoją starą przyjaciółkę. O tym, co Ross naprawdę robił na Connaught Street dowiedziała się dopiero z gazety, kiedy przeczytała o jego zaręczynach z córką zmarłego markiza Thorneycrofta. Niezłą córeczkę miał ten markiz! A jakby nie dość było jednego upokorzenia, okazało się, że Linus Savage został skompromitowany i okryty hańbą, pojedynkując się z Rossem o tę samą kobietę.

Cadmore był wstrętny, ale choć budził w niej obrzydzenie, płacił i otwierał przed nią drzwi do salonów Londynu. Teraz, kiedy z podkulonym ogonem, bez słowa pożegnania, uciekł do żony, na prowincję, została sama. Zniknął tak szybko, że nie miała nawet szansy poprosić go o pieniądze na zaległe rachunki i na czynsz za dom w Chelsea. Na razie udało się jej udobruchać szczerbatego wieprza, od którego wynajmowała dom, ale na samą myśl o tym, że miałyby go w pełni zaspokoić, robiło się jej niedobrze.

Wszystkie jej marzenia legły w gruzach! I to przez wesołą panienkę, wcale nie lepszą od niej samej. Dobrze słyszała, jak rozzłoszczona pani Penney obraźliwie wyrażała się do pani Sampson o jej wnuczce. Cecily ukryła się za dużą palmą rosnącą w donicy i podsłuchiwała, jak Edwina skutecznie broni wnuczki. Ostatnim ciosem, jaki zadała przeciwnikowi, był dokładny opis wspaniałego pierścionka, którym Ross obdarował swoją ukochaną. Tego już pani Penney nie zniosła i, gotując się ze złości, odeszła pokonana.

Cecily cierpiała, słuchając o uczuciach Rossa, nie traciła jednak nadziei, że zdoła go odzyskać. Była doskonałą kochanką i umiała dać rozkosz nawet zblazowanym dżentelmenom, a z tego co słyszała, lady Elizabeth wolała uczyć dzieci w slumsach. Pogodziła się już z myślą, że kiedy Stratton się ożeni, zostanie jego kochanką. Ale dzisiaj, kiedy widząc ją obok swojego domu, popatrzył na nią z niesmakiem i rozdrażnieniem, straciła nawet tę ostatnią nadzieję. Nie miała jednak zamiaru tak po prostu oddać go kobiecie, która zniszczyła jej życie. Cecily pragnęła zemsty... i tego wspaniałego pierścionka z wielkim brylantem i siedmioma ametystami. Kiedy go zdobędzie, przyjemniej jej będzie wracać do Yorkshire, do starego ojca chrzestnego.

Zaraz po wyjściu Rossa Elizabeth napisała list do jego brata Luke'a i poinformowała go o zaplanowanej wieczornej eskapadzie do doków. Była pewna, że Luke powstrzyma rannego brata i nie pozwoli mu na takie ryzykowne spotkanie. Wysłała Harry'ego z listem i niecierpliwie czekała na jego powrót.

Usłyszała stukanie do drzwi, ale żaden lokaj się nie pojawił. Zastanawiała się, czy powinna otworzyć, bo przecież mógł to być Leach. W końcu uchyliła odrobinę i zobaczyła ciemnowłosą kobietę, która wydała się jej znajoma.

- Chciałam rozmawiać z lady Elizabeth Rowe.

- Ja jestem lady Elizabeth.

Cecily Booth pochyliła głowę, chcąc ukryć złość, jaką poczuła, widząc urodę rywalki. Przypomniała sobie, że zauważyła ją rozmawiającą z Cadmore'em w sklepie z materiałami i że wicehrabia także tam był z żoną swojego brata. Zrozumiała, że już wtedy i Stratton, i Cadmore dużo bardziej interesowali się Elizabeth

niż nią i poczuła kolejne ukłucie zazdrości. Wybiera dokładnie tych samych mężczyzn, co ja, pomyślała ze złością.

- Mogę wejść i porozmawiać z panią przez chwilę? - zapytała pokornie.

Niepewny i nieśmiały sposób bycia nieznajomej nie pasował do jej modnego i krzykliwego stroju. Elizabeth zapytała więc, z kim rozmawia.

- Nazywam się Cecily Booth.

Cicha odpowiedź była niczym cios.

- O czym pani chce ze mną rozmawiać?

- Widzi pani... na skutek znajomości z pani narzeczoną... znalazłam się w bardzo delikatnej sytuacji. - Cecily zrobiła skromną minkę.

Zapanowało milczenie. Elizabeth miała świadomość, że zachowuje się niemądrze, a mimo to otworzyła drzwi i wskazała Cecily krzesło w holu. Cecily usiadła i zdejmując modny czepek, odrzuciła na plecy ciemne loki.

- Dziękuję, że zechciała mnie pani wysłuchać. Będę mówić krótko. Przeczytałam w gazecie, że mój były narzeczony jest teraz zaręczony z panią. Gratuluję i życzę więcej szczęścia. Ja byłam jego narzeczoną zaledwie kilka tygodni. Trzymaliśmy to w sekrecie, a zanim nasze zaręczyny zostały podane do oficjalnej wiadomości, wicehrabia nagle zażądał zwrotu pierścionka i bez słowa wyrzucił mnie ze swojego życia. Byłam zdruzgotana... tym bardziej że już wtedy wiedziałam, że będziemy na zawsze połączeni przez krew.

Elizabeth poczuła, że jej świat rozpada się na kawałki, ale zdołała się opanować.

- Do czego pani zmierza, panno Booth? - zapytała cicho i spokojnie.

- Za sześć miesięcy urodzę dziecko wicehrabiego. Jego pierworodnego potomka. Kiedyś mnie uwielbiał, a teraz wyrzucił jak zabawkę, która mu się znudziła. Odebrał mi nawet drobiazg, będący pamiątką jego uczuć i naszej miłości, przez co zostałam bez środków do życia. Gdybym miała chociaż ten zaręczynowy pierścionek, jego dziecko miałoby zapewniony byt, dopóki nie znajdę pracy.

- Zaręczynowy pierścionek? - powtórzyła cicho Elizabeth. - Był wyjątkowy. Siedem pięknych ametystów tworzyło płatki kwiatu, a jego środkiem był ośmioboczny wspaniały brylant. Ross mówił, że te osiem kamieni symbolizuje osiem wyjątkowych miesięcy, które razem spędziliśmy. - Cecily zaśmiała się smutno, zakrywając dłonią oczy. - Byłam taka głupia. Wiedziałam, co o nim mówią. Ale każda z nas, kiedy jest zakochana, traci rozum, czyż nie tak?

Elizabeth nie była w stanie wykrztusić słowa. Od wielu dni pierścionek leżał w szufladzie, a ona uwiązana obecnością Jacka nie opuszczała domu. Nie mogła pojąć, jakim cudem ta kobieta umiała tak dokładnie opisać jej pierścionek. Niemożliwe, żeby Ross chwalił się nim przed Cecily. Zresztą podobno rozstał się z nią już jakiś czas temu. Ktoś tutaj kłamie, ale kto? On czy ona? A może oboje? - pomyślała, czując, że budzą się w niej podejrzenia.

Wiedziała, że Cecily była kochanką Rossa, mogła więc nosić pod sercem jego dziecko. Może obiecywał jej małżeństwo, a potem Edwina postanowiła złapać go na męża dla Elizabeth i w efekcie zmienił plany. Pierścionek był luźny, mógł być robiony dla kogoś o trochę grubszych palcach. Pasował do ametystów jej

matki, ale nie był identyczny...

Elizabeth stała sztywno, czując się naga, jakby ją odarto z odzieży.

- Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc - oznajmiła sztywno. - To sprawy wicehrabiego i z nim proszę rozmawiać. Żegnam.

Podeszła do drzwi i otworzyła je, ale nogi tak jej się przy tym trzęsły, że musiała się wesprzeć o ścianę.

Widząc kredowobiałą twarz Elizabeth, Cecily wiedziała, że osiągnęła swój cel. Spojrzała w ametystowe, wielkie oczy i zobaczyła, że jej następczyni jest zdruzgotana. Harmonia panująca między Rossem a jego ukochaną została zburzona, a Cecily z satysfakcją pomyślała, że udało się jej zemścić. Teraz Ross będzie się musiał co najmniej gęsto tłumaczyć. Stojąc już w drzwiach, uśmiechnęła się blado.

- To nie fair, że mężczyźni traktują nas tak okropnie, a kiedy wybucha skandal, tylko my stajemy się jego ofiarami. Słyszałam, że przed laty panią również spotkało coś takiego i od tamtej pory odnosi się pani do ofiar męskiej lubieżności ze współczuciem. W sytuacji, w jakiej się znalazłam, muszę być w kontakcie z pani narzeczonym, ośmieliłam się więc tu przyjść, by błagać panią o zrozumienie.

Elizabeth nie potrafiła na to odpowiedzieć. Bez słowa zamknęła drzwi, a potem w przypiływie rozpacz skuliła się jak dziecko i ukryła twarz w drżących dłoniach.

- Zamierzasz się odezwać czy będziesz ją tylko pożerał wzrokiem?

- Kiery - powiedział Guy Markham i oderwał wzrok od rudowłosej kobiety, zaglądającej mu w karty, a potem uśmiechnął się znacząco do barona Ramsdena.

- Jeśli tak mówisz - odparł sucho Luke, zerkając z ukosa na rudowłosą.

- Myślałem, że Ross już wrócił do miasta - mruknął Guy, wykładając waleta karo.

- Wrócił. - Luke zbił waleta damą.

- To gdzie się podziewa?

- A jak myślisz?

- To będzie małżeństwo z miłości, prawda? - Guy zerknął na Luke a znad kart.

Luke uśmiechnął się i poszukał wzrokiem żony, rozmawiającej z innymi paniami. Po tylu latach nadal ją uwielbiał i wciąż na nowo zachwycał się gracją jej ruchów i radosnym śmiechem, w którym czaiły się figlarne nuty.

Rebecca dostrzegła wzrok męża. Podeszła do niego i pieszczotliwie musnęła palcem po twarzy.

- Kończcie już tę grę. Za kilka minut signora Favetti zacznie śpiewać. Rozmawiałam z panią Sampson. Mówiła, że Elizabeth ciągle jeszcze nie czuje się dobrze i nie mogła przyjść, ale że jutro na pewno będzie już lepiej. Jestem przekonana, że to wszystko nerwy w związku z pojedynkiem. Jak Ross mógł ją tak przestraszyć! Bez przerwy mnie pytają, czy Ross się tu dzisiaj zjawi. Jak myślisz, przyjdzie?

- Nie. - Luke uśmiechnął się do żony i delikatnie musnął ustami jej nadgarstek.

- Pilna wiadomość dla pana barona Ramsdena. - oznajmił lokaj w peruce, podchodząc ze srebrną tacką do Luke'a.

Luke złamał pieczęć, przeczytał notatkę i pomyślał o matce, która została w ich domu przy Burlington Parade, by nacieszyć się wnukami, które tak rzadko widywała. W środku jej listu był drugi, dostarczony pilnie tego wieczoru.

Pospiesznie przebiegł wzrokiem wiadomość od Elizabeth i podał list żonie, sprawdzając jednocześnie, która godzina.

- Och, Luke! Musisz go zatrzymać! Zrób coś!

Sir Richard Du Quesne i lord Courtenay wyczuli, że coś się dzieje, i podeszli do przyjaciela. Przeczytali list i podali go Guyowi. Rebecca zawołała Emmę i Victorię i po chwili cała grupka patrzyła na siebie z niepokojem.

Emma stanęła przy boku męża. Nie zapomniała, że to Ross uwolnił ją kiedyś z rąk mężczyzny, który próbował siłą ją zmusić do małżeństwa. A potem, kiedy jej znajomość z Richardem przechodziła trudne chwile, opiekował się nią i bronił, łagodząc spięcia między nimi. To niemożliwe, żeby mężczyzna, któremu tyle zawdzięczała i za którego chciałaby wyjść, gdyby nie była tak szaleńczo zakochana w swoim mężu, miał nie zaznać radości u boku ukochanej.

Richard musiał myśleć o tym samym, co jego żona. Ross był jego przyjacielem, towarzyszem broni i partnerem w interesach. Nie wahał się ani chwili, zawdzięczał mu przecież tak wiele. Nigdy nie spłace swojego długu wdzięczności, pomyślał i pośpieszył za Lukiem, który szedł już do wyjścia.

- Uważaj na siebie - szepnęła Victoria.

David pogładził jej czarne włosy i dołączył do przyjaciół przy drzwiach.

Guy obejrzał z zainteresowaniem karty Luke'a.

- Wygrałbym. - Roześmiał się i zgarnął do kieszeni pieniądze ze stołu. - Nie ma pośpiechu - uspokoił zaniepokojone żony przyjaciół. - Jeśli nie będzie ich więcej niż tuzin, Ross sam się z nimi rozprawi. Bez względu na to, czy jest ranny, czy nie.

Z tymi słowami ruszył do drzwi. Przechodząc obok rudowłosej, szepnął jej coś do ucha, a ona uśmiechnęła się tryumfalnie.

W otaczającej go ciszy rozległ się nagle jakiś dźwięk. Dobiegał z daleka i był bardzo cichy, ale instynkt kazał mu przykucnąć. Odruchowo wsunął ręce do kieszeni i pomacał zimny metal. Wyteżając słuch, mógł już rozróżnić poszczególne dźwięki. Naliczył kroki sześciu mężczyzn i uśmiechnął się z przekąsem. Wiedział, że pełni zapału amatorzy przysparzają najczęściej kłopotów, a on wcale nie miał ochoty na jatkę. Bezszelestnie zaszedł ich od tyłu. Gdyby chciał, mógłby ich bez trudu załatwić i odebrać naszyjnik, jak dziecku odbiera się cukierka. Oczywiście pod warunkiem, że ten łajdak miał klejnot przy sobie. Oprych z płonąca pochodnią w dłoni, wypchnął przed siebie drobną kobietę. Oleista woda wokół mola załśniła żółtym światłem.

- Leach?

Mężczyźni odwrócili się powoli. Tylko jeden z nich domyślał się, co Ross chce zrobić, i ten właśnie wsunął rękę do kieszeni i zaczął się powoli przesuwac w cień.

Nathaniel Leach wystąpił do przodu, unosząc wysoko pochodnię. Skłonił się ironicznie, ale ani na chwilę nie przestał wpatrywać się w ciemność za plecami Rossa.

- Przyszedłem sam - powiedział Ross. - Czy to matka tamtego chłopca?

Leach skinął dłonią i jeden ze zbirów popchnął Jane bliżej światła. Denerwował go fakt, że Trelawney zjawił się sam, a mimo to nie wydawał się zaniepokojony obecnością jego towarzyszy. Nawet ktoś tak nieustraszony i doświadczony w walce jak wicehrabia miał kiepskie szanse sam przeciwko sześciu, pomyślał Leach, czując, że poci mu się ręka, w której trzyma pochodnię.

- Masz pan pieniądze?

- A ty naszyjnik?

Leach wyciągnął klejnot z kieszeni i, trzymając go w palcach, zawołał, by Ross przyszedł sobie go wziąć.

Zaciskając palce na czterostrzałowym pistolecie, Ross wiedział, że z tej odległości może trafić trzech. Gdyby podeszli bliżej, czterech. Jeśli oddaliby mu naszyjnik i matkę Jacka i grzecznie odeszli, nie żądając niczego w zamian, darowałyby im życie. Domyślał się jednak, że sprawa nie będzie aż tak prosta. Przykucnął, wyjmując z kieszeni pistolet.

- Jestem obok ciebie, nie strzelaj! - zawołał Dickie, wyłaniając się z lewej strony Rossa.

- Nie przypuszczałem, że jesteś takim idiotą! Mogłem cię nafaszerować ołowiem! - wykrzyknął Ross, rozpoznając jasne włosy przyjaciela, z którym nieraz walczyli ramię przy ramieniu

- A co? Straciłeś refleks?

Patrząc na znajome sylwetki, wyłaniające się z mroku, Ross przyznał w duchu, że z jego refleksem rzeczywiście nie jest najlepiej. Z niedowierzaniem patrzył na przyjaciela.

- To nie moja wina... myślałem, że tylko ja i Luke nie lubimy sopranów...

- Czuję się zakłopotany - oznajmił Ross, patrząc na niebo usiane gwiazdami.

- Zakłopotany? - burknął Luke. - Całkiem oszalałeś! Wystarczy jedno uderzenie w ramię, a szwy puszcza i rana na nowo się otworzy. Dopiero wtedy czułyś się zakłopotany! Och, sam bym ci chętnie przyłożył.

- Spróbuj - odparł wyzywająco Ross, choć dobrze wiedział, że Luke się o niego martwi tak jak zawsze, kiedy uważa, że młodszy brat niepotrzebnie ryzykuje.

Dopiero teraz zrozumiał, że ludzie boją się o tych, na których im zależy. Pojął też, że ten strach nie oznacza słabości, a wręcz przeciwnie, jest oznaką siły. Po śmierci ojca dwudziestoletni Luke wziął na swoje barki obowiązki głowy rodziny i nie mógł już sobie pozwolić na niefrasobliwość i szaleństwa młodości. Od tamtej pory żył tak, by zapewnić rodzinie spokój i dostatek. Co innego Ross. On nie przejmował się nikim i niczym i robił wszystko, na co tylko miał ochotę, aż do chwili gdy... aż do teraz.

Przychodząc tu sam i w dodatku ranny, postąpił niemądrze. Pierwszy raz dał się ponieść uczuciom i to było niepokojące. Wcale nie chciał wrócić do Elizabeth i przyznać się, że musiał kogoś zabić. Chciał jednak odzyskać to, na czym jej tak bardzo zależało, a potem być dobrym mężem i ojcem.

- Widzę, że słynny pan Ross Trelawney potrzebuje wsparcia swoich elegancko ubranych, wielmożnych przyjaciół - zadrwił Leach, zły na swoich ludzi, że nie są już tacy odważni i pewni siebie jak przedtem.

- Właśnie. To piękne ubranie i mam je na sobie pierwszy raz - odezwał się Guy.

- Masz szczęście, Trelawney, że nie interesują mnie twoje ciuchy, tylko pieniądze - warknął Leach, chcąc dostać jak najszybciej gotówkę, pełen obaw, że nieprzewidziana awantura albo jakieś matactwo może pokrzyżować jego plany.

- Nie mam zwyczaju płacić za coś, co do mnie należy.

- Powiedziałeś, że odkupisz naszyjnik. - Leach był wściekły.

- Powiedziałem, że chcę negocjować, i właśnie to robię. Jeśli dostanę nieuszkodzony naszyjnik, ty nieuszkodzony wrócisz do domu - oświadczył Ross, patrząc, jak pozostali bandyci rozstawiają się półkolem za plecami swojego herszta, choć wydają przy tym wyraźne odgłosy niezadowolenia.

Rozwścieczony Leach podszedł do Jane.

- Ty i twoi przyjaciele - warknął i jednym uderzeniem zrzucił ją do wody.

Guy skoczył za kobietą, która skryła się pod wodą, zapominając o nowym ubraniu. Ross ruszył na Leacha, który najpierw się cofał, a potem zaczął uciekać. Dickie i David nie mogli sobie odmówić przyjemności pościgu. Zdjęli eleganckie surduty, odłożyli je ostrożnie na w miarę czyste deski i ruszyli w pogoń za uciekającymi zbirami.

Wieczorny przemarsz pięciu eleganckich dżentelmenów, w pokrzwawionych i poszarpanych ubraniach wzbudził duże poruszenie wśród snujących się po uliczkach Wapping kobiet na sprzedaż.

- Kto wdepnął w kupę? - Dickie szturchnął idącego obok Davida. - Chyba ci kupię lornion...

David z niesmakiem zerknął na but i zaczął go czyścić o bruk.

Ross prowadził obok siebie ociekającą wodą, przerażoną kobietę, próbując ją ogrzać i uspokoić. Na szczęście do powozu nie było już daleko. W kieszeni czuł ciężar naszyjnika i z przyjemnością myślał o miłych chwilach, jakie spędził dzisiaj w sypialni Elizabeth. Czuł, że zabrakło tylko kilku minut, by Elizabeth wyznała wreszcie, że go kocha. On też ją kochał i pragnął jej, i nie mógł się już doczekać, kiedy jej to udowodni. Ale najpierw ślub. Pomyślał o białej, jedwabnej sukni i uśmiechnął się.



Rozdział szesnasty

Przemoczona i zziębnięta Jane została błyskawicznie rozebrana z brudnych łachmanów i wsadzona do wanny z gorącą wodą. Elizabeth robiła wszystko, by matka i dziecko znaleźli się razem, zanim Edwina wróci do domu.

Josie przeszła samą siebie i, nie okazując zdziwienia, zajęła się wyłowioną z Tamizy kobietą. Zupełnie jakby dla pokojówki z domu przy Connaught Street była to rzecz całkowicie normalna. Z radością opowiedziała Jane o apetycie jej synka i o tym, jak ładnie się zaokrąglił.

W końcu sytuacja została opanowana i Ross mógł wreszcie zostać sam na sam z Elizabeth.

- Nie odzywasz się do mnie, unikasz mojego wzroku. O co chodzi? - zapytał, przerywając milczenie. - Czyżby to pastor znowu ci przypomniał jaki ze mnie bezbożny łajdak?

- Hugh nie musiał mi tego przypominać! - zawołała, zanim zdążyła pomyśleć.

Uspokoila się trochę i postanowiła zachować godność i rozwagę.

- Jesteś ranny? - zapytała, widząc, że oprócz zadrażnienia przy oku, wydaje się cały, choć ubranie ma brudne i poszarpane. - Bałam się, że Leach mógł przygotować zasadzkę, i miałam nadzieję, że Luke cię zatrzyma.

- Miło wiedzieć, że się o mnie troszczysz. Gdyby Luke i inni nie zjawili się w dokach o jedenastej, nie wiem, jak to wszystko mogłoby się zakończyć. Jestem im winny podziękowania, i tobie też.

- Ja również muszę ci podziękować - odparła kwaśno. - Uwolniłeś Jane i odzyskałeś naszyjnik. Klejnoty dostaniesz razem z moim posagiem. A co do Jane i chłopca, to nie kryłeś, że chcesz się go pozbyć.

- Nie miałem zamiaru skrzywdzić tego dziecka. Nie gniewasz się chyba, że wspomniałem o własnej rodzinie?

Elizabeth nie mogła się pozbyć wizji pięknych kobiet, które będą odwiedzać jej dom, by ojciec mógł zobaczyć swoje śniade i czarnowłose dzieci. W tej sytuacji opanowanie i spokój Rossa jeszcze bardziej ją drażniły.

- Ty już się postarałeś o rodzinę i irytuje mnie fakt, że próbowałeś to przede mną ukryć. A może uznałeś, że przyszła żona nie powinna się interesować twoim pierwotnym potomkiem?

- O czym ty mówisz? Jaki pierwotny? - zapytał cierpliwie.

- Była tu twoja kochanka i próbowała wyłudzić pieniądze na dziecko, które ci urodzi. Twierdzi, że byliście potajemnie zaręczeni i że nagle ją porzuciłeś. Czy to było wtedy, kiedy Edwina postanowiła kupić cię na męża dla mnie?

Ross stał jak ogłuszony, nie wierząc własnym uszom.

- Cecily Booth przyszła do ciebie i oświadczyła, że byliśmy zaręczeni i teraz oczekuje mojego dziecka?

- Tak.

- Bezczelność i impertynencja tej kobiety są niewiarygodne. Przepraszani cię za jej najście i za te oburzające kłamstwa. Obiecuję, że Cecily nigdy więcej nie będzie cię już niepokoić.

- Tego akurat jestem pewna - odparła słodko Elizabeth. - Jej nie chodzi o mnie, tylko o ciebie, a w obecnej sytuacji... uważam, że powinniście być razem.

- Elizabeth, popatrz na mnie. Pozwolisz, by te złośliwe kłamstwa zniszczyły to, co do mnie czujesz? Popatrz na mnie! Dwie godziny temu trzymałem cię w ramionach i całowałem. Nie zmieniłem się od tamtej pory. Przypomnij sobie, co wtedy mówiłaś i powtórz to teraz! Powiedz mi jeszcze raz, czego chcesz.

Elizabeth się nie odezwała.

- Wątpię, żeby Cecily była w ciąży, ale jeśli to prawda, ojcem jest Cadmore. W czasie kiedy pozostawała pod moją opieką, była regularnie niedysponowana. Wystarczająco dobrze znam funkcjonowanie kobiecego ciała, by mieć pewność, że dziecko nie jest moje.

Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami, ale rozmowa na tak wstydlive tematy zakłopotła ją ogromnie.

- Jeśli się ode mnie odwrócisz, ona osiągnie to, czego chciała. Pozwolisz jej wygrać? Pozwolisz, żeby podstępna panienka lekkich obyczajów pokonała cię i zniszczyła nasze szczęście? Oboje mieliśmy ciężki dzień. Nie zwracajmy sobie głowy jej kłamstwami. Twój naszyjnik. - Ross wyciągnął do niej rękę z klejnotem. - Nie chcesz go? - zapytał, uśmiechając się jak chłopiec.

Patrząc na ametysty, zastanawiała się, dla kogo kazał zrobić pierścionek, który schowała do szuflady. Dla Cecily czy dla niej?

- Zatrzymaj go jako zapłatę za dzisiejszy wieczór. I tak miał opłacić wolność Jane.

- Będziesz go chciała odzyskać - powiedział po dłuższej chwili, nie odrywając oczu od klejnotu.

- Kiedyś już to od ciebie słyszałam - zadrwiła.

- Okazało się, że miałem rację. Jeśli nie weźmiesz go w tej chwili, później będziesz musiała mnie znaleźć i błagać, bym ci go zwrócił. Dobrze się zastanów, co robisz, bo mam już dosyć bycia honorowym i wyrozumiałym.

Mierzyli się wzrokiem w milczeniu, w końcu Ross schował naszyjnik do kieszeni.

Był już przy drzwiach, kiedy Elizabeth poprosiła, by się zatrzymał. Odwrócił się, a wtedy zobaczyła, że jego twarz zmieniła się w zimną, pozbawioną wyrazu maskę.

- Zapomniał pan czegoś, wicehrabio. Proszę. - Wyjęła pierścionek i cisnęła nim w Rossa. Odruchowo zasłonił się ręką, ale zdążył złapać klejnot tuż nad podłogą.

- Twoja kochanka bardzo tęskni za ośmioma cudownymi miesiącami, które reprezentuje ten pierścionek. Możesz go jej oddać! - krzyknęła.

Wicehrabia popatrzył na bezcenny pierścionek, roześmiał się ponuro i wyszedł.

- Jeśli się dowiem, że Ross brał w tym udział, obedrę go żywcem ze skóry! - krzyczała Edwina, nie dając się uspokoić.

- Babciu, proszę cię, spróbuj zrozumieć. Oni nie mają dokąd pójść. Nie możemy ich wyrzucić na ulicę. Gdyby Leach postawił na swoim, Jack musiałby kraść albo zostałby sprzedany na kominiarczyka, a Jane...

- Och, już to słyszałam. - Edwina była tak wściekła, że Jane schowała synka za plecami.

- Nie ukrywałam przed tobą ich obecności - powiedziała Elizabeth, nie wspominając jednak, że Jane przebywa w ich domu już od trzydziestu sześciu godzin. Wcale nie miała ochoty powiedzieć Edwinie o przymusowych gościach, ale uznała, że dłużej i tak nie da się ukrywać ich obecności. W tej sytuacji mogła tylko prosić o przebaczenie i błagać, by babka okazała im odrobinę serca.

- Nie chcę ich pod moim dachem. Poproś Strattona, niech poszuka dla nich jakiegoś miejsca.

- Nie mogę tego zrobić.

- To twój narzeczony. Przyciśnij go trochę. Jesteście jak mąż i żona, tyle że bez sakramentu - mruknęła, podejrzliwie zerkając na talię wnuczki. - A gdzie twój pierścionek? Lepiej daj mi go na przechowanie. Sama mówiłaś coś o kieszonkowcach. - Edwina wymownie popatrzyła na Jane.

Jack nie odrywał wzroku od miseczki z marcepanem, aż w końcu Edwina pozwoliła mu się poczęstować. Chłopiec wziął kawałek, grzecznie podziękował i szybko wrócił do matki.

- Zaczekajcie w salonie, chcę porozmawiać z wnuczką na osobności - poleciła Edwina. - Chcę wiedzieć, dlaczego nie możesz poprosić Strattona o pomoc? Wczoraj nie przyszedł z wizytą, a ostatnio był codziennie. Wiesz może dlaczego?

Elizabeth nie chciała o tym mówić. Bała się, że nie powstrzyma łez. Coś jednak musiała odpowiedzieć.

- Pokłóciliśmy się.

- Zakochani zawsze się kłócą. - Edwina nie wydawała się przejęta.

- To była poważna kłótnia. Nie jestem już jego narzeczoną. Oddałam mu pierścionek.

- Ty zerwałaś zaręczyny? Dlaczego? - Babcia wydawała się bardziej zaskoczona niż zła. - Wiem, że go kochasz, i nie ma w tym nic dziwnego. Jako jego narzeczona, jesteś rozchwytywana przez najbardziej liczące się damy w mieście. Znow możesz bywać w towarzystwie. Pomógł ci nawet uratować tych... tych bezdomnych nieszczęśników. I po tym wszystkim zerwałaś z nim? Czy Ross mówił ci o niebezpieczeństwach, jakie niesie z sobą zadawanie się z motłochem? Ale jak ty się uprziesz...

- Babciu, to nie o mnie chodzi, tylko o niego.

- O jego kobiety? Domyślam się, że ta bezwstydnica ciągle się za nim włóczy i że w końcu doszło to do twoich uszu. - Edwina przerwała, ale Elizabeth błagała ją wzrokiem, by mówiła dalej. - Jest taka jedna brunetka, z którą Ross kiedyś się spotykał, i ona nie umie o nim zapomnieć. Wszyscy się z niej śmieją, bo nawet będąc kochanką Cadmore'a, nie kryła się z tym, że próbuje odzyskać względy Trelawneya. Widziałam ją, kiedy ostatnio byłam u Marii. Bez przerwy się za mną włóczyła i pewnie podsłuchiwała, o czym mówiłam. Cecily Booth to zazdrosna kobieta i na pewno coś knuje.

- Co takiego mogła usłyszeć? Mówiałaś o moich zaręczynach z wicehrabią? O pierścionku? - zapytała Elizabeth, czując, że budzą się w niej okropne podejrzenia.

- Tak. Opowiedziałam to wszystko pani Penney. Możesz sobie wyobrazić, jaka była wściekła. - Edwina się roześmiała.

- Czy Ross był zaręczony z Cecily?

- Zaręczony? Z nią? - Zdumienie Edwiny nie miało granic. - Zapewne chciała wierzyć, że tak jest, i rozповідаła, że zostanie wicehrabiną. Ale kiedy to doszło do Strattona, jego prawnicy od razu przygotowali dla niej fundusz emerytalny. Dwa miesiące grzała mu łóżko i od razu zamarzył się jej ślub! Głupia bezwstydnica!

- Dwa miesiące? A nie osiem?

- Jeśli osiem, to chyba tygodni. Nie pamiętam, żeby Ross kiedykolwiek spędził osiem miesięcy z jedną kobietą. No, dosyć tego. Chcę powiedzieć, że...

Elizabeth zamknęła oczy. Była załamana. Nadmierna wyniosłość i przewrażliwienie sprawiły, że dała się zwieść złośliwym kłamstwom. Za późno zrozumiała, że Rossa naprawdę nie obchodzi jej posag. Uprowadził ją, że zajądłość nie doprowadzi do niczego dobrego. Tłumaczył, że wzgardzona Cecily próbuje zniszczyć ich szczęście, i błagał, by nie pozwoliła tamtej osiągnąć celu. Syn przemysłowca umiał się przyznać do swoich błędów i próbował za nie przeproszać, dając jej szansę, by zrobiła to samo. Ona jednak nie umiała powściągnąć gniewu i choć była córką markiza, zachowywała się jak niegrzeczna, wyniosła mała jędza.

Pettifer pojawił się w drzwiach i przerwał te smutne rozważania.

- Przyjechała pani Trelawney, lady Ramsden, lady Du Quesne i lady Courtenay z dziećmi. Mam prosić do środka?

Edwina popatrzyła na kredowobiałą twarz wnuczki.

- Skoro jego rodzina i przyjaciele nadal składają nam wizyty, to znaczy, że nikomu nie powiedział o zerwaniu. Dzięki Bogu! - Westchnęła. - Może zdołasz go jeszcze przekonać, że to był tylko wybuch... Dobrze wie, że jesteś porywcza.

Panie przyjechały sprawdzić, czy Elizabeth już doszła do siebie. Przy okazji usłyszała, że Ross wyjechał do Kentu, żeby nadzorować remont w Stratton Hall, przy czym musiała udawać, że świetnie o tym wie, aby nie budzić podejrzeń. Demelza Trelawney specjalnie usiadła blisko niej i powtórzyła, jak bardzo się cieszy, że Elizabeth zostanie wkrótce członkiem rodziny. Rozmawiano o zbliżającym się ślubie i o tym, że Katherine i Tristan nie będą mogli przyjechać. Elizabeth coraz bardziej lubiła swoją niedoszlą teściową i czuła, że sympatia jest obustronna. Jednak po tym, jak ostatnio potraktowała Rossa, uważała, że nie zasługuje na przyjaźń i szacunek jego matki.

Synowie Rebecki bawili się na dywanie z córeczką Victorii. Po pewnym czasie szmaciana lalka i malutkie żołnierzyki przestały być atrakcją i wtedy Edwina pokazała im, jak wrzucać monetę do kubka, używając do tego innej monety. Jane i Jack zostali zaproszeni do salonu i przedstawieni jako dawni znajomi, goszczący z krótką wizytą, po czym Jack dołączył do pozostałych dzieci. Po powrocie z doków mężowie na pewno opowiedzieli swoim żonom, co tam się stało. Ale jeśli któraś z pań domyśliła się, kim naprawdę jest Jane, albo poznała, że ma ona na sobie starą suknię Elizabeth, zatrzymały to dla siebie.

Edwina stała w oknie, patrząc za odjeżdżającymi gośćmi.

- Wspaniali ludzie. Zastanów się, zanim zrezygnujesz z takiej rodziny i przyjaciół. Przy czym to ostatnio byliśmy? - zapytała, wracając do przerwanej rozmowy. - Aha, popełniłaś poważny błąd, tak? Usłyszałaś jakieś plotki, przesadnie zareagowałaś, a teraz duma nie pozwala ci się do tego przyznać.

- Umiem się przyznać.

- To krok we właściwą stronę. Pomogę ci zrobić następny i przez kilka dni pozwolę tu zostać twoim przyjaciołom. Ale pod warunkiem, że pokajasz się przed narzeczonym. Mogę się założyć, że on nadal jest twoim narzeczonym.

Elizabeth ukryła twarz w dłoniach.

- Nadal masz mdłości z rana?

Przytaknęła skinieniem głowy, bo żołądek dokuczał jej całymi dniami. Kiedy dotarło do niej, o co jest podejrzewana, popatrzyła na babkę zaskoczonym wzrokiem. Ale Edwina, o dziwo, o nic więcej nie zapytała.

- Nie dopuszczę, żeby jakaś beczelna lafirynda zniszczyła szczęście i dobre imię mojej wnuczki. Odzyskasz jedno i drugie albo zjem kapelusz, który kupiłam na twój ślub! - zawołała Edwina, uśmiechając się pobłażliwie. - Idź, przyszykuj się do wyjazdu. Josie pojedzie z tobą.

Kiedy wysiadła z powozu, usłyszała uderzenia fal o skaliste wybrzeże. Z miejsca, w którym stała, nie było widać wody, ale i tak zatrzymała się na chwilę i, wpatrzona w horyzont, słuchała szumu oceanu.

Woźnica zwlekał, wyraźnie czekając na napiwek. Zapłaciła mu i po chwili wynajęty powóz odjechał. Według jej oceny, do głównej drogi było stąd ponad pół mili.

Josie niepewnie popatrzyła na zwieńczony blankami dach, w którym miejscami brakowało dachówek, a potem przeniosła wzrok na swoją panią. Elizabeth była zdenerwowana. Patrząc na zniszczony przez czas budynek, zastanawiała się, czy będzie to jej nowy dom. Uśmiechnęła się do pokojówki, pragnąc jej dodać odwagi. Kamienne schody prowadziły do podwójnych, wysmaganych deszczem i wiatrem drzwi, osadzonych w zniszczonym, kamiennym portalu.

- Poczekaj chwilę - powiedziała Elizabeth, - Zanim tam wejde, chcę zobaczyć morze.

Skierowała się na południe i ruszyła przez zarośnięty trawnik. Przeszła przez resztki zaniedbanego sadu, deptając po leżących na trawie, gnijących owocach. Minęła szczątki chwiejącego się na wietrze, połamanego ogrodzenia gęsto oplecionego powojem. Poglaskała dłonią pierzastą kępę wysokiej trawy, a potem przesuwał między palcami poszczególne źdźbła, zrywała nasiona i rozsiewała je na wietrze. Kręta ścieżka prowadziła przez sięgające pasa chwasty i trawy, ale Elizabeth nie zwracała uwagi, że w tym gąszczu moczy sobie suknię.

Kiedy stanęła nad brzegiem i popatrzyła w dół, zobaczyła ładną małą zatoczkę z jasnym piaskiem i migoczącą wodą. Nie mogła oderwać wzroku od spienionych fal, które uderzały o brzeg, cofały się i znowu uderzały, i cofały się... Przyglądała się jak zahipnotyzowana.

W końcu zdała sobie sprawę, że nie jest sama i że on stoi za jej plecami. Nie odwracając się, wytarła łzy i wystawiła twarz na wiatr.

- Nie przypuszczałam, że tu jest tak blisko do morza.

- Odsuń się od krawędzi. Kredowe klify się kruszą. Niewykluczone, że i dom znajdzie się kiedyś na plaży.

- To by cię chyba nie zmartwiło - odparła, cofając się ostrożnie i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

Dopiero tutaj, w dziczy, na tle rozpadu i surowego piękna natury Ross był u siebie. To było jego środowisko naturalne i tu można było w pełni docenić jego urodę. W ciemnym ubraniu, z ciemnymi, potarganymi wiatrem włosami na tle starego, sękatego sadu, wpatrywał się w nią niczym polujący jastrząb. Zrozumiała, że pierwszy raz widzi kornwalijskiego pirata.

- Z góry przepraszam za bałagan w domu. Nie mam dużo służby, zaledwie kilku starych służących. Gdybym wiedział, że przyjedziesz, kazałbym im posprzątać. Nie spodziewałem się ciebie tak szybko - powiedział, a w jego głosie była wyraźna satysfakcja i cichy tryumf.

„Dobrze się zastanów, co robisz, bo mam już dosyć bycia honorowym i wyrozumiałym”. Pamiętała to ostrzeżenie, a mimo to przyjechała. Patrząc teraz w oczy narzeczonego, widziała, że jej obecność wyraźnie go bawi.

Czekając, co będzie dalej, dumnie uniosła głowę.

- Czy tam są jakieś schody?

- Tak, ale w tej chwili nie pójdziesz na plażę - oznajmił nieznośnym sprzeciwu tonem i wyraźnie czekał, żeby mu się sprzeciwiła.

- Dobrze, pójdę później - powiedziała cicho i ruszyła z powrotem w stronę ponurego domu.

Ross oświadczył, że jedynym pokojem, który nadaje się do przyjmowania gości, jest salon. Czyżbym była gościem? - chciała zapytać, ale zabrakło jej śmiałości.

Salon okazał się ładnie urządzonej zakurzonej pokojem z dużymi oknami i pięknym widokiem na park. Zaskoczyły ją eleganckie, delikatne mebelki, wyraźnie niepasujące do męskiego charakteru wystroju. Uznała jednak, że musiały się tu znaleźć za sprawą ostatniej pani tego domu.

Maud, która pełniła funkcję pokojówki i służącej, zabrała Josie do pomieszczeń dla służby, a po chwili wróciła, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami dla gościa.

Elizabeth nie mogła usiedzieć na miejscu. Wypiła łyk herbaty i zaczęła chodzić po salonie.

- Uważam, że w tym rogu ładnie wyglądałby fortepian - powiedziała, ale jedyną odpowiedzią był dźwięk odstawianego na stół kieliszka. Zrobiła jeszcze kilka kroków, modląc się w duchu, żeby Ross jakoś zareagował na jej nieśmiałe próby porozumienia się.

Błagała go wzrokiem o jakiś znak, że już jej przebaczył. Ale jedyną reakcją Rossa było skrzywienie ust. Wypił łyk koniaku i, opierając but o podnózek, przyglądał się jej znad kieliszka.

Elizabeth nadal męczyła się, próbując zacząć rozmowę. Nie miał zamiaru jej tego ułatwić. W Londynie traktował ją z szacunkiem, otaczał troską, starał się zabawiać i był cierpliwy. I co mu z tego przyszło? Uważała, że to się jej należy, i wykorzystywała jego szlachetność, pewna, że zawsze będzie znosił jej humory. Tutaj wszystko wyglądało inaczej. Była z dala od domu, w obcym, zimnym i nieprzystępnym miejscu i do tego w towarzystwie pana tego domostwa, który wydawał się równie ponury jak jego królestwo.

Pierwszy raz poczuła strach. A jeśli Edwina nie ma racji i ten człowiek wcale nie uważa się za jej narzeczonego...

Kręciła się nerwowo po salonie. Natknęła się na oprawioną w skórę księgę, traktującą o kopalniach miedzi i choć nie miała o tym pojęcia, kusiło ją, by sprowokować rozmowę na ten temat. Czowała się coraz bardziej nieswojo. Wytarła spocone dłonie o suknię i z wymuszonym uśmiechem obejrzała mały zegar na kominku.

- Rozumiem, dlaczego jesteś zły, że babcia nie oddała ci pieniędzy. Remont tego domu musi sporo kosztować. Ale uważam, że warto go zrobić - dodała szybko, żeby nie pomyślał, że krytykuje jego dom. - To miejsce ma potencjał.

- To ruina.

- Nie podoba ci się?

- Podoba mi się miejsce, w którym stoi. Mogłem wybierać między tym a posiadłością w Warwickshire. Tamta druga była w dużo lepszym stanie, bo dopiero niedawno wróciła do Korony. Ten dom stał pusty od dziewięciu lat.

- Wybrałeś go ze względu na bliskość morza?

- Tak.

- Kiedyś go wyremontujesz. Mnie się podoba. - Głos jej drżał. - Twoja matka i żony twoich przyjaciół były u nas z wizytą. Powiedziały mi, gdzie jesteś, choć udawałam, że wiem. Uznałam, że mogłyby się dziwić, dlaczego nie poinformowałeś narzeczonej o swoich planach.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy odniosłem wrażenie, że przestało cię obchodzić, gdzie jestem i co robię.

Był to wyraźny wyrzut, ale nie zaprzeczył, że nadal jest jego narzeczoną.

- Edwina już wie, że ma w domu Jane i jej chłopca - ciągnęła Elizabeth- Złości się na ciebie, że pomogłeś mi ich uwolnić. Ale pozwoliła im zostać dopóty, dopóki nie... dopóki nie wrócę do domu - dokończyła szybko.

- Obiecała im dach nad głową, dopóki ty będziesz mi dotrzymywać towarzystwa - odgadł. - Czy twoja ofiarność nie ma granic?

- To ja postanowiłam, że przyjadę - powiedziała, unosząc dumnie brodę. - Decyzja Edwiny nie miała z tym nic wspólnego

- Naprawdę?

- Tak!

- Po co? Powiedz mi, co sprowadza córkę markiza do kryjówki kornwalijskiego zbója?

- Chcę cię przeprosić. Przekonałam się, że miałeś rację, mówiąc o tym, jak złośliwe potrafią być kobiety, i do czego to może doprowadzić.

Ross zignorował wyraźne aluzje do Cecily Booth i wyciągnął z szuflady naszyjnik.

- Po to przyjechałaś - stwierdził. - Mówiłem, że będziesz go chciała odzyskać.

- Wiem - ochryply szept Elizabeth był ledwo słyszalny.

- Pamiętasz, co jeszcze powiedziałem?

Skinęła głową.

- Dobrze, a więc chodź i weź go sobie.

Wahając się, podeszła bliżej, a wtedy Ross popchnął w jej stronę podnózek i kazał jej na nim usiąść.

Posłuchała, a on powoli pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach.

- A teraz podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym postąpić jak dżentelmen, a nie jak dzikus i barbarzyńca, za którego mnie zawsze uważałaś.

Poczuła zimny ciężar naszyjnika na swoich przegubach.

- Powiedziałeś, że mnie kochasz - odparła, czując napływające do oczu łzy.

- A ty mówiłaś, że mnie pragniesz.

- Tak - przyznała.

- Udowodnij to.

Nie wiedziała, jak długo siedziała obok jego fotela, czekając na bodaj najmniejszy sygnał, że tym razem też jej daruje. Do tej pory ustępował przed jej dumą i niewinnością, ale teraz okazał się bezwzględny. Odłożyła naszyjnik i podeszła do Rossa. Usiadła mu na kolanach, obejmując nogami jego uda, pochyliła się i nieśmiało pocałowała go w usta.

Ross oddał pocałunek, a zrobił to mocno i gwałtownie, po mistrzowsku balansując na granicy bólu i podniecenia. Nie umiała całować tak jak on, ale robiła, co mogła, by sprawić mu przyjemność. Nie zdołała jednak powstrzymać łez, które kapały mu wprost na twarz.

Zsunął jej suknię z ramion i zaczął całować, a potem obnażył ją do pasa i zaczął pieścić piersi.

Rozkoszna pieszczota jego ust i rąk rozpałała w niej pożądanie. Obezwładniona namiętnością nie była w stanie zaprotestować nawet wtedy, gdy poczuła, że wsunął jej rękę pod suknię i dotknął pośladka, a potem posunął się nawet dalej.

- Chcesz wracać do domu? Wystarczy, że powiesz słowo, a przestanę.

- Nie chcę - wyszeptała rwącym się z podniecenia głosem.

- Na pewno? - zapytał, zaglądając w jej załzawione oczy. - jeśli chcesz zostać, to czemu płaczesz, kiedy cię dotykam? Czy tak chcesz udowodnić, że mnie pragniesz?

- Powiedziałeś, że mnie kochasz. - Popatrzyła na niego oskarżycielsko. - A obrażasz mnie i jesteś... taki bezwzględny.

Objęła go za szyję i przycisnęła do oparcia fotela, przestraszona, że może ją odtrącić.

- Kiedy byłem wyrozumiały i szlachetny, też ci się nie podobałem. Postanowiłem spróbować, czy taki nie wydam ci się bardziej pociągający.

W głosie Rossa pojawiły się ochryple nutki, zwiastujące jej zwycięstwo.

- Podobałeś mi się taki, jaki byłeś - wyznała i z ogromną ulgą jeszcze mocniej objęła go za szyję. - Przepraszam, obiecuje, że w przyszłości nie będę płakać.

Roześmiał się, a potem zaklął, walcząc z własnym pożądaniem. Chwycił jej dłonie splecione na swojej szyi, a ona przywarła nagimi piersiami do jego torsu i położyła mu głowę na ramieniu.

- Randolph myślał, że go zabiją - powiedziała i sama się zdziwiła swoimi słowami. Nie zdawała sobie sprawy, że myśli o przeszłości. Ross puścił jej dłonie i pogładził po zmarzniętych plecach. Zatopiona w myślach, nie zwróciła uwagi, że jego dotyk stał się dużo delikatniejszy. - Początkowo też tak pomyślałam i krzyczałam, żeby się ratował, ale nigdy nie przypuszczałam, że ucieknie i nie wróci. Ci co nas napadli, nie mieli już czym strzelać. Nie zamierzali go zabić. Uciekali przed pościgiem, potrzebowali powozu i pieniędzy. Randolph nie miał nawet nabitego pistoletu, który mogliby mu ukraść. I właśnie to najbardziej rozzłościło mojego ojca. Powiedział, że żołnierz powinien lepiej przygotować się do nocnej ucieczki... - Urwała i pociągnęła nosem. - Ty też tak uważasz?

- Tak.

- Był wtedy taki młody, ledwo dwadzieścia lat. Przeklinał zasady, według których tytuł należy się pierworodnemu. On był najmłodszy, więc ojciec kupił mu tylko patent oficerski i to była cała pomoc, na jaką mógł liczyć. Ale kiepski był z niego żołnierz. Nienawidził wojska. Wolałby studiować medycynę... - Westchnęła. - Niedaleko była jakaś zagroda i rozbójnicy postanowili się do niej włamać. Wzięli mnie ze sobą jako zakładnika, a może liczyli na okup. Poza tym poszukiwano dwóch mężczyzn, a razem ze mną było nas troje. Kiedy ten, który był szefem, wysłał towarzysza na poszukiwanie czegoś do jedzenia, od razu domyśliłam się, do czego zmierza. Zanim tamten wrócił, zdążył mnie kilka razy uderzyć i zerwać ze mnie suknię. Ani na chwilę nie przestawałam z nim walczyć i wtedy wrócił ten drugi. Zobaczył, co się dzieje, i uderzył go łopata w głowę. Zrobił to tak silnie, że uderzającemu spadł kapelusz z głowy i wtedy zobaczyłam długie włosy zwinięte w kok. Okazało się, że to jego żona. Myślałam, że go zabiła, ale był tylko zamroczony. Kobieta pomogła mi się ubrać, dała coś do jedzenia, cały czas klnąc tego zbereźnika.

Elizabeth wróciła myślami do przeszłości i zamilkła, mając przed oczami opisywane wydarzenia.

- Potem zjawili się dragoni. Byłam wolna, mogłam wzywać pomocy, ale milczałam. Ta kobieta uratowała mnie przed hańbą, nie mogłam jej wydać. Dałam jej swoją suknię i kazałam uciekać. Szukano dwóch mężczyzn, więc kobieta i mężczyzna mieli pewną szansę. Mam nadzieję, że nie trafili na szubienicę ani do Newgate. Nigdy nie zapomnę jej twarzy i zawsze, kiedy odwiedzam więzienia, rozglądam się, czy jej przypadkiem tam nie ma.

Elizabeth zamilkła, a Ross gładził ją po plecach, starając się łagodzić ból, jaki przywoływały wspomnienia.

- Tata zaczął mnie szukać od razu, kiedy odkrył, że uciekłam. Znalazł mnie dzień czy dwa później. Byłam głodna... w samej bieliźnie. Kryłam się przed ludźmi. Bałam się, że mogą mnie wykorzystać albo aresztować za udzielenie pomocy poszukiwanym. Opowiedziałam ojcu całą prawdę. Nie obwinił mnie, tylko był bardzo smutny i zły na siebie, na Randolpha i na nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Nie mógł sobie darować, że mnie nie dopilnował. Kiedy przywiózł mnie z powrotem do domu, babcia, wdowa po markizie, orzekła, że bez względu na to, czy zostałam wykorzystana, czy nie, uciekając z Randolphem i wracając bez ślubu, jestem skompromitowana. Nigdy tego nie powiedziała, ale czułam, że wolałaby usłyszeć o mojej śmierci niż o kompromitacji naszego nazwiska. Od tamtej pory się nienawidzimy. Może to po niej odziedziczyłam dumę i arogancję.

Po dłuższej chwili opowiadała dalej, zaciskając ręce na jego szyi.

- Tata był lubiany w towarzystwie, ale on wolał domowe zacisze. - Elizabeth wytarła rękami łzy z policzków. - A potem, kiedy wybuchł skandal i ludzie, których uważał za przyjaciół odwrócili się od niego, nie umiał się z tym pogodzić. Nigdy nie odzyskał już radości życia. Nawet kiedy urodził mu się wymarzony syn, który mógł dziedziczyć tytuł i posiadłość. Umarł, kiedy Tom miał zaledwie trzy latka. Od tej pory nienawidzi mnie nie tylko matka ojca, ale także macocha, która uważa, że jej mąż umarł przeze mnie. Zaslługuję na ich nienawiść.

- Nie ponosisz winy za śmierć ojca.

- Wiem - zaszlochała.

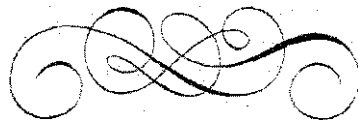
- Niczemu nie jesteś winna. Masz złote serce, jesteś dzielna i wspaniała - szeptał Ross, tuląc ją do siebie.

- Edwina mówiła, że twój ojciec miał słabe serce i mógł umrzeć w każdej chwili.

- Ale ja mu zламаłam serce... Wiem, że tak było... - jęknęła udręczona.

- To nie twoja wina, Elizabeth - uspokajał.

Nagle coś w niej pękło i rozpaczliwie szlochając, przytuliła się do niego z całej siły, wtulając twarz w jego szyję. Miała takie uczucie, jakby jej własne serce chciało rozsypać się na milion kawałków.



Rozdział siedemnasty

Nie wiedziała, co ją obudziło. Leżąc bez ruchu, otworzyła oczy i skupiła wzrok na cienkiej bliźnie widocznej na jego szyi. Oddychał rytmicznie i spokojnie, tak jakby to, że na nim leżała, zupełnie mu nie przeszkadzało.

Ross drzemał, mogła więc bez skrupowania na niego popatrzeć. Przyjrzała się ustom, które mogły ranić albo koić ból, szeptać słowa pocieszenia albo przeklinać. Czując ciężar jego dłoni na plecach, zdała sobie sprawę, że znów jest ubrana. Musiał poprawić jej suknię, kiedy zasnęła.

Było jej tak dobrze, że bała się drgnąć. Zrozumiała, że w tym ciemnym, zakurzonej pokoju znalazła swoje szczęście i że stara, zniszczona wichrem i morską solą rezydencja jest domem, którego szukała. Thorneycroft i Connaught Street odeszły w przeszłość. Teraz jej miejsce było tu nad morzem przy boku przystojnego pirata. Z czułością myślała o niepokornym, żądnym przygód Kornwalijszczyku, który zdobył poważanie i szlachecki tytuł. Pokochał ją do szaleństwa i dla niej porzucił wesołe i niefrasobliwe kawalerskie życie. Troszczył się o nią i tulił w ramionach, gdy płakała i kiedy spała. Teraz dopiero pojęła, że Ross zawsze w nią wierzył. A kiedy w końcu zdołał ją przekonać, by mu zaufała i otworzyła przed nim swoje serce, bez trudu przepędził wszystkie dręczące ją demony.

- Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię - powiedziała pośpiesznie.

- Wiem. - Uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

- Bałeś się, że Cadmore może cię zabić, i dlatego chciałeś wziąć ślub od razu tamtego wieczoru. Jako wdowa, dziedziczyłabym po tobie i hrabia nie mógłby mi już nigdy zagrozić.

- Mniej więcej.

- Dlaczego mi wtedy nie powiedziałeś?

- Gdybyś wiedziała, nie dopuściłabyś do pojedynku.

- Ale Randolpha nie będziesz szukał, prawda?

- Gardzę nim, a jednocześnie podziwiam, że odważył się do ciebie podejść, ryzykując odrzucenie. Ja wycofałem się od razu po pierwszym niepowodzeniu.

- Ty? Dziesięć lat temu nie wiedziałeś, że istnieję.

- Wiedziałem. Interesowało mnie wszystko, co dotyczyło ciebie. Wiedziałem, gdzie można cię znaleźć, i czasem pozwalałem sobie tam pójść, a czasem nie. Bałem się, że mnie odrzucisz, nie chciałem cierpieć z upokorzenia. Zabrakło mi odwagi.

Elizabeth pogłaskała ciemny policzek połyskujący w czerwonym blasku żarzących się w kominku węgli.

- Bzdury. Jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam.
- Nieprawda. Jestem najbardziej lubiącym sobie dogadzać człowiekiem, jakiego znasz.
- Byłeś, bo dla mnie odmówiłbyś sobie wszystkiego i wszystko byś poświęcił.

Miała rację, więc tylko się uśmiechnął.

- Teraz wiem, że dziesięć lat temu wcale byś mnie nie odrzuciła. I to mnie boli najbardziej.
- Spodobałeś mi się do pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam.
- Ciekawe, co by powiedział twój tata, gdyby się dowiedział, że chcesz za męża syna kornwalijskiego przemytnika?
- Tata znał się na ludziach. Powiedziałby „dobra robota”.

Napisał coś na piasku, a potem odrzucił patyk i zapatrzył się w migoczące na wodzie ostatnie blaski zachodzącego słońca. Oparty na łokciu, ukryty za skalnym załomem od wiatru i ludzkich spojrzeń, przyglądał się, jak Elizabeth przesiewa przez palce piasek, szukając muszelek. Leżała na boku, jej jasne, sztywne od morskiej soli włosy błyszczały. Pomyślał, że wygląda jak syrena, i że jej długie, gęste loki mogłyby ją okryć, nawet gdyby była do pasa naga. Nagle wstała i zebrała w spódnicę znalezione muszelki, odsłaniając przy tym zgrabne łydki i drobne stopy. Najwidoczniej zamierzała kontynuować poszukiwania w innym miejscu.

Dał jej ręką znak, żeby podeszła. Posłuchała, rozczulając go swoim posłuszeństwem, które przecież nie mogło trwać zbyt długo. Wiedział, że za kilka godzin Elizabeth odzyska swoją dumę i niezależność, mógł więc zdobyć się na jeszcze trochę cierpliwości. We właściwym momencie powie jej, że przyjechała w chwili, gdy już postanowił wrócić do Londynu, by walczyć o jej serce. W końcu kiedyś zapyta, gdzie są ci robotnicy, których miał pilnować.

- To dla mnie? - zapytał, kiedy przyklękła przed nim i wysypała muszelki na płaski kamień.
- Tak.
- Dziękuję - odparł, z galanterią skłaniając przed nią głowę.
- Wydajesz się trochę zawiedziony. Czyżbyś liczył, że przyniosłam rybę albo kraba?
- Myślałem o czymś słodszy - powiedział ochryplym nagle głosem.

Elizabeth poczuła, jak mocno bije jej serce. Zrozumiała, że nadeszła pora, i czekała, drżąc z podniecenia.

- O czym? - zapytała.

Ross spojrział jej w oczy, a potem umknął wzrokiem i popatrzył w morze. Pogładziła go po policzku i zmusiła, by na nią spojrział.

- O czym? - zapytała ponownie, zachwycona władzą, jaką nad nim ma w tej miłosnej rozgrywce. Wiedziała, że nie mógł sobie darować mściwej żądy, nad którą nie panował. Cierpiał z tego powodu i żałował, a jednocześnie próbował walczyć z pożądaniem, które w nim budziła.

Zaczęła rozsznurowywać gorset. Ross śledził wzrokiem każdy ruch jej palców. Z czułością i odważnie pocałowała w usta.

- Kocham cię i pragnę. Pozwól mi to udowodnić.

- Nie musisz tego robić. Wierzę ci... - wykrztusił ochryłym z podniecenia głosem. - Domagając się takiego dowodu, zachowałem się jak ordynus i nieokrzesany cham albo jak świeżo upieczony wicehrabia.

Kłęcząc, przytuliła się do niego, i stwierdziła, że jest tak samo rozpalony jak ona.

- Myślałam, że ty też mnie pragniesz.

Roześmiał się i chwycił ją w ramiona.

- A co będzie z twoją białą suknią ślubną? - zapytał. Uśmiechnęła się, bo już wiedziała, że wygrała.

- Jeśli ty nic nie powiesz, ja też będę milczeć.

- Edwina i tak myśli, że jesteś w ciąży.

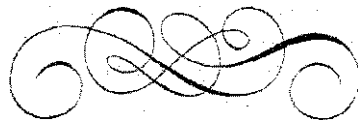
- Wiem. - Elizabeth zachichotała. - I choć się do tego nie przyzna, bardzo się cieszy.

- A ty? Byłabyś zadowolona?

- Z dziecka? - Nigdy dotąd nie myślała o własnym dziecku, ale właśnie w tej chwili zrozumiała, jak bardzo go pragnie.

Ross przewrócił ją delikatnie na plecy i położył na miękkim piasku. Podłożył jej dłonie pod głowę, zanurzając palce w jasnych włosach i się uśmiechnął.

- Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko - szepnął i zamknął jej usta pocałunkiem.



Epilog

- Niech mnie diabli, w końcu dopięła swego - mruknęła Edwina, patrząc na solidny budynek, na którym umieszczono odlany w brązie napis: „Fundacja Dobroczyzna lady Elizabeth Rowe”. - Twoja mama zawsze chciała przeznaczyć swój posąg na ratowanie sierot i zabłąkanych duszyczek. - Westchnęła i uśmiechnęła się do swojego prawnika.

Ross wyplątał kosmyk swoich włosów z malutkich paluszków synka, dając mu w zamian palec, który mały natychmiast wsadził sobie do buzi i zaczął ssać. Patrzył na otoczoną przez miejskich dygnitarzy żonę i z trudem hamował się, by jej nie porwać. Marzył, żeby się z nią wreszcie porządnie kochać. Rozumiał jednak, że dla niej to bardzo ważna chwila i że od wielu miesięcy na nią czekała.

- Ross, mam coś dla ciebie. - Edwina podała mu jakiś dokument. - Pomyślałam, że to ci się spodoba... mój okręt właśnie wrócił.

Przebiegł wzrokiem pismo i zmarszczył brwi.

- Dajesz mi okręt?

- Tak. Pomyślałam, że ci się spodoba. To porządny okręt handlowy - powiedziała, przyglądając się mężowi wnuczki z przenikliwym błyskiem w oku, - Dlaczego nigdy nie domagałeś się zwrotu pożyczki? Cały posąg przeznaczyłeś na potrzeby fundacji i w dodatku obiecałeś im oddawać coroczne dochody Elizabeth. Remont rezydencji w Kent zrobiłeś za własne pieniądze, domyślałam się, że możesz być bez grosza.

- To tylko pieniądze. - Roześmiał się, wzruszając ramionami. - Ty dałaś mi coś znacznie cenniejszego.

- Jesteś porządnym człowiekiem - powiedziała Edwina rwącym się ze wzruszenia głosem. - I nawet nie próbuj mi zwracać tych dokumentów - ostrzegła z podejrzeniem błyszczącymi oczami i odeszła porozmawiać z mniej i bardziej ważnymi osobistościami przybyłymi na inaugurację działalności fundacji.

Trzymając w objęciach synka, Ross zaczął się przedzierać w kierunku Elizabeth. Po drodze natknął się na Guya pogrążonego w rozmowie z najlepszą przyjaciółką Elizabeth.

- Jaki jest pana znak zodiaku? - pytała Sophie.

- Panna - odparł Guy z uśmiechem. - Myślę, że...

- Pomyśl jeszcze raz - syknął cicho Ross, mijając przyjaciela. Wicehrabina Stratton poczuła znajomy zapach drewna sandałowego i odwróciła się z uśmiechem w stronę męża. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy, a każde z nich trzymało w ramionach dziecko.

- Jestem taka szczęśliwa.

- Cieszę się razem z tobą. - Ross delikatnie dotknął ramienia żony. - Jesteś taka piękna... Po prostu kwitniesz...

Właśnie minął okres połogu po urodzeniu bliźniąt. Dzieci miały już pięć miesięcy, a ona każdego dnia czuła się coraz silniejsza. Edwina zapewniała ją, że wszystko przebiega tak jak trzeba.

- Rzeczywiście czuję się wspaniale - przyznała, patrząc mu znacząco w oczy. - Proszę, weź swoją córkę. - słodko śpiącego, błękitnookiego aniołka z brązowymi włoskami, a sama wzięła na ręce synka, którego włosy były jasne, a oczy zaczynały tracić barwę nieba i robiły się coraz bardziej brązowe.

- Muszę porozmawiać z pastorem i z Jane, a potem chcę wrócić do domu po szkic mowy, którą mam wygłosić w stowarzyszeniu. Pojedziesz ze mną? - zapytała, rzucając mu prowokujące spojrzenie spod długich rzęs.

- Oczywiście, kochanie. - Ross cicho się zaśmiał. - Przecież wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko.

Kiedy po ślubie wyprowadziła się z domu, Edwina poczuła się osamotniona i szybko doceniła obecność Jane i jej miłego synka. W rezultacie gościna przerodziła się w trwające piętnaście miesięcy zgodne współżycie. Nadeszła jednak pora, by zacząć nowe życie. Jane została przełożoną w należącej do fundacji instytucji, która miała umożliwić naukę i dać schronienie osieroconym i porzuconym dzieciom oraz pozbawionym środków do życia kobietom. Nikt lepiej od niej nie wiedział, jak bardzo te nieszczęsne istoty potrzebują współczucia i pomocy.

- Zadomowiłaś się już w nowym miejscu? - zapytała ją Elizabeth.

- O tak, oboje z Jackiem czujemy się tam jak w domu. - Jane poszukała wzrokiem syna, bawiącego się z przyjaciółmi. - Nigdy ci się nie odwdzięczę za to, co dla nas zrobiłaś - powiedziała wzruszona, ale szybko zmieniła temat, nie chcąc wprawiać przyjaciółki w zakłopotanie. - Masz śliczne dzieci. - Jane dotknęła różanego policzka małego chłopczyka. - Bliźnięta z miodowego miesiąca... Czy to nie cudowne...

- Tak, naprawdę cudowne - szepnęła Elizabeth.

Elizabeth pożegnała Jane i skinęła na Rossa.

- A teraz moje kochanie pójdzie do dziadka - zaszczębiotała i podała cenne zawiniątko wysokiemu, postawnemu mężczyźnie o srebrnych włosach, który ujął je z wprawą, jaką daje duża praktyka. Babcia Edwina dostała od Rossa śpiącą bliźniaczkę

Wicehrabia Stratton i jego małżonka z godnością i statecznie wsiedli do powozu, a kiedy znaleźli się dostatecznie daleko, wicehrabina rzuciła się w ramiona męża. Instynkt macierzyński kazał jej jeszcze sprawdzić, co się dzieje z dziećmi, więc wyjrzała przez okno i przez chwilę przyglądała się jak Harry i Edwina Pettiferowie tulą w ramionach swoje prawnuki.

- Jestem taka szczęśliwa. Jedno dziecko też byłoby darem niebios, a co dopiero bliźniaki. Jakim cudem udało ci się to zrobić?

Ross napawał się przez chwilę uwielbieniem i zachwytem, które błyszczały w fiołkowych oczach, a potem pochylił się nad żoną i pocałował ją w usta. Najpierw delikatnie i nieśmiało, a potem mocno i namiętnie.

- Myślałem, że to ci się spodoba. Jedno dla mnie i jedno dla ciebie - szepnął.